

**RAND & ROBYN MILLER
DAVID WINGROVE**

M Y S T.®

Księga Atrusa

**Tłumaczenie:
Paweł Lipszyc**

**Prószyński i s-ka
Warszawa 1996**

PODZIĘKOWANIA

Chociaż na okładce widnieją tylko nasze nazwiska, nie jest prawdą, że książka jest wyłącznie naszym dziełem; w pracy nad nią uczestniczyło wiele osób.

Przede wszystkim pragniemy podziękować Richardowi Vander Wende. Jego wkład w rozwój opowieści oraz w proces twórczy co najmniej dorównuje naszemu.

Dziękujemy Ryanowi Millerowi za napisanie pierwszej książki, która nadała ton przewodni.

Składamy też podziękowania Johnowi Biggsowi, Chrisowi Brandkampowi, Markowi DeForestowi, Bonnie McDowall, Beth Miller, Joshowi Staubowi i Richardowi Watsonowi.

Na koniec dziękujemy naszemu wydawcy Brianowi DeDiore i Davidowi Wingrove za osiągnięcie tego, co niemożliwe.

Szczególne podziękowania należą się wielbicielom gry Myst, którzy od dawna czekali na tę historię i pomogli jej powstać. Mamy nadzieję, że odpowiada ona na wiele pytań, a zarazem stawia kilka nowych.

Prolog

Buty Gehna odciskały ślady wokół małego stawu, w soczystej, zadbanej zieleni. Wcześniej wykopał płytki grób pod wąskim nawisem skalnym w głębi ogrodu. Kiedy świt powoli rozpełzł się po piaskach i dotknął siedmiometrowej ściany rozpadliny, Gehn pochylał się nad ciałem młodej dziewczyny. Na jej jasnokremowym pustynnym ubraniu widniały plamy krwi i ciemnej ziemi z rozpadliny.

Anna, wyczerpana po długiej nocy, patrzyła ze szczytu schodów. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy, ale dziewczyna najwyraźniej chorowała już od kilku miesięcy, miesiące poród pozbawił ją resztek sił. Umarła z westchnieniem ulgi.

Jeszcze teraz, w ciszy świtu, słyszała krzyk Gehna, jego pełne bólu i gniewu pomstowanie; słyszała, jak obarcza ją winą, chociaż wtedy jego słowa nie robiły na Annie żadnego wrażenia. To była jej wina. Ponoсила winę za wszystko.

Istotnie. Tak było zawsze.

Gdy skończył, odwrócił się i spojrzał na nią bez krztyny miłości. Miał tylko dziewiętnaście lat.

- Zostaniesz? – Jej głos zdradzał zmęczenie.

Odpowiedział krótkim, przeczącym ruchem głowy. Przeszedł przez ogród niemal wojowniczym krokiem, niszcząc jej cenną, życiodajną przestrzeń, najwyraźniej nieświadom tego, co robi. Patrzyła, jak przykucnął nad stawem. Bez względu na to, co robił i mówił, nie potrafiła się na niego gniewać. Wiedziała, co musiał czuć. Dobrze znała to uczucie: utraty sensu życia.

Spojrzała na swe brudne dłonie i powoli pokręciła głową. Po co przyszedł, skoro w żaden sposób nie mogła mu pomóc?

Znała odpowiedź. Nie chciał przychodzić, ale przygnała go rozpacz. Wiedząc, że jego żona jest chora, przypomniał sobie o uzdrowicielskich zdolnościach matki. Przybył jednak za późno.

W każdym razie za późno dla żony.

Słyszając płacz dziecka, Anna uniosła głowę. Wstała przeciągając się i zeszła po wąskich schodach, schylając głowę pod kamiennym nadprożem. Niemowlę leżało w wewnętrznej komnacie. Kiedy weszła do środka, kwilenie nasiliło się.

Stała nad malcem przez chwilę, patrząc w jego niebieskie oczy. Wreszcie wzięła go na ręce i przytuliła.

- Moje biedactwo - szepnęła, a potem pocałowała dziecko. Poczwała, jak się rozluźnia. – Moje małe biedactwo.

Wyszła, oparła się o balustradę, patrząc, jak Gehn myje się nad stawem. Cenna woda w stawie zmętniała. Znów ogarnął ją gniew z powodu jego niedbalstwa. Był bezmyślny. Gehn zawsze był bezmyślny. Ugryzła się jednak w język, wiedząc, że nie jest to odpowiedni moment na wspomnienie o tym.

- Czy chcesz, żebym ubrała dziecko na drogę?

Gehn nie odpowiedział i przez chwilę sądziła, że nie usłyszał. Kiedy jednak ponownie otworzyła usta, odwrócił się i spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Zatrzymaj je. Jeśli chcesz, pochowaj je obok matki, ale nie zawracaj mi nim głowy. Ty je ocaliłaś, więc się nim zajmij.

Anna obruszyła się.

- To twój syn, Gehnie. Twój syn! Ty dałeś mu życie. Jesteś za niego odpowiedzialny. Tak funkcjonuje ten świat.

Gehn odwrócił się.

Anna przytuliła dziecko, które znowu zaniósło się płaczem. Gehn przeszedł po zrytej ziemi, szybko wspiął się na schody, odepchnął ją gwałtownie i wszedł do domu. Po chwili wyszedł. Był w okularach. Przyglądając mu się, spostrzegła, że zdjął płaszcz.

- Twój płaszcz... Tam będzie ci potrzebny.

Odwrócił się od niej, wpatrując się w krater wulkanu, ledwo widoczny z miejsca, w którym stał.

- Zatrzymaj go – powiedział, pobieżnie omiatając wzrokiem jej twarz. – Nie będzie mi już potrzebny!

Jego słowa przestraszyły Annę, która zaczęła się obawiać o zdrowie Gehna po tym wszystkim. Wpatrywała się w dziecko, nie wiedząc, jakie rozwiązanie byłoby teraz najlepsze. Była jednak przekonana, że przed odejściem powinien jeszcze raz wziąć dziecko na ręce.

Podawała mu je, ale wyminał ją i wszedł na most sznurowy. Po chwili zniknął.

- Przecież nie dałeś mu imienia – powiedziała cicho i mocno przytuliła dziecko.
– Nie dałeś mu nawet imienia...

W cieniu wielkiego wulkanu rozpościerała się popękana pustynia. W szczelinie o wymiarach około osiemdziesięciu stóp na piętnaście panowała głęboka ciemność. Przypadkowy obserwator uznałby widok szczeliny za całkiem naturalny, gdyby nie dziwna obręcz – kamienna ściana wysokości około półtora metra – która ją otaczała.

Przez moment nic się nie poruszało, a potem wysoki człowiek bez płaszcza wspiał się na obmurowanie i ukazał się w świetle świtu.

Panowała całkowita cisza, taka jaką można spotkać tylko na pustyni. W chłodzie poranka z krateru wulkanu wydobyła się mgiełka, spowijając go w tajemniczy, ulotny welon. Anna patrzyła, jak wysoki człowiek bez płaszcza wspina się po zboczu wulkanu, a mgiełka kłębi się wokół niego, to skrywając go, to znów odsłaniając. Ciężkie soczewki, które nosił, nadawały jego głowie dziwny, ale wyraźny kształt. Przez chwilę stał z odwróconą głową, spoglądając w ciemną otchłań głębokiej na milę rozpadliny. Jego wysoką, władcą sylwetkę podświetlało słońce, które czerwieniało przez przesuwające się warstwy mgły. Potem, powoli jak w sennym widziadle, niczym zjawa rozplywająca się w nicość, odwrócił się i zniknął.

1

Burza piaskowa wychłostała wąski stopień skalny, a teraz, na rzeźbionym, koronkowym grzbiecie, cienie zastygały w tysiące kształtów. Twarz skały zdobiły oczy i usta, wyciągnięte ręce i przechylone głowy, jak gdyby mnóstwo dziwnych, pięknych stworzeń opuściło ciemną, bezpieczną paszczę krateru i zastygło w przenikliwych promieniach słońca.

Ponad nimi, w cieniu obrzeża wulkanu, leżał chłopiec. Patrzył na bezkresny ocean piasku, który rozciągał się ku majaczącym we mgle górzystym płaskowyżom. Jediną rzeczą większą niż ten przestwór było bezchmurne, błękitne niebo nad pustynią.

Chłopiec był ukryty przed wzrokiem handlarzy, którzy rozbili się z karawaną milę dalej. Jego połatane, brudne ubranie miało kolor pustyni. Wyglądał w nim jak fragment tego jałowego krajobrazu.

W bezruchu patrzył przez soczewki nastawione na dużą odległość. Jego czuje oczy rejestrowały każdy, najdrobniejszy nawet szczegół karawany.

Z powodu burzy piaskowej karawana przybyła z dwudniowym opóźnieniem. Chociaż w tym beczasowym miejscu dwa dni były niczym, chłopcu wydawały się wiecznością. Na wiele tygodni przed przybyciem karawany śnił i marzył o niej. Wyobrażał sobie, jak otulony płaszczem i w kapturze odjeżdża z nimi na grzbiecie jednej z wielkich bestii. Hen w wielki świat.

Babce nie wspominał ani słowem o tych marzeniach. Wiedział, jak bardzo się niepokoiła. Bała się, że jakiś pozbawiony skrupułów handlarz podkradnie się w nocy i zabierze chłopca, żeby sprzedać go w niewolę na targu na południu. Dlatego kiedy kazała mu się ukryć, schował się i zataił przed babką marzenia, żeby jej dodatkowo nie martwić.

Chłopiec skupił wzrok na jednym z ośmiu kupców, któremu często się przyglądał, ciemnym mężczyźnie z krótko przystryżoną brodą, o wąskiej głowie i ostrych rysach pod kapturem czarnego płaszcza.

Przyglądając się stojącej karawanie zwrócił uwagę na zmiany, jakie w niej zaszły. Handlarze mieli teraz dziewiętnaście wielbłądów, o dwa więcej, niż kiedy byli

tu poprzednim razem. Ten oraz inne drobniejsze oznaki – nowe uprząże kilku wielbłądów, cięższy ładunek na ich grzbietach, biżuteria na przegubach i szyjach mężczyzn – zdradzał, że handel przynosił zyski. Także swoboda, z jaką wystawiali się handlarze, mówiła niemało. Chłopiec zauważył, jak targując się z babką, śmiali się odsłaniając drobne, poczerniałe zęby. Być może zęby te zdradzały ich słabość do słodczy, które sprzedawali.

Przyglądał się, rejestrując wszystkie szczegóły, ponieważ wiedział, że babka go zapyta:

Co widziałeś, Atrusie?

Widziałem...

Widział, jak mężczyzna o twarzy jak nóż podchodzi do swego wielbłąda, sięga ponad zdobioną derką i wyjmuje mały worek z dziwnego, wiklinowego kosza w kształcie półkuli. Worek poruszył się, a potem znieruchomiał.

Atrus poprawił soczewki, pewien, że uległ złudzeniu. Spojrzał znowu, akurat w momencie, kiedy babka kładła worek na stercie zakupionych rzeczy. Przyglądał się workowi jeszcze przez krótką chwilę, a kiedy się nie poruszył, przeniósł wzrok na babkę.

Anna stała przed najstarszym z handlarzy. Jej wychudzona, lecz piękna twarz była o kilka odcieni jaśniejsza od twarzy mężczyzny, gęste siwe włosy upięta w kok. Oboje zdjęli kaptury, wystawiając głowy na skwar późnego popołudnia, ale Annie najwyraźniej to nie przeszkadzało. Postępowała tak celowo, by przekonać handlarzy o swojej sile i niezależności. Płaciła za to sporą cenę, ponieważ nawet godzina na palącym słońcu była mordęgą, nie mówiąc o długiej drodze powrotnej, którą musiała przejść obciążona ciężkimi workami soli i mąki, belami materiału i innymi zakupionymi przedmiotami.

A on leżał tutaj ukryty i nie mógł jej pomóc.

Oczywiście i tak było jej już łatwiej, od kiedy mógł pomagać Annie w ogrodzie i przy naprawie ścian. Jednak w chwilach takich jak ta czuł się rozdarty, rozdarty między pragnieniem zobaczenia karawany a troską o babkę, która musiała tak często pracować, by zdobyć rzeczy niezbędne do przetrwania.

Anna już prawie skończyła. Atrus patrzył, jak babka wręcza handlarzowi towary, które wyhodowała lub wykonała – cenne zioła i rzadkie minerały, misternie rzeźbione kamienne figurki oraz dziwne, podobne do ikon obrazy, których handlarzom nigdy nie było za wiele – i zdumiał się jej pomysłowością. Żył z nią od

siedmiu lat; siedem lat w tym suchym, opuszczonym miejscu i ani razu nie dopuściła do tego, by głodowali.

Zdawał sobie sprawę, że był to swego rodzaju cud. Wiedział to nie dlatego, że babka mu powiedziała, ale ponieważ oczami uzbrojonymi w soczewki oglądał świat, w którym mieszkali. Wiedział, jak bezlitosna jest pustynia. Każdej nocy, po kolejnym dniu, który przetrwali, składali słowa podziękowań.

Uśmiechnął się, widząc, jak babka zbiera zakupione towary. Jeden z handlarzy zaproponował pomoc. Anna potrząsnęła z uśmiechem głową. Mężczyzna natychmiast się cofnął i odwzajemnił uśmiech, szanując jej niezależność.

Obładowana workami, odwróciła się, pozdrowiła każdego z handlarzy skinieniem głowy, po czym ruszyła w długą drogę powrotną do rozpadliny.

Atrus chciał zejść i pomóc babce, ale wiedział, że musi pozostać na miejscu, dopóki karawana nie odjedzie. Poprawił soczewki i przyjrzał się szeregowi mężczyzn, rozpoznając każdego po postawie i gestach; widział, jak ten bierze łyk wody z butelki, a tamten poprawia uprzęż wielbłąda. Wreszcie, na niewidoczny sygnał, karawana ruszyła w drogę; początkowo wielbłądy się ociagały, kilka z nich musiało zasmakować bata, by w końcu, ze stęknieniem i ochryłym rykiem, rozpoczęły długi marsz.

Atrusie?

Tak, babciu?

Co widziałeś?

Widziałem wielkie miasta na południu, babciu, i ludzi, całe mrowie ludzi...

Wreszcie, wiedząc, że Anna będzie na niego czekać, zaczął schodzić w dół.

Kiedy Anna minęła potężny załom skalny i weszła do rozpadliny, Atrus wyszedł jej na spotkanie. Tutaj, ukryta przed wzrokiem handlarzy, zazwyczaj zatrzymywała się i pozwalała Atrusowi wziąć kilka worków, ale dzisiaj wyminęła wnuka, uśmiechając się na jego pytające spojrzenie.

Przy północnym krańcu rozpadliny zatrzymała się i z niemal przesadną troską opuściła ładunek z ramion.

- Masz – powiedziała cicho, wiedząc, jak daleko niesie się głos w tej otwartej przestrzeni. – Zanieś sól i mąkę do spiżarni.

Atrus wykonał polecenie w milczeniu. Zsunął sandały i położył je na wąskim stopniu pod krawędzią rozpadliny. Na zewnętrznej ścianie widniały ślady kredy po lekcji, a nie opodal, częściowo zakopane w piasku, stały gliniane garnki, w których przeprowadzał doświadczenia.

Atrus zarzucił jeden ze śnieżnobiałych worków na ramię, czując, jak szorstki materiał drapie go w szyję i policzek, w nozdrza uderzył go silny zapach soli. Potem podszedł do pochyłej ściany, odwrócił się, kucnął, przełożył lewą stopę i namacał górny szczebel drabinki sznurowej.

Nie namyślając się długo, Atrus opuścił się ostrożnie w chłodny cień rozpadliny, a po wysuszonym, jałowym powietrzu pustyni silny aromat ziół oszołomił go. Tu, w dole, wszędzie rosły rośliny; wykorzystany był każdy cal. Wśród rozmaitych kamiennych konstrukcji strome ściany rozpadliny miały barwę czerwono-brązową i jaskrawoszmaragdową, a maleńki staw otaczała soczystozielona pochyła podłoga. Nie zmarnowano nawet przestrzeni na ścieżkę. Zamiast niej nad rozpadliną rozciągał się most sznurowy, który łączył rozmaite konstrukcje, nie połączone wąskimi stopniami wrytymi w skałę wiele tysięcy temu. Na przestrzeni lat Anna wyźłobiła w twardej ścianach rozpadliny wiele długich półek, które wypełniła ziemią i nawodniła, powoli powiększając ogród.

Spizarnia znajdowała się w głębi, w pobliżu dna rozpadliny. Krocząc po ostatnim fragmencie mostu, Atrus zwolnił. W tym miejscu, z podziemnego źródła wydobywała się z bulgotem woda, sącząc się przez porowatą ścianę, przez co starodawne stopnie były wilgotne i śliskie. W skałę biegł kanał, kierując skąpy, lecz cenny strumień po nieprzepuszczalnym kamiennym dnie rozpadliny do naturalnego zagłębienia stawu. Tam spoczywała matka Atrusa. Nad stawem rosła kępka delikatnych niebieskich kwiatów o ciemnych, atlasowych pręcikach.

Po spiekocie pustynnego piasku dotyk chłodnego, wilgotnego kamienia pod stopami sprawiał rozkosz. Tutaj, prawie dziesięć metrów pod ziemią, powietrze było świeże i chłodne, a słodki aromat orzeźwiał. Atrus słyszał cichy szmer wody i jednostajne brzęczenie pustynnej osy. Zatrzymał się na chwilę, zsunął okulary na czoło pozwalając jasnym oczom przywyknąć do cienia, po czym ruszył dalej w dół. Schylił się pod nawisem skalnym, wreszcie stanął przed drzwiami spizarni, cofniętymi w głąb ściany rozpadliny.

Powierzchnia tych niskich, ciężkich drzwi, ozdobiona setką delikatnych żłobień, sama w sobie stanowiła cud; ryby, zwierzęta i ptaki były połączone płataniną

liści i kwiatów. Podobnie jak większość rzeczy w rozpadlinie drzwi były dziełem jego babki. Jeżeli gdziekolwiek znajdowała się gładka przestrzeń, Anna ozdabiała ją, jak gdyby cały świat służył jej za płótno.

Atrus pchnął nogą drzwi i wcisnął się w ciemne, wąskie przejście. Za rok będzie musiał się schylać pod niskimi kamiennym sufitem. Teraz jednak przemierzył małe pomieszczenie trzema krokami, zdjął worek z ramienia i wsunął na szeroką kamienną półkę obok dwóch pozostałych.

Przez chwilę przyglądał się krwistoczerwonemu symbolowi, który zdobił worek. Było to przepyszenie misterny wzór złożony z zakrętasów i krzywizn, a Atrus, który widział go już wcześniej, nie wiedział, czy było to słowo czy po prostu ornament, jednak jego piękno i elegancja urzekły go. Niekiedy przywodził mu na myśl pysk jakiegoś egzotycznego zwierzęcia, a czasami odnosił wrażenie, że dopatruje się w nim pewnego znaczenia.

Atrus odwrócił się, spojrzał w górę, uświadamiając sobie nagle, że babka czeka przy ścianie rozpadliny. Pospiesznie założył okulary, wbiegł po schodach, minął rozbudowany most i wyszedł na powierzchnię w chwili, gdy Anna rozpięła płaszcz. Za skózanego futerału na narzędzia, który nosiła wokół pasa, wyjęła długi nóż z perłową rękojeścią, pochyliła się i rozcięła jedną z zakupionych bel materiału.

- Jakie ładne – powiedział stając obok babki. Poprawił soczewki i spojrzał z podziwem na cynobrowy i kobaltowy wzór, widząc, jak słońce migocze na tkaninie niczym w stawie.

- Tak – odparła, odwróciła się do niego z uśmiechem i wsunęła nóż do pochwy. – To jedwab.

- Jedwab?

W odpowiedzi wyciągnęła do niego tkaninę.

- Dotknij.

Atrus wyciągnął rękę, zdziwiony chłodną, gładką fakturą materiału.

Anna wciąż się przyglądała, a na jej ustach igrał zagadkowy uśmiech.

- Przyszło mi na myśl, że zrobię draperię do twojego pokoju, żeby go ożywić.

Odwrócił głowę i spojrzał na Annę zdziwiony, a potem zarzucił kolejny worek na ramię.

Schodząc do spiżarni, przywołał w myślach misterny wzór tkaniny i uśmiechnął się. Zdał sobie sprawę, że jedwab był prztykany cienką złotą nitką. Przypomniał sobie jego powierzchnię, miękką i gładką jak dolna strona liścia.

Po odniesieniu drugiego worka wrócił na górę. Podczas jego nieobecności Anna położyła dwie bele materiału na półce, obok ostatniego worka z mąką i solą. Stał tam także mały zielony mieszek z nasionami, związany krwistoczerwonym pnącem. Po ostatnim worku, tym, który się poruszył, nie było ani śladu.

Zmarszczył brwi i spojrzał na babkę. Nawet jeśli zrozumiała, nie dała tego po sobie poznać.

- Zanieś nasiona do kuchni – powiedziała cicho, zarzucając belę jedwabiu na ramię. – Jutro je zasadzimy. Potem pomożesz mi przenieść resztę materiału.

Kiedy wrócił ze spiżarni, zobaczył, że Anna czeka na niego na szerokim kamiennym stopniu w głębi ogrodu. Nawet z miejsca, w którym stał, widział, jak bardzo była zmęczona. Szybkim krokiem przeszedł przez most sznurowy do głównego domu. Zbiegł po wąskich stopniach przytulonych do ściany. Trzymając się gładkich, wystających skał na zachodnim krańcu stawu, przykucnął, zdjął metalową chochlę z kołka, nachylił się i zanurzył ją w nieruchomą, zwierciadlaną powierzchnię wody.

Ponownie się wyprostował, szybkim krokiem wrócił wzdłuż brzegu, starając się nie uronić ani kropli cennej wody, wreszcie stanął przed stopniem, na którym siedziała Anna.

Podniosła wzrok i posłała mu znużony, ale pełen miłości uśmiech.

- Dziękuję – powiedziała. Wzięła chochlę, upiła łyk, po czym oddała ją Atrusowi.

- Nie – pokręcił głową. – Dokończ.

Dopiła wodę z uśmiechem i zwróciła mu chochlę.

- Cóż, Atrusie – powiedziała, nagle rozluźniona, jak gdyby woda splukała z niej zmęczenie. – Co widziałeś?

Po chwili wahania odparł:

- Widziałem brązowy worek, który się poruszył.

Jej śmiech go zaskoczył. Atrus zmarszczył czoło, a potem uśmiechnął się szeroko, kiedy babka wyjęła worek spod płaszcza. Worek był dziwny, bo z pozoru niczego nie zawierał, a ponadto wykonano go z dziwnego materiału, znacznie bardziej szorstkiego niż worki tradycyjnie używane przez handlarzy. Wyglądał tak, jakby utkano go zaledwie z połowy włókien. Gdyby zawierał sól, ziarenka wysypałyby się przez otwory w materiale, a jednak w worku coś było.

- No więc? – spytała rozbawiona jego reakcją. – Weźmiesz go?

Atrus spojrział na babkę z niekłamanym zdziwieniem.

- Dla mnie?

- Tak. Dla ciebie.

Ostrożnie wziął od niej worek. Zauważył, że był związany tym samym czerwonym pnączem co mieszek z nasionami.

- Co to jest?

- Sam zobacz – odparła wyjmując nóż i podając go wnukowi. – Uważaj. Może ugryźć.

Atrus zamarł w bezruchu.

- Och, daj spokój – powiedziała, śmiejąc się cicho. – Tylko się z tobą drocę, Atrusie. Otwórz worek.

Powoli wsunął ostrze pod pnącze i szarpnął.

Odłożył nóż na skałę, poprawił okulary i zaczął otwierać worek zaglądając do środka.

Coś tam było. Coś małego, skulonego i...

Dziwny odgłos sprawił, że Atrus wypuścił worek i odskoczył. Włosy zjeżyły mu się na karku.

- Ostrożnie... - upomniała go Anna schylając się i podnosząc worek.

Atrus patrzył, jak babka wyjmuje coś małego, porośniętego gęstym futrem. Przez chwilę nie pojmował, ale nagle zrozumiał, co to było. Kociak! Anna kupiła mu kociaka!

Z okrzykiem radości zerwał się na równe nogi i podszedł do Anny, przyglądając się zwierzątku.

Było piękne. Miało barwę pustyni o zachodzi słońca, a kocie oczy, niczym dwa wielkie zielone spodki, mrugnęły dwa razy i spojrzały na Atrusa z zaciekawieniem. Kociak nie był większy od dłoni Anny.

- Jak się nazywa? – spytał.

- Pahket.

- Pahket? – Atrus spojrział na babkę marszcząc brwi, a potem delikatnie pogłaskał kotka po szyi.

- To starodawne imię. Najstarszy z handlarzy powiedział, że przynosi szczęście.

- Możliwe – odparł Atrus bez przekonania. – Ale jakoś do niego nie pasuje. Spójrz tylko, wygląda jak maleńki płomień. – Uśmiechnął się, kiedy kotek przytulił się do jego dłoni i zaczął głośno mruczeć.

- Może więc tak właśnie powinienes ją nazwać.

- Płomień?

Anna skinęła głową. Przez chwilę przyglądała się wnukowi, wreszcie powiedziała:

- W kuchni jest mała gliniana miska...

- Ta niebieska?

- Tak. Płomień może z niej korzystać. Przypuszczam, że po tak długim siedzeniu w worku chętnie napiłaby się wody.

Atrus uśmiechnął się. Podniósł kotka jedną ręką i ruszył do kuchni, przeskakując po dwa, trzy stopnie. Po chwili wyszedł z miską w drugiej dłoni.

- Chodź, Płomień – powiedział łagodnie do kotki, jak gdyby zwracał się do dziecka, delikatnie drapiąc ją kciukiem po głowie. – Dam ci pić.

O zmroku Atrus usiadł na wąskim balkonie biegnącym wzdłuż zewnętrznej komnaty sypialnej. Drzemiąca kotka zwinęła się obok w kłębek na chłodnym kamiennym stopniu. Atrus patrzył na księżyc. To był cudowny dzień, ale tak jak wszystkie dni musiał się skończyć. W dole widział babkę w jasno oświetlonym oknie kuchni. Mała lampa naftowa rzucała łagodny, żółty blask na twarz i ramiona Anny, która przygotowywała tacę ciastek. Zarówno ciastka, jak i kotka były prezentem na siódme urodziny Atrusa, które przypadały za dwa dni.

Na myśl o urodzinach uśmiechnął się, ale w radość wkradł się niepokój. Chociaż żyło mu się tu z babką szczęśliwie, ostatnio zaczął przeczuwać, że życie polega na czymś więcej.

Przeniósł wzrok z księżyc na linię gwiazd. Dostrzegł pas myśliwego, szukając po nocnym niebie łuku myśliwego, tak jak uczyła go babka. Tyle rzeczy musiał jeszcze poznać, tyle się nauczyć.

A kiedy nauczę się już wszystkiego, babciu?

Przypomniał sobie, jak roześmiała się wtedy i pochyliła nad nim.

Nauce nigdy nie ma końca, Atrusie. W tym wszechświecie istnieje więcej rzeczy, ba istnieje więcej wszechświatów, niż nam się wydaje.

Chociaż nie bardzo rozumiał, co chciała przez to powiedzieć, sam widok bezkresnego nocnego nieba pozwalał mu snuć domysł. Chciał się dowiedzieć wszystkiego, czego tylko mógł. Był równie ciekawy, jak śpiąc obok niego kotka obojętna.

Opuścił wzrok; wszędzie wokół niego szczelina był rozświetlona drobnymi, ciepłymi światłami.

- Atrusie?

Odwrócił się i podniósł wzrok na Annę, która podeszła i kucnęła obok niego na stopniu.

- Tak, babciu?

- Masz dzisiaj sporo do napisania w dzienniku.

Atrus uśmiechnął się. Pogłaskał kotkę za uszami czując, jak wtula się w jego palce.

- Napisałem wcześniej, kiedy byłaś w spiżarni.

- Ach tak... - Anna delikatnie musnęła dłonią futerko kotki. – A jak ci idzie twoje doświadczenie?

- Które? – spytał z nagłym ożywieniem.

- Twoje pomiary. Widziałam, jak się tam krzątałeś.

Od blisko sześciu miesięcy Atrus badał ruchy wydmy za wulkanem. Wzdłuż wydmy umieścił szereg długich palików i skrupulatnie mierzył jej ruchy, zapisując wyniki na wykresie na końcu dziennika.

- Już prawie skończyłem – oznajmił, a oczy zalśniły mu w blasku księżyca. – Jeszcze kilka tygodni, a będę znał rezultat.

Anna uśmiechnęła się rozbawiona, a jednocześnie dumna ze skrupulatności wnuka. Nie ulegało wątpliwości, że Atrus miał bystry umysł, prawdziwy umysł odkrywcy, wzbogacony dodatkowo o ciekawość.

- Czy masz jakąś teorię? – spytała, widząc, jak Atrus się prostuje, żeby jej odpowiedzieć.

- One się przesuwają.

- Trochę czy dużo?

- To zależy – odparł z uśmiechem.

- Zależy?

- Od tego, co uważasz za trochę, a co za dużo.

Roześmiała się ucieszona taką odpowiedzią.

- Trochę to powiedzmy kilka cali rocznie, a dużo – około mili.

- Wobec tego ani trochę, ani dużo – odparł, ponownie przyglądając się Płomieniowi. Kotka spała z głową wtuloną w futerko, a w ciemności rozlegało się jej ciche chrapanie.

Anna odgarnęła włosy z oczy Atrusa. Pod pewnym względem był niezgrabnym dzieckiem, a jednak miał w sobie coś szlachetnego. Dobroć i żywa inteligencja, jaka płonęła w jego oczach, stanowiły przeciwagę dla fizycznej nieporadności.

- To się zmienia – powiedział, znowu patrząc jej w oczy.

- Zmienia się?

- Tempo, w jakim wydma się przesuwa. Czasami ledwo się porusza, ale kiedy nadchodzi burza...

- Tak? – spytała cicho Anna.

- Chodzi o wiatr – wyjaśnił. – Podmiata drobniejsze ziarnka piasku na nawietrzną stronę wydmy. Stamtąd spadają przez grzbiet na stronę zawietrzną. Dlatego właśnie wydma ma taki kształt. Większe, grubsze ziarnka nie przesuwają się w takim stopniu, więc zbcze od nawietrznej stopniowo się zakrzywia. Jest gęsto ubite, można po nim chodzić jak po skale. Za to strona zawietrzna...

- Tak? – w głosie Anna brzmiała zachęta.

Atrus zmarszczył czoło roztrząsając problem.

- Strona zawietrzna stale się zmienia. Drobne ziarnka spiętrzają się, tworząc zbcze, aż... no, aż się osypują. Kiedy próbujesz chodzić po tamtej stronie, zapadasz się, ponieważ nie jest ubita tak jak strona nawietrzna.

Anna uśmiechnęła się, nie spuszczając wzorku z twarzy wnuka.

- Mówisz, że piasek przesypuje się na drugą stronę. Czy wiesz dlaczego?

Atrus energicznie skinął głową, co sprawiło, że Płomień poruszyła się na jego kolanach.

- To ma związek z tym, jak ziarnka piasku balansują jedno na drugim. Do pewnego kąta utrzymują się, ale po jego przekroczeniu...

- Czy zmierzyłeś ten kąt? – spytała Anna, bardzo zadowolona z wnuka.

- Trzydzieści pięć stopni. Po przekroczeniu tego kąta piasek zaczyna się przesypywać.

- Dobrze – pochwaliła go opierając dłonie na kolanach. – Wygląda na to, że wszystko wzięłeś pod uwagę, Atrusie. Spróbowałeś ogarnąć całość.

Atrus, który wpatrywał się w kotkę, podniósł wzrok.

- Całość?

Anna zaśmiała się cicho.

- Tak mawiał mój ojciec. Chcę przez to powiedzieć, że rozpatrzyłeś problem z wielu stron i zastanowiłeś się nad tym, jak poszczególne fragmenty do siebie pasują. Zadałeś wszystkie niezbędne pytania i znalazłeś odpowiedzi. Teraz rozumiesz całe zagadnienie. – Uśmiechnęła się i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. – Może ci się to wydać drobiazgiem, Atrusie, bo ostatecznie wydma jest tylko wydma, jednak zasada jest słuszna i nie zawiedzie cię, bez względu na to, jak złożony system chcesz zbadać. Zawsze miej na uwadze całość, Atrusie. Zawsze patrz na współzależność rzeczy i pamiętaj, że „całość” pewnej rzeczy jest zawsze tylko częścią czegoś innego, większego.

Atrus wpatrywał się w Annę, kiwając powoli głową. Widząc poważne spojrzenie wnuka – bynajmniej nie odpowiadające jego wiekowi – Anna westchnęła skrycie. Czasami napelniał ją taką dumą. Miał takie jasne, czyste oczy; oczy, które zachęcono do obserwowania i kwestionowania otaczającego go świata.

- Babciu...

- Tak, Atrusie?

- Mogę narysować Płomień?

- Nie – odparła z uśmiechem. – Nie teraz. Czas iść do łóżka. Czy chcesz, żeby Płomień z tobą spała?

Uśmiechnął się szeroko i skinął głową.

- W takim razie weź ją do środka. Dziś w nocy może spać w nogach twojego łóżka, a jutro upleciemy dla niej koszyk.

- Babciu?

- Tak, Atrusie?

- Mógłbym trochę poczytać?

Uśmiechnęła się i zmierzwiła mu włosy.

- Nie. Ale jeśli chcesz, przyjdę opowiedzieć ci bajkę.

Atrus otworzył szerzej oczy.

- Proszę. I Nanno...

- Tak? – spytała, zdziwiona, że użył jednego z bardziej poufanych określeń.

- Dziękuję ci za Płomień. Jest piękna. Będę się nią opiekował.

- Wiem. A teraz wejdź już do środka. Jest późno.

Łóżko Atrusa znajdowała się na półce skalnej, wrytej w ścianie wewnętrznej komnaty sypialnej na kształt małej katakumby. Przepięknie tkana kapa służyła mu za materac, a przykrywał się dużym, podwójnym kwadratem materiału, który Anna zszyła na brzegach i ozdobiła drobnymi gwiazdami. W niszy skalnej u wezłowania łóżka stała mała okopcona lampa naftowa, zabezpieczona u góry i u dołu metalowymi prętami.

Ann podniosła szybką żłobioną w tajemnicze wzory, zapaliła knot, a potem cofnęła się, wpuszczając Atrusa na małą półkę. Wkrótce miał z niej wyrosnąć, ale na razie spełniała swoje zadanie.

Patrząc na wnuka poczuła ukłucie żalu; żałowała przemijającej niewinności. Wiedziała, że powinna cieszyć się chwilami takimi jak ta, ponieważ nie mogły trwać wiecznie. Nic nie trwało wiecznie; ani życie człowieka, ani imperia.

- Co chciałbyś usłyszeć? – spytała, otuliła Atrusa i podsunęła mu na współ uśpioną kotkę, żeby mógł ją pogłaskać.

Na chwilę odwrócił wzrok. Zdawało się, że jego jasne oczy odczytują cienie tańczące na skale, potem znowu spojrzał na Annę z uśmiechem.

- Może o Keracie?

- Przecież słyszałeś ją już kilkakrotnie, Atrusie.

- Wiem, ale chciałbym ją usłyszeć znowu. Proszę, babciu.

Uśmiechnęła się i położyła dłoń na czole wnuka. Przymknęła oczy snując starodawną opowieść.

Rozgrywała się ona w krainie ludu D'ni wiele tysięcy lat temu. Ich ojczyznę nawiedziło właśnie pierwsze z wielkich trzęsień ziemi, które ostatecznie zmusiły D'ni do opuszczenia swych siedzib i przybycia tutaj.

Kerath był ostatnim z wielkich królów; ostatnim nie dlatego, że został zdetronizowany, ale dlatego, że po osiągnięciu wszystkich zamierzonych celów ustąpił i powołał radę starszych, by odtąd rządziła krajem D'ni. Jednak Anna opowiadała o czasach młodości księcia, kiedy przebywał na wielkiej podziemnej pustyni Tre'Merktee, w Miejscu Zatrutej Wody.

Co myślał Atrus słysząc tę legendę? Czy wyobrażał sobie siebie jako młodego księcia, który podobnie jak Kerath został skazany na wygnanie przez brata swego zmarłego ojca? A może coś innego pociągało go w tej historii? Nie ulegało wątpliwości, że była to jego ulubiona opowieść.

Kiedy Anna zbliżała się do końca, opowiadając o tym, jak Kerath oswoił wielką jaszczurkę i wrócił na jej grzbiecie do stolicy D'ni, czuła, że Atrus niemal spija słowa z jej ust.

Anna zamknęła w myślach książkę i cicho odłożyła na bok, jak to robiła kiedyś dla innego małego chłopca, w miejscu bardzo odmiennym od tego. Otworzywszy oczy, napotkała wzrok Atrusa.

- Czy istnieje wiele opowieści, babciu?

- Och, tysiące... - odparła ze śmiechem.

- Znasz je wszystkie?

- Nie, to byłoby niemożliwe, Atrusie. D'ni było wielkim imperium, którego biblioteki same w sobie stanowiły małe miasta. Gdybym próbowała nauczyć się na pamięć wszystkich opowieści D'ni, zajęłoby mi to kilka żywotów, a i tak nauczyłabym się zaledwie garstki.

- Czy te historie są prawdziwe? – spytał Atrus i odwrócił się z ziewnięciem do ściany.

- A wierzysz w nie?

Milczał, a potem odpowiedział z sennym westchnieniem:

- Chyba tak.

Anna wyczuła, że nie jest zadowolony. Naciągnęła koc aż po brodę wnuka, a potem nachyliła się i pocałowała go w czoło.

- Mam zostawić Płomień w twoim pokoju?

- Mhmmm... - odparł zapadając w sen.

Anna uśmiechnęła się, podniosła szybkę lampy, zgasła ją i wyszła.

W jej pracowni po przeciwnej stronie rozpadliny wciąż płonęła lampa. Na biurku stała do połowy ukończona rzeźba, a obok niej skrzynka z delikatnymi narzędziami do rzeźbienia w kamieniu. Anna przyglądała się rzeźbie przez chwilę zastanawiając się, co należy zrobić, potem podeszła do półki i zdjęła małą, wysadzaną perłami skrzynkę.

Otworzyła ją i spojrzała na swoje odbicie, odgarniając z czoła kosmyk siwych włosów.

Co widzisz, Anno?

Twarz, która na nią patrzyła, była silna i zdecydowana, o delikatnej, choć nie kruchej strukturze kości, raczej subtelna niż pospolita. Niegdyś była wielką piękną, jednak czas działał na jej niekorzyść.

Ta myśl wywołała uśmiech na jej twarzy. Nigdy nie była próżna, ale zawsze zastanawiała się, w jakim stopniu jej prawdziwa natura znajduje odbicie w twarzy. Jak wiele zdradzała gra oczu i ust, a jednocześnie jak wiele potrafiły ukryć te subtelne rysy. Kiedy na przykład Atrus się uśmiechał, nie uśmiechał się tylko ustami, ale całą twarzą, całą istotą; wprost promieniował uśmiechem. Podobnie rzecz się miała z myśleniem; odnosiło się wrażenie, że można go przejrzeć na wskroś jak szkło i obserwował myśli bzyżące i iskrzące się w jego głowie.

A jej własna twarz?

Przekrzywiła głowę i przyjrzała się sobie z uwagą. Zauważyła drobne niebieskie paciorki, które wplotła w warkocze, i barwną, misternie plecioną opaskę na szyi.

Twarz, która na nią patrzyła, była blada i napięta, niemal surowa. W zielonych oczach płonęła inteligencja, usta wyrażały zmysłowość. Właśnie te drobne, zewnętrzne cechy zdradzały prawdziwą naturę Anny, a w każdym razie tę jej część, którą uwielbiała upiększać. Tak było od najwcześniejszego dzieciństwa. Dać jej pustą kartkę, a napisze na niej wiersz, opowiadanie albo narysuje obrazek. Dać jej pustą ścianę, a Anna niezwłocznie ją ozdobi.

Daj mi dziecko...

Zatrzasnęła skrzynkę i odstawiła na półkę.

Dać jej dziecko, a wypełni mu głowę niestworzonymi cudami, opowieściami, myślami i faktami.

Co widzisz, Anno?

Ziewnęła, zgasiła lampę i odpowiedziała na milczące pytanie.

Widzę starą, zmęczoną kobietę, która potrzebuje snu.

Być może – dodała po chwili i uśmiechnęła się na wspomnienie dziewczynki, którą kiedyś była. Potem weszła na schody i po raz kolejny przeszła przez rozpadlinę, idąc do łóżka.

2

Pierwszą oznaką było ciemnienie nieba daleko na wschodzie, wysoko, nie tam, gdzie należało się spodziewać burzy piaskowej. Atrus badał właśnie nasłoneczniony stok wulkanu, szukając rzadkich okazów kamieni i minerałów do kolekcji, kiedy podniósł wzrok i ujrzał niewielką smugę ciemności na błękanie. Błękanie pierwszej chwili nie miał pewności, co to było. Przesunął głowę, sądząc, że przyczyna mogła tkwić w plamie na jednej z soczewek.

Spojrząwszy za siebie, spostrzegł, że smuga nie tylko nie zniknęła, ale urosła. Miał wrażenie, że ciemnieje z sekundy na sekundę.

Atrusa ogarnęło niejasne uczucie niepokoju.

Chłopiec odwrócił się i ruszył w dół zbocza. Dysząc od upału, puścił się pędem przez łąkę piaskową, która oddzielała najbliższy stopień od rozpadliny. Zatrzymawszy się tylko po to, by zrzucić sandały w zagłębienie skalne, pospiesznie zszedł po drabince sznurowej, aż kamienne szczelble zagrzechotały o skałę.

Hałas zaalarmował Annę. Po drugiej stronie ocienionej rozpadliny uchyliła się górna połowa drzwi jej pracowni. Anna wyjrzała, unosząc pytająco brwi.

- Atrusie?

- Coś się zbliża.

- Masz na myśli ludzi?

- Nie. Coś dużego, wysoko na niebie. Coś czarnego.

- Burza piaskowa?

- Nie... całe niebo zrobiło się czarne.

Anna wybuchnęła nieoczekiwanym śmiechem.

- Ach, tak – powiedziała, niemal jak gdyby tego właśnie się spodziewała. – Musimy przedsięwziąć środki ostrożności.

Atrus patrzyła na babkę w osłupieniu.

- Środki ostrożności?

- Tak – odparła wesoło Anna. – Jeżeli jest to to, co myślę, powinniśmy to wykorzystać. Okazja jest bardzo rzadka.

Wpatrywał się w nią, jak gdyby mówiła zagadkami.

- Chodź, pomóż mi – ponagliła. – Przynieś nasiona ze spiżarni. I miski, przynieś tak dużo misek, jak potrafisz, i poustawiaj je pod ścianą rozpadliny.

Atrus wciąż gapił się na babkę z otwartymi ustami.

- No, rusz się – powiedziała z uśmiechem. – Jeżeli widziałeś ją na horyzoncie, to znaczy, że wkrótce do nas dotrze. Musimy się przygotować.

Nic nie rozumiejąc, Atrus spełnił polecenie. Przeszedł przez most, przyniósł nasiona, a potem wrócił po miski i porozstawiał je wokół rozpadliny. Kiedy skończył, znowu spojrzał na Annę.

Stała na krawędzi rozpadliny i wypatrywała, osłaniając oczy dłonią. Atrus wdrapał się na ścianę i stanął obok niej.

Wielki czarny welon, który łączył ziemię i niebo, zakrywał już trzecią część horyzontu. Wyglądał jak fragment nocy, który pojawił się w niewłaściwym czasie.

- Co to jest? – spytał. W ciągu całego dziesięcioletniego życia nie widział nic podobnego.

- To burza, Atrusie. – Anna odwróciła się do niego z uśmiechem. – Ta czerń to wielka chmura deszczowa. Jeżeli dopisze nam szczęście, ten deszcz spadnie na nas.

- Deszcz?

- Woda – wyjaśniła, uśmiechając się jeszcze radośniej. – Woda spadająca z nieba.

Patrzył to na nią, to na wielką płachtę ciemności, otwierając usta ze zdumienia.

- Z nieba?

- Tak – odparła unosząc ręce, jakby chciała objąć nadciągającą ciemność. – Śniłam o tym, Atrusie. Śniłam o tym przez wiele, wiele nocy.

Po raz pierwszy powiedziała cokolwiek o snach i Atrus znowu spojrzał na babkę, jakby uległa przemianie. Woda z nieba. Sny. Dzień zamieniony w noc. Uszczypnął się mocno prawą ręką.

- Och, nie śniesz, Atrusie – powiedziała Anna, rozbawiona jego reakcją. – Musisz zachować przytomność i patrzeć, ponieważ możesz już nigdy nie zobaczyć takich widoków. – Znowu się zaśmiała. – Po prostu patrz, mój chłopcze. Po prostu patrz!

Chmura zbliżała się powoli i stawała się coraz chłodniejsza. Zerwał się lekki podmuch, przednia straż rosnącej ciemności.

- Dobrze – powiedziała po długiej chwili milczenia. – Bierzmy się do pracy. Musimy rozsypać nasiona po całej powierzchni rozpadliny. Opróżnij wszystkie mieszki oprócz jednego. Taka okazja nie powtórzy się przez wiele, wiele lat.

Wykonał polecenie, stale świadom czarnej połaci, która zasłaniała już cały horyzont. Co pewien czas podnosił trwożliwie wzrok, a potem znowu kulił głowę w ramionach.

Gdy skończył rozsypywać nasiona, schował mały worek do kieszeni i wspiął się na ścianę rozpadliny.

Płomień schowała się pod kamiennym stopniem na dnie rozpadliny. Zobaczywszy kotkę, Anna zawołała:

- Atrusie! Lepiej zanieś Płomień do swojego pokoju. Jeśli zostanie w rozpadlinie, będzie w niebezpieczeństwie.

Atrus zmarszczył brwi, nie pojmując, jakim cudem kotce mogło coś zagrażać. Przecież rozpadlina była najbezpieczniejszym z miejsc. Nie sprzeczał się jednak, lecz wziął Płomień pod pachę i zamknął w spiżarni.

Po powrocie na krawędź rozpadliny spostrzegł, że burza była tuż-tuż. Wyszedł na otwartą piaszczystą przestrzeń i spojrzał na Annę. Zastanawiał się, co powinni zrobić, gdzie się ukryć, ale wydawało się, że babka nic sobie z tego nie robi. Stała przyglądając się nadciągającej ciemności, a uśmiech nie zniknął z jej ust. W pewnym momencie odwróciła się i zawołała przekrzykując nadciągający rumor burzy:

- Zdejmuj okulary, Atrusie, to będziesz lepiej widział!

Znowu spełnił polecenie, chowając ciężkie soczewki do kieszeni płaszcza.

Burza wyglądała jak potężna, migotliwa ściana czerni i srebra. Nacierала na Atrusa, wypełniając całe niebo, pochłaniając po drodze pustynię. Ciemność tę rozjaśniały dziwne błyski, którym towarzyszył głuchy pogłos, wybuchając nagłą nawałnicą dźwięku.

Drżąc na całym ciele, zamknął oczy, zacisnął zęby, skulił się przed natarciem. Deszcz runął na niego, moczając go w mgnieniu oka, bębniąc po głowie, ramionach i rękach chłopca z taką zaciekłością, że przez chwilę Atrusowi zdawało się, że wbije go w ziemię. Zszokowany wstrzymał oddech. Zatoczył się i nagle, ku swemu zdumieniu, usłyszał śmiech Anny.

Spojrzał na ziemię, zadziwiony jej przemianą. Jeszcze przed chwilą stał na pisaku, a teraz jego stopy tkwiły w lepkiej, wirującej mazi, która wciągała go, gdy próbował się wyswobodzić.

- Anno! – zawołał odwracając się do niej i wyciągając rękę.

Podeszła do Atrusa chichocząc jak mała dziewczynka. Deszcz przylepił jej włosy do głowy, a ubranie oblekało jej smukłe, chude ciało jak druga skóra.

- Czy to nie cudowne!?! – krzyknęła, wystawiając twarz na deszcz i zamykając oczy w ekstazie. – Zamknij oczy, Atrusie, poczuj deszcz na twarzy.

Po raz kolejny spełnił polecenie tłumiąc w sobie instynkt ucieczki. Pozwolił, by deszcz siekł go po policzkach i szyi. Po chwili poczuł, że twarz mu drętwieje. Nagle, nie pojmując, dlaczego tak się dzieje, zaczął odczuwać przyjemność.

Skulił głowę w ramionach i zerknął na babkę. Anna podskakiwała na jednej nodze, obracając się powoli z rękami wzniesionymi w górę, jak gdyby pozdrawiała niebo. Atrus zaczął ją nieśmiało naśladować. Po chwili dał się ponieść nastrojowi: wirował jak szalony, deszcz padał i padał, wydając odgłos podobny do wielkiej burzy piaskowej.

Nagle, tak nieoczekiwanie, że Atrus wstrzymał oddech, deszcz ustał. Chłopiec odwrócił się mrugając oczami akurat w porę, by zobaczyć, jak chmura przepływa nad rozpadliną i wspina się na zbocze wulkanu. Lita ściana wody pozostawiła pustynię ciemną i płaską.

Atrus rozejrzał się wokół siebie i zauważył, że wszystkie garnki wypełniły się po brzegi; szereg rozedrganych luster odbijał zaskakujący błękit nieba. Chłopiec chciał coś powiedzieć do Anny, ale nagle odwrócił się, zaskoczony sykiem, który wydobywał się z wulkanu.

Z krateru podnosiły się gęste kłęby pary, jak gdyby uśpiony olbrzym ożył.

- Wszystko w porządku – uspokoiła go Anna kładąc mu rękę na ramieniu. – Tak się dzieje, kiedy deszcz przesiąknie do głębokich korytarzy.

Atrus przytulił się do babki, chociaż już się nie bał. Teraz, kiedy burza przeszła, a on ją przeżył, przepelniało go uczucie zachwytu.

- No i co? – spytała cicho. – Co o tym sądzisz?

- Skąd ona nadeszła? – zapytała patrząc, jak potężna ciemna ściana powoli się oddala.

- Znad wielkiego oceanu. Musi przebyć setki kilometrów, żeby tutaj dotrzeć.

Atrus skinął głową, ale jego umysł wciąż wypełniał obraz olbrzymiej, srebrnej zasłony, która zwała się na niego i połknęła. Przypomniawszy sobie, jak bębniła po jego skórze niczym tysiąc tępych igiełek.

Atrus pojrzał na Annę i wybuchnął śmiechem.

- Ależ babciu, ty parujesz!

Uśmiechnęła się i delikatnie szurnęła wnuka.

- Ty też, Atrusie. Chodź, wejdźmy do środka, zanim słońca nas wysuszy.

Skinął głową i zaczął się wspinać na ścianę rozpadliny. Chciał jak najszybciej wypuścić Płomień ze spiżarni. Kiedy jednak wystawił głowę poza krawędź rozpadliny, znieruchomiał otwierając usta ze zdumienia.

Rozpadlina zamieniła się w wielkie niebiesko-czarne lustro przepołowione cieniem stromych ścian. Przypominała teraz tarczę o poszarpanych brzegach.

Anna kucnęła obok wnuka i spojrzała mu z uśmiechem w oczy.

- Chciałbyś się nauczyć pływać, mój mały robaczku?

Anna obudziła Atrusa jeszcze przed świtem. Delikatnie potrząsnęła go za ramię, a potem cofnęła się. Uniosła w górę lampę naftową, a jej łagodny, żółty blask oświetlił postanie chłopca.

- Chodź – powiedziała, uśmiechając się do wnuka, który przecierał oczy. – Chcę ci coś pokazać.

Atrus usiadł, nagle w pełnym pogotowiu. Coś się wydarzyło. Coś... Wpatrywał się w Annę.

- To było prawdziwe, babciu? Czy to się naprawdę zdarzyło, czy tylko mi się śniło?

- To się zdarzyło – odparła cicho, potem wzięła wnuka za rękę, minęła swoją ocienioną komnatę i wyprowadziła go na wąski balkon.

Księżycowi brakowało dwóch dni do pełni, a chociaż minął już zenit, jego światło wciąż srebrzyło dalszy kraniec stawu.

Atrus stał oddychając płytko, oczarowany widokiem, wpatrzony w nieskazitelne, hebanowe zwierciadło stawu. Nie był to staw, który znał od dzieciństwa, ale większy, bardziej zdumiewający staw, wypełniający rozpadlinę od krawędzi do krawędzi. Chłopiec westchnął.

- Gwiazdy...

Anna pochyliła się i wskazała na odbity w wodzie zarys myśliwego.

- Spójrz tam, Atrusie. Tam jest gwiazda przewodnia.

Przyjrzał się jasnej, błękitnawej gwiazdzie. Potem podniósł wzrok i spojrzał na jej bliźniaczkę na nieboskłonie.

- To właśnie chciałaś mi pokazać? – zapytał po chwili.

- Nie... Chodź za mną.

Na chwilę przed wyłonieniem się z rozpadliny – zanim zobaczył to, co babka postanowiła mu pokazać – Atrus zatrzymał się na drugim szczelbu od góry i spojrzał w dół.

Daleko w dole – tak daleko, że odniósł wrażenie, jakby został odwrócony i zawisł w przestrzeni – rozpościerało się rozgwieżdżone niebo. Złudzenie było niemal doskonałe. Był pewien, że gdyby puścił szczelbę, spadałby bez końca. Wreszcie, zdając sobie sprawę, że babka czeka na niego cierpliwie po drugiej stronie, podciągnął się i wyszedł z rozpadliny.

Zamarł w bezruchu. Otworzył usta i przez chwilę zdawało mu się, że śni.

Między rozpadliną a obrzeżem krateru całe zbocze wulkanu było usiane dywanem kwiatów. Nawet w blasku księżyca Atrus potrafił rozróżnić ich jaskrawe kolory: fiolety i błękity, ciemną zieleń i lilaróż, jasną czerwień i płomienny pomarańczowy.

Chłopiec patrzył na kwiaty, nic nie pojmując. To było niemożliwe.

- To są efemerydy – głos Anny przerwał głęboką ciszę. – Ich nasiona, setki tysięcy drobniutkich nasion, leżały przez lata w suchej ziemi. Kiedy spadł deszcz, wreszcie rozkwitły. Kwitną przez jeden dzień, przez jedną noc. A potem...

Westchnęła. Nigdy jeszcze Atrus nie słyszał tak smutnego westchnienia. Zdziwiony, podniósł na nią wzrok. Jeszcze przed chwilą głos Anny rozbrzmiewał taką radością, takim podnieceniem.

- Co się stało, babciu?

Uśmiechnęła się w zamyśleniu i pogłaskała wnuka po głowie.

- Nic takiego, Atrusie. Myślałam o twoim dziadku, o tym, jak wielką radość sprawiłby mu ten widok.

Atrus zeskoczył na dół, czując pod stopami cudowny, soczysty chłód roślinności. Ziemia była wilgotna i chłodna, a on mógł ją miesić palcami stóp.

Kucnął, przesunął dłonią po drobnych, miękkich kwiatkach, a potem zerwał jeden i przyjrzał mu się z uwagą.

Miał pięć różowych płatków i delikatne pręciki koloru piaskowca. Pozwolił mu opaść.

Przez chwilę klęczał tam, chłonąc wszystko, aż wkrótce nowa myśl zaświtowała mu w głowie. Obejrzał się na Annę.

- Nasiona!

Atrus wstał i stąpając ostrożnie wzdłuż ściany rozpadliny, sprawdził wszystkie miejsca, gdzie przed burzą rozsypał cenne ziarna.

Po chwili spojrzał na Annę i roześmiał się.

- Udało się! Ziarna wykiełkowały! Popatrz, Nanno, popatrz!

Anna odwzajemniła uśmiech.

- Powinniśmy zebrać plon, Atrusie, zanim wszędzie słońce i pustynia odbierze to, co nam dała.

Praca była skończona. Nadszedł czas na badania. Kiedy świt zaczął rzucać długie cienie na piasek, Atrus wspiął się na zbocze wulkanu. Ruda kotka, Płomień, nie odstępowała go ani na krok, najwyraźniej oszołomiona nagłym bogactwem kwiatów. Skakała i tarzała się w nich, jak gdyby czas się cofnął i znowu była kociakiem.

Obserwując ją, Atrus zachichotał. Włożył okulary, ustawiając filtr słoneczny na niskim poziomie, a powiększenie na wysokim. Mógł wreszcie zaspokoić ciekawość, zanim słońce wszędzie zbyt wysoko, upał stanie się nie do zniesienia, a kwiaty, zgodnie z zapewnieniem Anny, uschną i znikną.

Początkowo wędrował leniwie, równie bezcelowo jak chuda kotka, która stale mu towarzyszyła. Nagle, wcale sobie tego nie uświadamiając, zaczął czegoś szukać. A raczej nie tyle szukał, ile usiłował ustalić, co takiego zobaczył, a nie zrozumiał.

Zatrzymał się, obracając głowę, próbując ustalić, co go zaintrygowało. Początkowo nie dostrzegł niczego, potem jednak drgnął. Tam! Tak, w płytkim wgłębieniu, które zbiegało do jednego z nieczynnych kanałów wulkanu!

Atrus podszedł do wgłębienia i przyjrzał mu się, kiwając głową. Nie ulegało wątpliwości, że roślinność była tu bardziej soczysta, kwiaty większe, a liście grubsze i szersze.

Dlaczego tak się działo?

Schylił się, wyrwał jedną roślinę i zbadał jej płytkie korzenie. Atrus powąchał ziemię, która do nich przylgnęła. Zapach był dziwny, niemal metaliczny. Minerale. Obecność minerałów – konkretnych minerałów? – wpłynęła dodatnio na rozwój roślin.

Atrus oczyścił dłonią mały splachetek, nabrał garść ziemi i ostrożnie wsypał ją do jednej z kieszeni płaszcza. Wyprostowawszy się, obejrzał się na zbocze, gdzie Płomień leżała na plecach w kępie jasnożółtych kwiatów i machała łapką w powietrzu.

- Chodź! – krzyknął, chcąc sprawdzić swoją teorię.

Od dnia deszczów pustynnych minęły blisko trzy miesiące. W ciągu tego czasu dziesięciolecie pracował co wieczór w świetle zawieszanej na kołku lampy naftowej. Płomień spała na podłodze, a Atrus cierpliwie poszukiwał związku chemicznego nasilającego wzrost roślinności.

Warsztat Atrusa znajdował się w małej, świeżo wykutej alkowie za pokojem Anny, pracując wytrwale przez cały rok, własnymi rękami wyrył niszę w ścianie, pomagając sobie narzędziami babki. Zgodnie z zaleceniami Anny pilnował, by wyjmować kamienie małymi porcjami. Wciąż sprawdzał, czy nie ma w skale skaz, które mogły doprowadzić do pęknięcia i zawalenia się całej ściany.

Atrus wygładził stopień skalny, na którym porozkładał osobliwie wyglądające przyrządy. Nad stopniem wyrył trzy wąskie półki, gdzie przechowywał swoje przybory: wąskie garnki z kamienia i gliny, małe, ręcznie plecione koszyki pełne rozmaitych proszków i związków chemicznych, zbieleń kości zwierząt pustynnych, pustynnych na najwyższej półce kolekcję rzadkich skał i minerałów. Były tam wypolerowane agaty niczym wydęte usta dziwnych stworzeń; duży kawał zeolitu, który przypominał Atrusowi wąsy egzotycznej śnieżnej bestii; bryłki błękitnego lazurytu obok jasnożółtego kryształu siarki; wydłużony stożek kwarcu oraz maleńkie, przezroczyste pudeleczko z tygrysim okiem. Te oraz inne kryształy stały na półce, podzielone na siedem grup: regularne, tetragonalne, jasnoskośne, rombówce, skośne, heksagonalne i trygonalne – o których czytał w książkach babki.

Na ścianie za stopniem do pracy wisiła obszyta złotymi frędzlami draperia, którą Anna zrobiła z kupionego od handlarzy czerwonego i niebieskiego jedwabiu. Pozostałe ściany zdobiły odręczne rysunki i wykresy, niektóre Anny, inne Atrusa.

Zadanie, które wyznaczył sobie chłopiec, nie było łatwe, zważywszy na skąpe wyposażenie laboratorium. Początkowo Atrus sądził, że sprawa okaże się prosta. Spodziewał się znaleźć w próbkę gleby trzy, najwyżej cztery związki chemiczne, ale ku jego zdziwieniu i irytacji sytuacja była bardziej złożona. Po wielu tygodniach

doświadczeń wyodrębnił w próbce gleby ponad trzydzieści pierwiastków. Najwyraźniej kanały wulkaniczne stanowiły prawdziwy róg obfitości. Opracowanie metod testowania teorii także nie było proste. W książkach babki, które zawierały całe rozdziały na temat kształtowanie i użytkowania kamienia i metalu, znalazł zaledwie kilka wzmianek na temat rolnictwa. Musiał improwizować.

Kiedy Atrus poczuł, że nadszedł czas żniw, wybrał kilka większych pędów – po dwa z każdego rodzaju – i zaniósł je do kuchni w najlepszym koszu Anny.

Stał przy kamiennym zlewie pod oknem i wyglądał na rozpadlinę. Płukał starannie pędy zmywając ziemię z korzeni. Płomień podeszła do grządki i powąchała rozkopaną ziemię, ostrożnie grzebiąc w niej łapką.

Atrus przyglądał się kotce przez chwilę, uśmiechając się na widok jej psikusów, wreszcie otrząsnął pędy z wody, położył na desce i zdjął z wieszaka.

Zaczął siekać pędy, patrząc, jak Płomień się przeciąga, kładzie się wśród pozostałych roślin i zaczyna wylizywać różowym języczkiem krótkie futerko.

- Hej, ty – zawołał łagodnie. Nie dość, że kotka zjadła już miętę rosnącą po drugiej stronie stawu, to jeszcze umościła sobie legowisko na poletku doświadczalnym Atrusa.

Po skończonej pracy wsypał posiekane pędy do glinianej miski. Pachniały świeżo, trochę jak mięta, chociaż nie tak słodko. Podniósł krótki kawałek, powąchał go, a potem wsunął do ust.

Miał przyjemny smak, tylko że...

Atrus wykrzywił twarz w grymasie. Pędy miały nieprzyjemny, gorzki posmak. Przesunął czubkiem języka po dziąsłach i wzdrygnął się.

- Fui!

- Atrusie?

Odwróciwszy się, napotkał pytający wzrok Anny.

- Co się stało?

- Nic – odparł i zaniósł miskę z powrotem do zlewu. Może nie umył pędów dość starannie. Za żadną cenę nie chciał dopuścić do tego, żeby były niesmaczne.

Idąc do spiżarni, Anna przesunęła delikatnie palcami po plecach wnuka. Atrus poczuł na szyi jej oddech.

- Dobrze wyglądają – stwierdziła, kiedy się do niej odwrócił. – Mam do nich ugotować ryż?

- Nie, ja to zrobię. Przyrządzę też specjalny sos.

Anna skinęła głową, ścisnęła go delikatnie za rękę i poszła w stronę schodów.

Odprowadził babkę wzrokiem, a potem znowu wyjrzał na rozpadlinę. Płomień zwinęła się w mały pomarańczowy kłębek pośród jasnozielonych pędów. Chłopiec uśmiechnął się, nalał świeżej wody z dzbanka i zabrał się do ponownego płukania pędów.

Atrus naprawiał kamienną ścianę w głębi rozpadliny, kiedy poczuł ból. Początkowo sądził, że to tylko skurcz. Wyprostował lewą rękę, żeby rozluźnić mięśnie, i chciał kontynuować pracę. Kiedy jednak sięgał po rydel, przeszył go taki ból, że zgiął się wpół.

- Atrusie?

Anna podbiegła do niego.

- Co się stało, Atrusie?

Chciał jej odpowiedzieć, ale kolejny atak bólu pozbawił go tchu. Uklęknął, wykrzywiając twarz.

Miał wrażenie, że ktoś zadał mu cios nożem.

- Atrusie?

Spojrzał na nią, a oczy zaszyły mu łzami. Po chwili, nie mogąc się opanować, zaczął wymiotować.

W końcu podniósł głowę, był wyczerpany. Czoło zrosił mu pot. Anna klęczała obok wnuka, obejmując go ramieniem i mrużąc coś do siebie pod nosem.

- Co?

- Pędy – powtórzyła. – To musi być sprawa pędów. Jadłeś je?

Atrus już miał potrząsnąć głową, ale nagle sobie przypomniał.

- Zjadłem, ale tylko jeden. Ja...

Znowu poczuł drżenie i przeszywający ból w żołądku. Przełknął ślinę i spojrzał na Annę.

- Coś musiało w nich być – powiedziała ocierając mu czoło. – Czego użyłeś?

- Użyłem? – Atrus nie potrafił skupić myśli. – Niczego nie...

Nagle zrozumiał. Środki chemiczne; coś musiało być w środkach chemicznych. Przypomniał sobie gorycz, posmak... Niezbyt silny, ale na tyle nieprzyjemny, by zwrócić jego uwagę.

- Zawiodłem cię! – jęknął Atrus.

- Nie – zaprzeczyła Anna, której słowa wnuka sprawiły ból. – Nie możesz zawsze osiągać dobrych wyników. Gdyby tak było...

Spojrzał na nią, rozgniewany nie na babkę, ale na siebie.

- Mogłem cię zabić. Mogłem zabić nas oboje!

Anna skrzywiła się i chciała potrząsnąć głową, ale Atrus wpatrywał się w nią, zabraniając jej zaprzeczyć.

- Nie, Atrusie – powiedziała w końcu. – Nie zawiodłeś mnie. Wyciągniesz naukę z tego wydarzenia.

Jednak Atrus nie wyglądał na przekonanego.

- O mały włos nas nie zabiłem – powtórzył kręcąc głową. – O mały...

Anna przytuliła go, aż się uspokoił i rozluźnił. Potem pomogła mu wstać, zaprowadziła nad staw, uklękła obok wnuka, nabrała wody w dłonie i obmyła mu twarz i szyję.

- No, już lepiej – stwierdziła z uśmiechem.

Atrus wstał niepewnie.

- Chyba wykopię je wszystkie... - Nagle zamarł i odwrócił się. – Płomień?

Anna minęła go i pochyliła się nad pomarańczowym kłębkim. Przez chwilę trwała nieruchomo, z uchem przyłożonym do boku kotki. Wreszcie wstała powoli potwierdzając najgorsze przeczucia Atrusa.

- Przykro mi – wyszeptała. – Ja...

Atrus podszedł, uklękł i przez chwilę przyglądał się małemu zwierzątku. W końcu, ostrożnie, jakby kotka tylko spała, podniósł ją i zaniósł do kępy niebieskich kwiatów na skraju rozpadliny.

Anna odwróciła się, obserwując wnuka. Uderzyła ją godność, z jaką się poruszał; nie zdradzał uczuć jak dorosły mężczyzna. Zrozumiała, że w tym momencie zrzucił z siebie część dzieciństwa i zrobił kolejny krok w świat dorosłych. Oddalał się od niej.

3

W skwarnym słońcu późnego popołudnia cienkie smużki oparów siarki unosiły się z drobnych fumaroli wulkanu. Wiły się jak welony tancerki w cieniu poniżej krawędzi i znikwały w panującym w górze blasku.

Atrus stał na krawędzi wulkanu, patrząc na głęboką misę krateru. Był w okularach. Włożył większą z dwóch par wiszących w pracowni babki. Ich gruby skórzany pasek mocno opinał jego ogoloną głowę osłoniętą białym kapturem. Usta i nos skrywała mu zrobiona przez Annę maska z materiału. Szeroki pas z narzędziami był idealną kopią pasa babki.

Atrus, który liczył sobie czternaście lat, szybko rósł w ciągu minionego roku. Osiągnął już prawie wzrost mężczyzny, ale musiał jeszcze nabrać ciała. Również jego twarz uległ zmianie nabierając ostrzejszych, wyraźniejszych cech męskich; zarówno nos, jak i podbródek straciły chłopięcą miękkość. Miękkość żadnej mierze nie był słabym chłopcem, ale obserwując go ze szczytu ściany rozpadliny, Anna zauważyła, jak bardzo był chudy. Obawiała się, że pustynny wiatr mógłby porwać chłopca.

Od kilku tygodni Atrus przygotowywał doświadczenie. Teraz był gotów je rozpocząć.

Odwróciwszy się, zszedł na dół, kryjąc się przed palącym światłem w chłodnym cieniu pod krawędzią krateru. Tu, na wąskim stopniu, rozłożył swój sprzęt. Na wprost niego wulkan opadał stromo, a po prawej, poniżej zaokrąglonego kamienia, który wyglądał tak, jakby uformował się z płynnego błota, biegł wąski kanał. U jego wylotu chłopiec umieścił wypukłą pokrywkę, którą wykuł z metalu. Była niezgrabna, ale skuteczna; przymocował ją do skały czterema grubymi szpilami. Na szczycie kopułki był mały metalowy cylinder.

Za pomocą pokręteł po obu stronach okularów Atrus poprawił ostrość soczewek. Startł grubą warstwę kurzu z metalowej kopułki, nachylił się i przyjrzał srebrnemu zaworowi długości palca. Sprawdził spaw chyba po raz dziesiąty, a potem zerknął na dwa z grubsza wyskalowane wskaźniki zamocowane w kopułce po obu

stronach zaworu. Nad każdym ze wskaźników był gruby na kciuk bolec z wywierconym otworkiem.

Atrus wyprostował się i odetchnął. Miał tylko jedną szansę, więc eksperyment musiał się udać. W razie niepowodzenia musieliby czekać rok lub dłużej na kupno potrzebnych części od handlarzy.

Odwrócił się i spojrzał na dwa przewieszane przez obrzeże krateru, potężne, skręcone kable, które zrobił pod nadzorem Anny. Tuż ponad nimi wystawał długi czarny kamień, do którego przymocował dwa małe kółka i przełożył przez nie ręcznie pleciony sznur, tworząc wciągarkę. Podobnie jak kopułka wciągarka sprawiała wrażenie siermiężnej. Atrus jednak był pewien, że doskonale spełni swoje zadanie. Chcąc ją sprawdzić, spędził kilka popołudni na opuszczaniu i ponownym wciąganiu kamieni, wielokrotnie cięższych niż ładunek, który wciągarka miała przenieść teraz.

Po drugiej stronie krateru, obok miejsca, w którym kamienny wysięgnik był obciążony stertą ciężkich kamieni, w namiocie domowej roboty stała duma i radość Atrusa – początek i koniec całego tego cierpliwego mozołu: akumulator. Sięgnął w górę, chwycił za jeden z przewodów i pociągnął go, by dotknął metalowej kopułki. Przymocowawszy przewód do jednego z bolców, to samo zrobił z drugim.

Poprawił okulary, po czym wspiał się na ścianę i wyszedł na upalne słońce.

Przez chwilę stał, próbując odzyskać oddech. Każde wyjście z cienia przypominało wstąpienie do pieca. Nie miało znaczenia, jak często to robił; za każdym razem zmiana chłodnego cienia na skwar otwartej przestrzeni przypominała uderzenie pięści.

Atrus zanurkował pod grube płótno namiotu i uśmiechnął się. Tym razem wziął pod uwagę wszystkie czynniki. Dopilnował, by uwzględnić w obliczeniach wszystkich aspekty całości.

Akumulator stał w kącie namiotu, oparty o występ skalny. Na widok masywnego urządzenia Atrus poczuł uzasadnioną dumę. Własnoręcznie wyciął kamienny blok, a następnie, posługując się najlepszymi narzędziami Anny, wydrążył go według opisu, który znalazł w starodawnej księdze D'ni. Sporządzenie płyt akumulatora okazało się stosunkowo łatwe. Sucha ziemia wokół wulkanu obfitowała w rozmaite związki chemiczne, a niedaleko rozpadliny Atrus znalazł bogate złoża galenitu, rudy zawierającej siarkę i ołów. Co się tyczy kwasu siarkowego, to akurat siarki w wulkanie nie brakowało. Jedynym czynnikiem ograniczającym wielkość akumulatora okazał się jego ciężar.

Atrus ponownie poprawił soczewki, uklęknął i przyjrzał się z dumą swemu dziełu. Spędził wiele nocy na polerowanie kamienia, a potem, pod wpływem kaprysu, wyrzył z boku trzy starodawne słowa D'ni, same w sobie stanowiące dzieło sztuki:

„Światło. Moc. Siła”.

Akumulator przypominał mały kamienny dom; metaliczny blask zacisków nadawał mu dziwny, egzotyczny wygląd.

Obok akumulatora stała inna, mniejsza skrzynka – detonator. Zrobił go z czerwonej gliny, wypalanej w piecu garncarskim Anny. Pojedynczy otwór w górnej ścianie zatkał woskowym klinem, w którym umieścił kawałek grubego pnącza, nasączonego roztworem silnie reagujących związków chemicznych. Chemicznych na przedniej ścianie znajdowała się gruba gliniana rączka.

Atrus podniósł ostrożnie detonator, owinał go w płaszcz i wyniósł z namiotu. Przeszedł obrzeżem krateru i podpierając się o szorstką ścianę, zszedł na występ skalny.

Postawił detonator, wspiął się na palce, chwycił gruby metalowy hak na końcu sznura i pociągnął. Usłyszał odgłos mechanizmu hamulcowego.

To także był jego wynalazek.

Podczas jednej z pierwszych prób z wciągarką odkrył, że kamień ciągnął sznur o wiele za szybko. Kiedy spróbował go przytrzymać, sznur otarł mu boleśnie dłonie. Po licznych eksperymentach opracował system zatrzymywania koła po każdym obrocie, tak że wciągarką można się było posługiwać za pomocą delikatnych pociągnięć.

Podniósł skrzynkę, przełożył hak przez rączkę, a następnie, odsuwając sznur daleko od siebie, powoli opuścił detonator. Kiedy sznur się napiął, Atrus się cofnął.

Pozostała tylko jedna rzecz do zrobienia. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął starodawną hubkę D'ni.

Nachylił się, przytrzymując się kamiennego wysięgnika, zbliżył płomień do lontu, a kiedy pnącze zajęło się ogniem, zwolnił blokadę i cofnął się od krawędzi.

Przez chwilę sądził, że lont zgasł, ale nagle gwałtownie zapłonął z głośnym sykiem.

Atrus odwrócił się i ile sił popędził po zboczach w kierunku wciągarki.

Nadszedł decydujący moment. Gdyby lont spalił się za szybko albo wciągarka z jakiegoś powodu się zablokowała, sprawy przybrałyby zły obrót.

Klęknął obok koła hamulcowego i zaczął nim powoli obracać, wsłuchując się w terkot. Liczył w głowie, oczekując wybuchu.

Kiedy doliczył do dwudziestu, przylgnął do ziemi za stertą kamieni i zatkał uszy.

...dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć...

Wybuch zakołysał zboczem wulkanu. Nastąpił o cztery sekundy za wcześnie, ale to nie miało znaczenia, ponieważ akumulator stał już we właściwym miejscu, obok uskoku.

Atrus zaśmiał się i wstał otrzepując ubranie. Kiedy echo ucichło, rozległ się odgłos, który miał nadzieję usłyszeć: głośny syk pary wylatującej z kopułki.

Rozradowany wspiął się na krawędź rozpadliny i spojrzał w dół. Rączka wciągarki zniknęła, podobnie jak duży fragment występu skalnego, ale korytarz, chroniony przez potężną skałę, pozostał nienaruszony. Para wylatywała z kopułki miarowym, silnym strumieniem.

Atrus odwrócił się do Anny, która stała na ścianie rozpadliny, i pomachał do niej energicznie, uśmiechając się triumfalnie.

- To działa! – zawołał, zdzierając maskę z twarzy. – To naprawdę działa!

Anna pomachała do niego, a potem, przykładając dłonie do ust na kształt tuby, coś krzyknęła, ale Atrusowi tak dzwoniło w uszach, że nie słyszał co. Poza tym, wściekły syk pary zdawał się nasilać z każdą sekundą. Wołała „cofnij się”, albo coś w tym rodzaju. Atrus uśmiechnął się szeroko, znowu pomachał do babki i odwrócił się od syczącej kopułki.

- Udało się – powiedział cicho, widząc, jak kopułka dygocze i stuka o cztery przytrzymujące ją szpile. – Naprawdę się udało.

Zszedł na dół i pilnując, żeby za bardzo się nie zbliżyć, spojrzał na wskaźniki.

Widząc, że obie strzałki wychyliły się na czerwone pole, poczuł dreszcz napięcia. Akumulator przekazywał prąd!

Nadal rozpromieniony cofnął się i nagle poczuł przejmujący chłód. Patrzył bezradnie, jak jedna z metalowych szpil porusza się i wysuwa ze skały, jakby wyciągana niewidzialną, ale potężną ręką.

Atrus zaczął się powoli odsuwać. W pewnym momencie odgłos dobiegający z kopułki zmienił się, podnosząc się o pełną oktawę, jak gdyby ta sama niewidzialna dłoń nacisnęła klawisz organów.

Atrus odwrócił się i potykając się puścił się pędem po zboczu, miał wrażenie, że porusza się w gęstej, lepkiej mazi. Zdążył zrobić zaledwie dziesięć kroków, kiedy runął na twarz. W tym samym momencie wydało mu się, że całe obrzeże krateru za jego plecami unosi się w powietrze.

Odzyskawszy przytomność, Atrus spojrział w górę, zdumiony rozpościerającym się wokół niego widokiem. Na tle jasnego błękitu nieba rysowały się poszarpane ściany wulkanu.

Znajdował się w kraterze; obrzeże musiało się zawalić.

Powoli podniósł się z ziemi. Para snuła się po zawalonym kamieniami dnie wulkanu, skrywając jego dalsze krańce. Niekiedy w kłębach pary formowała się jakaś postać o dziwnie pięknych, krystalicznych kształtach.

Natychmiast dostrzegł akumulator. Podeszedł do niego, kucnął i pokręcił głową, zdumiony stanem, w jakim go zastał. Akumulator pozostał prawie nietknięty. Na polerowanej kamiennej powierzchni widniało kilka zadrapań, ale urządzenie wytrzymało wstrząs. Co więcej, wskaźnik na górnej ściance pokazywał, że akumulator był w pełni naładowany.

Atrus zaśmiał się radośnie i z czułością pogłodził górną ściankę akumulatora. Teraz przynajmniej wiedział, że przyjął słuszną zasadę. Gdyby tylko znalazł odpowiedni korytarz, gdyby udało mu się ustawić właściwie ciśnienie, wówczas uzyskaliby nieograniczony zasób energii elektrycznej. Ich życie uległoby przemianie. Rozpadlina świeciłaby w mrokach pustynnej nocy jak kocie oko.

Uśmiechając się, Atrus podniósł głowę i spojrział przed siebie. Przez chwilę obłok pary zasłaniał mu widok. Kiedy się rozwiął, przed chłopcem rozpostarła się czarna czeluść.

Była to jaskinia albo pewnego rodzaju tunel.

Wstał i ruszył w jego stronę.

Dziwne. Otwór wyglądał tak, jakby został wydrążony w skale.

Para ponownie zasłoniła czeluść.

- Atrusie!

Odwrócił się i zobaczył Annę stojącą wysoko ponad nim na obrzeżu krateru.

- Wejdź na górę! Natychmiast wracaj na górę!

- Ale mój akumulator...

- Natychmiast!

Natychmiast drodze powrotnej Anna była dziwnie milcząca. Nagle zatrzymała się.

- Co widziałeś, Atrusie?

- Widziałem... - Zamilkł, zdziwiony jej pytaniem.

- Odpowiedz, Atrusie. Co widziałeś?

- Akumulator. Mój akumulator się naładował.

- Czy to wszystko?

- Widziałem parę, mnóstwo pary. – Zmarszczył brwi. – Muszę wrócić po akumulator.

Atrus zawrócił, ale Anna powstrzymała go delikatnie za ramię.

- Zapomnij o akumulatorze, to zbyt niebezpieczne. Chodź, umyjemy cię.

4

Księżyc dopiero co wzeszedł. Atrus uważając, by nie zbudzić Anny, wypełził z komnaty sypialnej. Wziął z magazynu sznur i duży kawał płótna, po czym wspiął się na zbocze wulkanu.

W połowie zbocza zatrzymał się, zdumiony zmienionym kształtem obrzeża krateru. Odnosił wrażenie, że miało to związek z inną, głębszą odmianą, jaka zaszła w samym wulkanie.

Atrus stanął na obrzeżu i spojrzął w dół na ścieżkę wijącą się po wewnętrznym zboczu krateru. Kiedy patrzył w ciemność, doznał nie znanego mu dotąd uczucia strachu.

Przekroczył obrzeże i zaczął schodzić w mrok, zdezorientowany pomrukami, dochodzącymi z głębi wulkanu. Po plecach przebiegł mu dreszcz, włosy zjeżyły się na karku.

Na dnie krateru było dziwnie ciepło i wilgotno. Atrus rozejrzał się wokół, po czym, z szybko bijącym sercem, ruszył powoli przed siebie, nie spuszczać wzroku ze skał. Para wirowała i syczała, układając się w przedziwne kształty, zmieniające się w srebrzystym blasku księżyca.

Akumulator stał tam, gdzie Atrus go zostawił. Kucnął obok niego na chwilę, kładąc dłoń na znajomej obudowie. Jednak jego wzrok przyciągnął wylot tunelu. Nie mogąc się oprzeć, podszedł do ciemnej czeluści.

Wyjął z kieszeni hubkę, wykrzesał ogień i wszedł do środka.

W migotliwym świetle krzesiwa widział, jak tunel ginie w mroku, opadając stopniowo jak wielka nora robaka wydrążona w litej skale. Panował tu zdumiewający chłód, jak gdyby z głębi tunelu wiał wiatr.

Ruszył dalej, licząc kroki. Kiedy doliczył do pięćdziesięciu, zatrzymał się i obejrzał za siebie. Nie widział wejścia, ponieważ zasłaniał je zakręt tunelu.

Ruszył w dalszą drogę jak zaczarowany, jak gdyby jakaś siła kazała mu sprawdzić, dokąd prowadził tunel.

Zapach siarki znacznie osłabł, a pojawiła się silna woń stęchlizny.

Atrus obrócił się, podszedł do ściany i położył na niej dłoń. Była chłodna i sucha. Właśnie zamierzał odejść, kiedy pewna nieregularność na ścianie przykuła jego uwagę. Podszedł bliżej, unosząc krzesiwo i nagle stanął jak wryty. Na wprost niego widniało wyryte w ścianie pojedyncze słowo, wysokie na pół jego wzrostu i dwa razy szersze.

D'ni! Nie było wątpliwości: miał przed sobą słowo D'ni!

Atrus wpatrywał się w napis; nie poznał go, ale próbował zapamiętać.

Dotychczas powątpiewał w historie, które opowiadała mu babka. Niekiedy wyobrażał sobie, że Anna sama napisała stojące na półkach książki, podobnie jak wyczarowywała obrazy z powietrza albo zamieniała kawałek surowej skały w misternie rzeźbioną figurkę.

Takie myśli niepokoily Atrusa, ponieważ nigdy nie przyłapał babki na kłamstwie. Jej opowieści były jednak tak dziwne, tak fantastyczne, że trudno mu było uwierzyć, że takie rzeczy faktycznie się wydarzyły.

Atrus ruszył w drogę powrotną do wyjścia, ale nagle o mały włos nie poślizgnął się na czymś, co poturlało się po ziemi i zaczęło się jarzyć, początkowo słabo, potem jasno, wypełniając tunel ciepłym, czerwonym światłem.

Podszedł do świecącego przedmiotu, uklęknął i dotknął ostrożnie, w obawie, że okaże się gorący. Z zadowoleniem stwierdził, że jest chłodny, więc podniósł go dwoma palcami.

Była to mała, okrągła kulka z nie znanego mu marmuru. Od dziesięciu lat zbierał próbki skał i kryształy, ale nigdy nie widział nic podobnego. Zamknął kulkę w dłoni, zdziwiony brakiem ciepła.

Zgasił krzesiwo, wsunął je do kieszeni, a następnie, przyświecając sobie kulka, rozejrzał się wokół w poszukiwaniu innych. Kilkuminutowe poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów.

Wiedząc, że czas nagli, odwrócił się i pospiesznie ruszył w drogę powrotną, żeby zabrać akumulator, zanim Anna zbudzi się i zacznie go szukać.

Zatasczenie akumulatora z powrotem na obrzeże krateru zabrało Atrusowi blisko godzinę. Anna pomogła mu na ostatnich dziesięciu metrach, stojąc na górze i ciągnąc za sznur, podczas, gdy on pchał akumulator od tyłu.

W milczeniu znieśli urządzenie po zboczcu do rozpadliny.

Anna zniknęła za ścianą rozpadliny, skąd po chwili wróciła z miską wody. Atrus siedział wpatrując się w swoje dłonie złożone na kolanach. Czekał, aż babka skarci go za nieposłuszeństwo, ale Anna milczała.

- To moja wina – powiedział w końcu, podnosząc wzrok, zdziwiony, dlaczego Anna nic nie mówi. – Chciałem dobrze.

Babka wręczyła mu miskę.

- Wypij to i chodź. Zrobię ci śniadanie. Myślę, że nadszedł czas, żebym opowiedziała ci pewną historię.

Atrus siedział na stopniu pod oknem w kuchni i zafascynowany słuchał opowieści babki.

Słyszał już wiele historii Anny, ale ta była inna. W przeciwieństwie do poprzednich nie traktowała o heroicznym czynach ani bohaterach. Mimo to, kiedy Anna kończyła opowieść, jej głos drżał ze wzruszenia.

- ...tak więc, kiedy Veovis wreszcie powrócił, los D'ni był przypieczętowany. W ciągu jednego dnia dzieło wielu tysięcy zostało zaprzepaszczone, a życie zniknęło z wielkich jaskiń D'ni. Wszystko to stało się z powodu błędnej oceny Ti'any.

Atrus milczał przez chwilę, a potem podniósł wzrok na Annę.

- To znaczy, że obwiniasz Ti'anę?

Anna skinęła głową.

- Ale przecież nie mogła wiedzieć. Zrobiła to, co uważała za najlepsze.

- Żeby oczyścić własne sumienie. Jakie rozwiązanie było jednak najlepsze dla D'ni? Niektórzy chcieli stracić Veovisa już po pierwszym powstaniu. Gdyby wysłuchano ich głosów... Gdyby tylko Ti'ana nie przemawiała tak kwiecicie przed Wielką Radą...

Anna zamilkła zwieszając głowę.

Atrus zmarszczył brwi.

- Nie wiedziałem...

- Nie... - Anna przyglądała się przez chwilę swoim dłoniom, wreszcie popatrzyła na wnuka z uśmiechem. – Teraz to już nie ma znaczenia. To już przeszłość. D'ni nie ma już wśród żywych. Pozostały jedynie opowieści.

Wyjął z kieszeni jarzącą się marmurową kulkę i pokazał Annie.

- Znalazłem ją na dnie wulkanu.

Na widok kulki wyraz twarzy Anny zmienił się raptownie.

- Gdzie ją znalazłeś?

- W wulkanie – powtórzył z nieco mniejszą pewnością siebie. – W pobliżu miejsca, gdzie spadł akumulator.

- W tunelu?

- Tak.

Anna odebrała mu rozżarzoną kulkę i wrzuciła do stojącej obok miski z wodą. Marmurowa kulka momentalnie zgasła.

- Nie wolno ci tam więcej chodzić, Atrusie. To bardzo niebezpieczne miejsce.

- Ale babciu...

Wpatrywała się w niego, znacznie surowsza niż zazwyczaj.

- Nie wolno ci tam więcej chodzić, Atrusie. Jeszcze nie jesteś gotowy. Proszę cię, Atrusie, obiecaj mi.

- Obiecuję.

- Dobrze – powiedziała łagodniej i położyła mu dłoń na ramieniu.

Każdego popołudnia, kiedy słońce zaczynało zachodzić, a cienie kładły się u stóp rozpadliny, Anna i Atrus siadali w chłodnym cieniu na niskim kamiennym stopniu nad stawem i rozmawiali.

Dzisiaj Atrus przyniósł swój dziennik, obok siebie postawił kałamarz i zabrał się do kopiowania słowa, które Anna narysowała na luźnym arkuszu papieru. Przez chwilę milczał w skupieniu, zerkając to na dzieło Anny, to na własne, by sprawdzić, czy poprawnie przerysował złożoną figurę. Wreszcie podniósł wzrok.

- Babciu?

Anna siedziała z zamkniętymi oczami oparta o chłodną kamienną ścianę.

- Tak, Atrusie?

- Nadal nie rozumiem. Mówisz, że nie istnieje angielski odpowiednik tego słowa, ale nie rozumiem, dlaczego tak miałoby być. Przecież mieli chyba te same rzeczy co my.

Otworzyła oczy, pochyliła się do przodu, wyciągnęła bose, brązowe stopy, wreszcie opierając ręce na kolanach spojrzała na wnuka.

- Słowa są nie tylko słowami, Atrusie. Słowa są... Cóż, spróbuję ci to wytłumaczyć w prosty sposób. Na najbardziej podstawowym poziomie słowo może

być etykietką. Drzewo. Piasek. Skała. Kiedy używamy takich słów, wiemy mniej więcej, co oznaczają. Widzimy je w wyobraźni. Jeśli jednak chcemy wiedzieć, jakiego rodzaju jest to drzewo, piasek, czy skała, potrzebujemy dalszych słów, słów, które same są etykietkami. Duże drzewo, a może drzewo palmowe. Czerwony piasek albo na przykład drobny piasek. Poszarpane skały albo skały wapienne. Jedno ze słów zmienia znaczenie drugiego w dość precyzyjny sposób. Na innym poziomie słowa mogą oznaczać idee. Miłość. Inteligencja. Lojalność. Na pewno sam dostrzegasz, że te określenia nie są takie proste. Nie możemy po prostu dodać słowa, by wyjaśnić, co mamy na myśli, szczególnie jeśli same idee nie są proste. Aby uchwycić faktyczny sens takich pojęć, musimy zdefiniować je na kilka sposobów. Na przykład miłość może być zmieszana z dumą i nadzieją, albo też z zazdrością i lękiem. Podobnie inteligencja może oznaczać bezmyślną, instynktowną inteligencję mrówki albo głębszą, zakorzenioną w emocjach inteligencję człowieka. Nawet pośród samych ludzi inteligencja może przybierać rozmaite formy; bywa powolna i głęboka lub szybka i błyskotliwa. A lojalność... lojalność może być ślepyim posłuszeństwem żołnierza wobec dowódcy albo upartym oddaniem żony wobec mężczyzny, który ją skrzywdził. Albo też...

Anna spostrzegła uśmiech wnuka.

- Co takiego?

Atrus oddał jej luźny arkusz papieru.

- Myślę, że rozumiem. Wydaje mi się, że wiem, co zamierzałaś powiedzieć.

Anna uśmiechnęła się szeroko, jak zwykle zadowolona z jego bystrości i przenikliwości.

- Mów dalej – poprosiła.

Atrus zawahał się i lekko przekrzywił głowę, myśląc intensywnie. Wreszcie zaczął mówić, starannie dobierając słowa:

- Podobnie jak te słowa, które oznaczają idee, znajdują się wyżej niż zwykłe etykietki, istnieje też pewien wyższy, znacznie bardziej złożony poziom, na którym funkcjonuje słowo D'ni.

- Owszem, i co dalej?

- Rozumiem to, ale... - Zmarszczył brwi i potrząsnął głową. – Nie pojmuję tylko, co może być bardziej złożonego od idei. Nie potrafię sobie wyobrazić takiego poziomu.

- Właśnie dlatego nie istnieje angielski odpowiednik tego słowa.

- Tak, ale... co ono oznacza?

- To słowo, to konkretne słowo D'ni, ma związek z cyrkulacją powietrza, z wiatrami i wilgotnością.

Atrus wpatrywał się w Annę w głębokim skupieniu.

- Ale przecież... takie słowo byłoby etykietką?

- Nie. To słowo posiada znacznie większą moc, nie tylko opisową.

- W takim razie... - Najwyraźniej jednak nie pojmował, do czego Anna zmierza. Jego jasne oczy błagały o wyjaśnienie.

Anna roześmiała się.

- Musisz po prostu przyjąć, że taki poziom istnieje, Atrusie.

- Ale mówiłaś...

- Wiem, co mówiłam i nadal przy tym obstaję. Powinieneś kwestionować wszystko i szukać prawdy. Tym razem jednak musisz po prostu uwierzyć w moje słowa: istnieje coś, co wykracza poza etykiety i idee i stanowi ich połączenie. D'ni odkryli to wiele, wiele lat temu i nauczyli się wyrażać słowami. Pewnego dnia zrozumiesz to wyraźniej, ale na razie...

Wiedziała, że Atrusa takie rozwiązanie nie zadowala. Nauczyła go, by wszystko kwestionował, by oglądał rzeczy własnymi oczami, mierzył i sprawdzał. Nauczyła go nigdy nie przyjmować niczego na wiarę. A teraz... cóż, teraz sama prosiła go, by złamał tę zasadę.

Nie powinnam kazać mu rysować tego słowa – myślała Anna, zastanawiając się, jaki instynkt ją do tego pchnął. Nie jest jeszcze gotowy na Garo-hevtee. Najczęściej jednak ufała własnym instynktom, ponieważ zazwyczaj okazywały się słuszne.

Chłopiec odwrócił wzrok, a Anna widziała jak zmagał się z myślą, że idea może być również etykietką, jak coś ogólnego może mieć także charakter konkretny i opisowy. Część jej natury pragnęła uwolnić wnuka z udręki i powiedzieć mu. Jednak nie był jeszcze gotowy.

Anna wstała i przeciągnęła się, a potem rozejrzała się, podziwiając porządek panujący w rozpadlinie. Niekiedy myślała o rozpadlinie i o umyśle wnuka w tym samym duchu, jakby jedno stanowiło metaforę drugiego. Jednak w tym momencie zrozumiała wadliwość tego porównania. Ponieważ tak jak pewnego dnia Atrus miał wyrosnąć z tej małej przestrzeni i wyruszyć w świat, tak też jego myśli i rozważania musiały kiedyś wydostać się spod troskliwej opieki Anny.

Patrząc na niego rozumiała, że miał ją przerosnąć; miał stać się mądrzejszy, osiągnąć potężniejszy umysł. Ta myśl nie napełniała Anny strachem ani nie wzbudzała zazdrości. Raczej zasmucała ją, ponieważ czerpała wielką przyjemność z uczenia wnuka, a myśl o utracie...

Anna westchnęła i ostrożnie weszła po schodach.

Minął miesiąc i księżyc znowu się wypełnił. Atrus wspinał się leniwie na zbocze pogwizdując jedną z piosenek, których Anna nauczyła go w dzieciństwie – piosenkę D'ni składającą się z najprostszych dźwięków. Gwiżdżąc, słyszał w myślach głos Anny śpiewającej refren.

Kiedy doszedł do końca piosenki, podniósł wzrok i znieruchomiał, wpatrując się w rozpościerający się przed nim widok.

Górną część zbocza spowijał gęsty obłok białej pary, jak gdyby ktoś zarzucił na wulkan grubą zasłonę. Mgła kłębiła się powoli jak para na powierzchni garnka, nie zbliżając się ani nie cofając.

Widok ten był tak odmienny od wszystkiego, co Atrus kiedykolwiek widział, że wystraszony cofnął się o krok. W tym momencie z lśniącej białości wyłonił się mężczyzna i przez chwilę zdawało się, że jest jej częścią; wysoka, nieziemska postać o szerokim czole i silnym, prostym nosie. Był w okularach identycznych z tymi, które nosił Atrus. Biały płaszcz powiewał za plecami nieznajomego, nadając mu wygląd potężnego mitycznego króla.

Atrus stał jak wmurowany i patrzył na nieznajomego, który schodził ku niemu po zboczu. Chłopiec czuł, jak jego strach przekształca się w respekt, tak wielka była siła, opanowana moc i chłodna pewność zbliżającej się postaci.

Potykając się, Atrus cofnął się zdumiony. Mężczyzna zatrzymał się, zdjął z oczu grube soczewki i przyjrzał się Atrusowi.

- Widzę, że masz moje okulary.

Atrus wpatrywał się w nieznajomego, nie potrafiąc wykrztusić ani słowa. Mężczyzna, który stał nad nim, był blady jak księżyc, jego włosy były siwe jak wyblakły marmur, a tęczęwki jasnozielone. Kości policzkowe miał delikatne, a przy tym mocne, dłonie zarówno delikatne, jak silne. Cała jego postać – od kroju ubrania do arystokratycznych manier – zdradzała wewnętrzną siłę połączoną z

niewymuszoną elegancją. Wydawał się stary, ale w ten bezczasowy sposób, który Atrusowi przywodził na myśl babkę.

Mężczyzna spojrział na Atrusa orlim wzrokiem i znowu przemówił:

- No i cóż, chłopcze? Czy nie przywitasz się ze swoim ojcem?

- Ze swoim... - Atrus zachwiał się, jakby wymierzono mu cios pięścią.

Potrząsnął głową. – Ja...

- Jak ci na imię?

- Atrus.

- Oczywiście... Atrus. – Mężczyzna położył dłoń na głowie Atrusa, który odczuł to jak wstrząs elektryczny. – A ja jestem Gehn, syn Atrusa.

Atrus z trudem przełknął ślinę. Nie miał wątpliwości, że śni. Nerwowo dotknął językiem górnej wargi, czując twarde, słone ziarenko piasku.

Nie. To nie sen.

- Gehn – powtórzył cicho Atrus.

Mężczyzna skinął głową i cofnął rękę.

- Dobrze. A teraz idź zawiadomić babkę, że ma gościa.

Atrus pomknął w dół z boczna spowitego księżycowym blaskiem, głośno wołając Annę. Kiedy dobiegł do ściany rozpadliny, przesadził ją jednym susem, zapominając zdjąć sandały.

- Babciu! Babciu!

Wysunęła głowę przez okno w kuchni.

- Co się stało? – spytała zaskoczona.

Atrus stał na rozkołysanym moście, próbując złapać oddech.

- Przyszedł jakiś obcy! Posłał mnie przodem!

- Gehn... - wyszeptała Anna. Po chwili opanowała się i weszła do kuchni. Rozległ się odgłos metalowej miski upadającej na kamienną posadzkę, a potem drzwi otworzyły się na oścież. Anna wbiegła bosą na schody z pośpiechem, który zaskoczył Atrusa.

- Babciu?

Ale Anna nie zwracała na niego uwagi. Zniknęła za załomem wewnętrznej ściany i zaczęła wchodzić po drabince sznurowej.

Atrus odwrócił się, patrząc, jak Anna wspina się na ścianę. Siwy nieznajomy, który nazywał się jego ojcem, stał dziesięć stóp od rozpadliny.

- Matko? – spytał cicho, przekrzywiając nieco głowę.

- Gehn – powtórzyła z wahaniem, potem podeszła i uścisnęła go. – Gdzie się podziewałeś, mój synu? Dlaczego, na miłość Stwórcy, nie wróciłeś?

Jednak Atrus zauważył, że ciepły uścisk Anny nie został odwzajemniony. Nieznajomy lekko dotknął jej ramion i cofnął się.

- Przyszedłem zobaczyć moje dziecko – powiedział, jak gdyby jej nie usłyszał.
– Przyszedłem zobaczyć mojego syna.

Atrus leżał na brzuchu na ścianie rozpadliny, skąd patrzył na zaciemiony prostokąt kuchni i jasny kwadrat okna, w którym rysowały się sylwetki Anny i przybysza. Choć rozmawiali już od pewnego czasu, nie padło wiele ważkich słów. Mimo to między synem a matką panowało dziwne napięcie. Zwłaszcza Anna zdawała się stąpać po cienkim lodzie; obawiała się powiedzieć zbyt dużo, a jednocześnie pragnęła dowiedzieć się, gdzie przebywał i co robił. Gehn ze swej strony był stosunkowo milczący; kiedy nie chciał odpowiadać na pytania Anny, po prostu je ignorował. Siedział na wypolerowanym kamiennym stopniu na prawo od małej kuchenki. Wcześniej zdjął płaszcz, pod którym nosił ciemnoniebieski garnitur z marynarką obmalowaną szkarłatem i ozdobioną czerwonymi, zielonym i żółtymi wzorami. Wzór był tak cudowny, że Atrus z trudem odrywał od niego wzrok, ale wraz z przybyszem pojawiły się też inne fantastyczne przedmioty, między innymi fajka, leżąca obok niego na stopniu.

Od drewnianego cybucha fajki biegł szklany, osadzony w srebrze trzonek, zakończony miedzianym ustnikiem. Cybuch zakrywała mała pokrywka, a wewnątrz trzonka znajdował się gruby srebrny pręcik.

Atrus patrzył, jak Gehn wyjmuje małą szklaną kulkę z kapciucha przytroczonego do grubego skórzanego pasa. Potrząsnął nią delikatnie, wylewając przejrzysty, lepki płyn. Opierając kulkę o kolano, odkręcił pokrywkę fajki, wlał nieco płynu do trzonka i przykręcił pokrywkę z powrotem. Następnie wydobyl z kieszeni marynarki małą skózaną torebkę i coś z niej wyjął.

Atrus wstrzymał oddech. Przedmiot ten wyglądał jak marmurowa kulka, którą znalazł w korytarzu wulkanu. Gehn umieścił ją w cybuchu.

Anna odwróciła się do Gehna i zapytała:

- Czy zostaniesz na dłużej?

Gehn zerknął na matkę i pokrywkę fajki.

- Nie. Jutro muszę ruszać – powiedział zdecydowanie.

- Ach tak... - W głosie Anny zabrzmiał żal, a w jej ciemnych oczach krył się ból. – Po prostu myślałam, że zostaniesz trochę z Atrusem. Może byś go poznał. To dobry chłopiec, byłbyś z niego dumny. W końcu...

Gehn zacisnął mocniej pokrywkę i spojrzał na Annę z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Zamierzam zabrać go ze sobą.

- Ze sobą? – powtórzyła zszokowana.

Atrus, który przyglądał się tej scenie w ciemności, poczuł, jak jego puls przyspiesza i zasycha mu w ustach. Serce waliło mu w piersiach jak młot.

Gehn podniósł fajkę, spojrzał na nią, potem ujął w obie dłonie i przycisnął kciuk do srebrnego pręcika. Rozległ się trzask, a fajka, jakby ożyła, błysnęła ostrym, błękitnym światłem. Po chwili takie same światło wypełniło cały trzonek, a dziwny oleisty płyn zabulgotał.

W tym niezwykłym świetle twarz Gehna odmieniła się; cienie sprawiały wrażenie odwróconych.

- Tak – odparł, napotykać wzrok Anny. – Czy masz coś przeciwko temu?

- Ale miejsce Atrusa jest tutaj...

- Tutaj? – powtórzył Gehn z niedowierzaniem. – Czyli gdzie? Przecież to zwykła dziura w ziemi, nic więcej. To nie jest miejsce dla mojego syna.

Anna umilkła, patrząc, jak Gehn podnosi fajkę do ust. Mięśnie na jej policzkach dziwnie zadrgały. Wreszcie odezwała się znowu, ciszej, a jednocześnie z większą mocą, którą Atrus momentalnie rozpoznał:

- Ależ on nie jest jeszcze gotowy. Jest zbyt młody. Tak wiele musi się jeszcze nauczyć...

Gehn wyjął fajkę z ust i przerwał matce:

- Oczywiście, że Atrus jest gotowy. Jest dokładnie w tym samym wieku, w którym ja byłem, kiedy stąd odszedłem. Co się tyczy wykształcenia, to właśnie w tym celu wróciłem. Będę go uczył.

- Ty?

W głosie Anny brzmiało niedowierzanie, ale Gehn zdawał się nie zwracać uwagi na jej krytykę.

- A któż mógłby to zrobić lepiej? Posiadam odpowiednią wiedzę, a w dodatku jestem jego ojcem.

Gehn odłożył fajkę i spojrzał na Annę marszcząc brwi.

- Nie powiedziałaś mu o mnie?

Odwrociła wzrok, a na jej twarzy malowało się napięcie.

Gehn wstał, najwyraźniej rozgniewany.

- Chcesz powiedzieć, że nic mu nie powiedziałaś? Niech cię Kerath przeklnie, kobieto! Jak mogłaś?

Anna ściszyła głos, świadoma, że Atrus podsłuchuje.

- A co miałam mu powiedzieć? Że jego ojciec odszedł w tej samej godzinie, kiedy Atrus przyszedł na świat? Że nie zadbał nawet o to, by dać mu imię?

- Wiesz dobrze, że nazwałbym go Atrus.

Anna odwróciła się do Gehna z nagłą złością.

- Tak, ale nie zrobiłeś tego! Ja to zrobiłam. Ja go wychowałam. Ja, Gehnie, nie ty. A teraz chcesz go odebrać jak paczkę, którą zostawiłeś u mnie na przechowanie! Tylko, że chłopcy nie są paczkami, Gehnie! Są żywymi, rosnącymi organizmami, organizmami Atrus jeszcze nie przestał rosnać.

- Ja o tym zadecyduję – burknął Gehn. – Poza tym, może mi pomóc w moich studiach, zostanie moim asystentem.

- Twoim asystentem?

- W badaniach. Potrzebuję chętnego pomocnika, a chłopiec chyba się nada.

- Jakiego rodzaju są to badania?

- Nad kulturą D'ni.

- D'ni. – Anna zaśmiała się gorzko. – To już przeszłość. Wciąż nie potrafisz tego zrozumieć?

- Nie. – odparł prostując się, a w jego głosie zabrzmiała duma. – Mylisz się. Ostatnie czternaście lat spędziłem właśnie w D'ni. Prowadziłem badania i poszukiwania, odkrywałem potężne tajemnice kultury D'ni. – Skinął głową z godnością. – Zapewniam cię, że ta kultura nie zginęła, ale istnieje tam w nienaruszonym stanie.

Atrus poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz.

Ta kultura wciąż tam jest? Przecież to niemożliwe.

Anna potrząsnęła głową.

- Nie, Gehnie, ty zapomniałeś. Widziałam na własne oczy, że ta kultura została zniszczona. Czy nie potrafisz tego zaakceptować, nie potrafisz zapomnieć o przeszłości?

Gehn spojrział na nią chłodno, władczo, nie akceptując niczego.

- Bez trudu mogę uwierzyć, że ty chciałabyś o niej zapomnieć!

Anna wpatrywała się w syna w milczeniu.

- Nigdy jej nie ceniłeś, prawda? – kontynuował bez cienia litości. – Nigdy nie ceniłeś jej w takim stopniu jak ja, ale nie zgodzę się, żeby podobny los spotkał mojego syna. Chcę, żeby znał swoją przeszłość. Chcę, żeby był z niej dumny tak jak ja. Nie zdradzę go, tak jak ty mnie zdradziłaś.

- Gehnie, jak możesz tak mówić?! Zrobiłam dla ciebie wszystko, co tylko mogłam!

- Wszystko? A czym było to „wszystko”? Tą dziurą w ziemi, którą nazywasz domem? To ma być twoje wszystko?

Anna odwróciła wzrok.

- Atrus powinien zdecydować. Nie możesz go tak po prostu zabrać.

Gehn nachylił się, aż jego twarz znalazła się w odległości zaledwie kilku cali do twarzy matki.

- Oczywiście, że mogę. Jestem jego ojcem, więc to moje prawo.

- Wobec tego pozwól mi pójść z wami. Pozwól, że będę się opiekowała chłopcem, podczas gdy będziesz go uczył.

Gehn potrząsnął głową.

- To nie byłoby w porządku. Zwyczajnie D'ni są inne. A może i o tym zapomniałaś? Zapomniałaś, jak oddałaś mnie do cechu, kiedy miałem zaledwie cztery lata?

- Ale...

- Żadne ale... - przerwał jej szorstko. – Idzie ze mną, koniec, kropka. Jeżeli chcesz pomóc, to spakuj mu plecak na drogę. Zresztą nie będzie potrzebował wielu rzeczy.

- Ale Gehnie... - Chciała dotknąć jego ramienia, ale się odsunął. Schylił się po fajkę, potem pchnął drzwi i wyszedł na świeże powietrze.

Stanął w świetle kuchni odwrócony plecami do Atrusa i palił fajkę. Po chwili odwrócił się; błękitny blask fajki oświetlał mu ramiona i twarz.

- Atrusie – powiedział do chłopca leżącego na brzuchu na ścianie rozpadliny.
- Prześpij się trochę. Ruszamy wczesnym rankiem.

5

Atrus uklęknął nad grobem matki i ostrożnie, żeby nie naruszyć ziemi zerwał jeden z delikatnych błękitnych kwiatków. Ułożył go między kartkami dziennika, następnie zamknął książkę i schował do małego skórzanego plecaka.

Przez chwilę rozglądał się, chłonąc widok. W panującym półmroku nie dostrzegał prawdziwego koloru kwiatów, ale wystarczyło zamknąć oczy, a widział je w blasku słońca, kołdrę barwy bzu na żyznej, ciemnej ziemi.

- Żegnaj – powiedział cicho.

Prawdę powiedziawszy, Atrus nie wiedział, co powinien odczuwać. Podniecenie? Perspektywa podróży i ujrzenia D'ni z pewnością przyprawiała go o dreszcz podniecenia, ale myśl o opuszczeniu tego miejsca, opuszczeniu Anny napełniała go strachem. Zbyt wiele wydarzyło się w ciągu zbyt krótkiego czasu. Czuł się rozdarty.

- Atrusie! Chodź już. Musimy ruszać.

Odwrócił się, spojrzął na postać rysującą się na tle świtu w głębi rozpadliny i skinął głową.

Anna czekała na niego nie opodal. Obejmując ją, poczuł, jak zdejmuje go panika, strach, że już nigdy jej nie zobaczy. Musiała to wyczuć, ponieważ uściśnęła go mocno, potem cofnęła się trzymając dłonie na ramionach chłopca i uśmiechnęła się.

- O nic się nie martw – powiedziała cicho. – Dam sobie radę. Spiżarnia jest pełna, a z tymi wszystkimi udoskonaleniami, które dla mnie zrobiłeś, będę miała mnóstwo wolnego czasu.

Dobrą twarz babki rozjaśnił uśmiech.

- Poza tym twój ojciec obiecał mi, że za trzy miesiące przyprowdzi cię tu w odwiedziny.

- Trzy miesiące? – Ta nowina niezmiernie go ucieszyła.

- Tak, dlatego o nic nie musisz się martwić.

Chyliła się i wręczyła Atrusowi pakunek. Wcześniej patrzył, jak wybiera rozmaite produkty z ich skromnej spiżarni i przygotowuje mu prowiant na drogę;

zapakowała także małe ciasteczka, które upiekła dopiero wczoraj. Atrus przyglądał się plecakowi, przesuwał palcami po jasno wyszywanym materiale, wzruszony jej troską. Wiedział, że będzie mu tego brakowało.

- A teraz posłuchaj, Atrusie.

Podniósł wzrok, zdziwiony powagą jej głosu.

- Tak, babciu?

Anna wpatrywała się w niego ciemnymi, bystrymi oczami.

- Musisz pamiętać, czego się tu nauczyłeś, Atrusie. Próbowala wpoić ci prawa mechaniki ziemi i gwiazd, prawa naukowe i naturalne. Usiłowała cię nauczyć, co jest dobre i co należy cenić, przekazać ci prawdy, których nie sposób obalić ani zmienić. Ta wiedza pochodzi od Stwórcy. Weź ją ze sobą i porównuj z nią wszystko, czego będzie cię uczył ojciec.

Anna przerwała, potem nachyliła się do ucha chłopca i powiedziała ciszej:

- Jego już nie znam, Atrusie, ale znam ciebie. Porównuj własne uczynki z prawdami, które ci wpołam. Jeżeli będziesz postępował kierując się tylko własną korzyścią, nie przyniesie to nic dobrego. Jeśli jednak będziesz działał bezinteresownie, wszyscy odniosą korzyść i niczego nie będziesz musiał się obawiać.

Anna cofnęła się i znowu się uśmiechnęła.

- Czeka cię długa, ciężka podróż, ale chcę, żebyś był dzielny, Atrusie. Co więcej, pragnę, żebyś był prawdomówny. Bądź lepszym synem dla swego ojca, niż los pozwolił mu być dla jego ojca.

- Nie rozumiem... - zaczął Atrus, ale Anna potrząsnęła głową, jakby to nie miało znaczenia.

- Rób to, o co poprosi cię ojciec. Jednak przede wszystkim, Atrusie, nie zadawaj gwałtu własnej naturze. Czy mnie rozumiesz?

- Chyba tak, babciu/

- W takim razie nie boję się o ciebie.

Objął ją, uściskał mocno i pocałował w policzek. Potem wspiął się na schody i przeszedł przez most sznurowy.

Jeszcze raz odwrócił się i spojrzał na babkę, a znajomy widok rozpadliny wrył się w jego pamięć jak blizna. Anna weszła na schody i stanęła na balkonie swego pokoju. Pomachała mu na pożegnanie.

- Uważaj podczas drogi w dół. Do zobaczenia za trzy miesiące.

Atrus pomachał Annie, po czym z głębokim westchnieniem odwrócił się i zeskoczył ze ściany, ruszając za ojcem z boczem wulkanu.

Znawali się w tunelu.

- Ojciec?

Gehn odwrócił się i wznosząc wysoko lampę, spojrzał na Atrusa.

- Co takiego, chłopcze?

Atrus uniósł lampę i wskazał na wyryty w ścianie symbol D'ni, ten sam, który zobaczył tamtego ranka po eksperymencie.

- Ten znak, ojciec. Co on oznacza?

Gehn machnął niecierpliwie ręką.

- Chodź, Atrusie, dokończ mnie. Już i tak zmarnowaliśmy dosyć czasu. Później będzie okazja na takie rzeczy.

Atrus wpatrywał się w skomplikowany symbol jeszcze przez chwilę, po czym, kryjąc rozczarowanie, odwrócił się i dogonił ojca.

- Musimy nadrobić stracony czas – powiedział Gehn. – Czeka nas długa droga, a ja rozpocząłem kilka doświadczeń. Muszę wrócić na czas, by sprawdzić ich rezultat.

- Doświadczeń? – powtórzył podniecony Atrus. – Jakiego rodzaju doświadczeń?

- Ważnych – odparł Gehn, jak gdyby taka odpowiedź mogła wystarczyć, by zaspokoić ciekawość syna. – A teraz się pośpiesz. Będziemy mieli czas na rozmowę, kiedy dotrzemy do pierwszego *eder tomahn*.

- *Eder tomahn*? Powtórzył Atrus podnosząc wzrok na ojca.

- *Eder tomahn* to zajazdy przydrożne. Można by je nazwać schroniskami. Schroniskami schyłkowym okresie imperium istniały plany nawiązania handlu ze światem ludzi. Plany te nie zostały na szczęście zrealizowane, ale przez ziemię przekopano drogi i przygotowano schroniska dla posłańców D'ni, którzy mieli wyruszyć na powierzchnię.

Atrus spojrzał na ojca zaskoczony.

- A ten tunel? Czy on także jest dziełem D'ni?

- Nie. To jest po prostu korytarz lawy. Tysiące lat temu, kiedy wulkan był czynny, gorąca lava płynęła tym tunelem, drążąc przejście na powierzchnię.

Po raz kolejny Atrus doznał zawodu. Ściany tunelu były tak gładkie, tak doskonale zaokrąglone, że był przekonany, iż muszą być dziełem D'ni.

- Tak – ciągnął Gehn. – Jeszcze przed końcem podróży zobaczysz rzeczy, które każą ci zapomnieć o tej małej norze robaka. A teraz przejdź na lewo, Atrusie, idź za mną. Tuż przed nami tunel opada stromo w dół.

Atrus spełnił polecenie, trzymając się blisko ojca, uważając, żeby się nie poślizgnąć. Lewą dłoń przytrzymał się ściany, ostrożnie stawiając sandały na twardym, suchym podłożu. Wszystko szło dobrze, dopóki nie odwrócił się i nie spojrzął w górę tunelu. Nagle pojał, gdzie się znajduje. Ciemność za plecami wydała mu się groźna. Kto wiedział, co czaiło się poza zasięgiem światła lampy?

Odwrócił się znowu, zdając sobie sprawę, jak bardzo jest zależny od ojca. Gdyby tutaj zablądził...

Idący przed nim Gehn stanął.

- Teraz idź powoli – powiedział odwracając się do Atrusa. – Tutaj korytarz się kończy. Schodzimy do studni.

Atrus zamrugał powiekami widząc, jak tunel kończy się przed nimi doskonałym kręgiem. Poza nim panowała całkowita ciemność. Postąpił w przód i stanął obok ojca na wąskiej półce w kształcie półksiężyca, oszołomiony rozpościerającym się przed nim widokiem.

Stali przed gigantycznym owalem mroku, otchłanią tak wielką, że chyba można by w nią było wrzucić cały wulkan.

Studnia.

Gehn uniósł lampę, pozwalając, by jej światło zamigotało na przeciwległej ścianie szybu, a potem wyciągnął rękę w lewą stronę.

- Tam. Widzisz, Atrusie? Widzisz schody?

Atrus zobaczył schody, niczym gwint śruby wryty w surowej skale. Na myśl o zejściu nim w głąb szybu ogarnął go strach.

- Chcesz pójść przodem, Atrusie, czy wolisz, żebym ja poszedł pierwszy? – spytał Gehn przyglądając się synowi.

Atrus przetknął głośno ślinę i odpowiedział, usiłując ukryć lęk:

- Lepiej ty pójdz przodem. Znasz drogę.

- Tak – powiedział Gehn, uśmiechając się do syna porozumiewawczo. – To prawda.

Pierwsze sto stopni prowadziło przez wąski tunel biegnący wzdłuż krawędzi przepaści, oddzielony od niej tylko wąską przestrzenią, ale nagle ściana po prawej znikła i Atrus stanął oko w oko z ciemnym bezmiarem studni. Zaskoczony tym widokiem, potknął się, prawy sandał zsunął mu się z nogi i poleciał w ciemność.

Stał przez chwilę, dysząc, oparty plecami o ścianę, próbując odzyskać równowagę ducha. Nagle opętała go przemożna myśl o upadku w tę ciemność, nawet nie o upadku, ale o celowym rzuceniu się w otchłań. Potrzeba ta była tak dziwaczna i obezwładniająca, że poczuł gęsią skórkę.

W dole, niemal dokładnie po przeciwnej stronie wielkiego szybu, Gehn dalej schodził w dół, najwyraźniej niepomny ogromnego niebezpieczeństwa. Stąpał lekko, niemal bez wysiłku po spiralnych schodach, a lampa rzucała chybotliwe cienie na prądkowaną skałę. Wreszcie zniknął w głębi kolejnego wąskiego tunelu.

Muszę iść dalej – mówił do siebie Atrus, zsuwając sandał z lewej stopy, jednak lęk paraliżował mu mięśnie. To było jak sen, zły sen. Mimo to zmusił się do zrobienia kroku, potem następnego. Szedł wyłącznie siłą woli.

Jeżeli upadnę, to zginę. Jeżeli upadnę...

- Atrusie? – Głos ojca rozbrzmiał echem w przestrzeni.

Zatrzymał się, przywarł ramieniem do ściany i zamknął oczy.

- T... tak ojciec?

- Czy chcesz, żebym po ciebie wrócił? Chcesz, żebym wziął cię za rękę?

Chciał powiedzieć „tak”, ale coś w głosie Gehna, ledwo zauważalny ton krytyki go powstrzymał. Ponownie otworzył oczy, wziął się w garść i odparł:

- Nie... Dam sobie radę.

- To dobrze. Ale nie ociągaj się tak, proszę. Jeżeli mam zdążyć, nie możemy tracić zbyt wiele czasu.

Atrus opanował strach i znowu zaczął schodzić w dół.

Wyobraź sobie, że jesteś wewnątrz drzewa – powiedział do siebie. – Wyobraź to sobie.

Nagle ujrzał drzewo; wyraźnie, jak gdyby patrzył na ilustrację w jednej z książek babki. Wyobraził je sobie w pełnym słońcu; sięgało gałęziami horyzontu, a wśród grubych liści migotał sierp księżyca. Nawet źdźbła trawy rosnące wokół pnia kilkakrotnie przewyższały człowieka!

W połowie drogi w dół natrafił na zagłębienie w ścianie, rodzaj grotu. Atrus nie miał pojęcia, czy była pochodzenia naturalnego, czy też stanowiła dzieło D'ni. Czekał tam na niego Gehn; siedział na kamiennym stopniu i spokojnie palił fajkę.

- Wszystko w porządku, Atrusie? – spytał od niechcienia.

- Teraz już tak – odparł szczerze Atrus. – Był moment...

Zamilkł widząc, że ojciec nie słucha. Gehn wyjął mały notesik w skórzanej oprawie i przeglądał go paląc. Atrus dostrzegł mapę przejść i tuneli.

Gehn chrząknął cicho, zamknął notes, schował go do kieszeni i spojrzał na syna.

- Idź przodem. Ja dopalę fajkę, a potem cię dogonię.

Po kilku godzinach wędrówki przez labirynt krętych tuneli dotarli do pierwszego *eder tomahn*. Zajazd podróżny D'ni zbudowano w zagłębieniu dużej grotu, z czarnego marmuru, który ostro kontrastował z naturalnym wapieniem. Atrus podszedł do ściany, podniósł lampę i przesunął palcami po atlasowo gładkiej, czarnej powierzchni. Zdumiał go brak spoin między blokami i własne odbicie w kamieniu. Odnosiło się wrażenie, jakby kamień zagotowano jak smołę, a następnie odlano i wypolerowano jak lustro.

To jest prawdziwe – pomyślał Atrus zdumiony.

Tymczasem Gehn podszedł do drzwi, które znajdowały się głęboko w skale. Sięgnął pod tunikę i wyjął złoty łańcuszek, którego Atrus wcześniej nie zauważył. Na jego końcu umocowany był czarny, czerwono żyłkowy klucz w kształcie stożka. Gehn przyłożył go do drzwi i pchnął, aż klucz zaskoczył. Nastąpił chwila ciszy, a potem rozległ się dziwny zgrzyt ustępującego metalowego okratowania.

Gehn wyjął klucz i cofnął się. W tym momencie drzwi wsunęły się w skałę, odsłaniając słabo oświetlone wnętrze.

Gehn wszedł do środka, a Atrus tuż za nim, zdziwiony wielkością pomieszczenia. Po obu stronach pokoju znajdowały się niskie prycze, a Atrus domyślił się, że drzwi w głębi prowadzą do kuchni lub łazienki. Spojrzał na ojca.

- Dlaczego stajemy?

Ku jego zdziwieniu Gehn ziewnął.

- Ponieważ jest późno, a ja jestem zmęczony.

- Myślałem...

Gehn podniósł rękę, ucinając wszelką dyskusję. Potem odwrócił się i wskazał na duży plecak leżący na pryczy w prawym rogu.

- Należy do ciebie – powiedział bezceremonialnie. – Możesz się przebrać teraz lub później, jak wolisz.

Atrus podszedł do plecaka i zajrzał do środka. Zmarszczył brwi, przewrócił plecak do góry dnem i wysypał jego zawartość na materac.

Cofnął się z cichym okrzykiem zdziwienia. Odwrócił się i spojrzał na Gehna, który siedział na brzegu pryczy naprzeciwko i ściągał buty.

- Dziękuję – powiedział Atrus. – Przebiorę się później, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Rób, jak chcesz, chłopcze – prychnął Gehn. – Jednak na twoim miejscu nie spałbym w butach. Nie wiem zresztą, czy pasują. Musiałem zgadywać rozmiar.

Atrus delikatnie przesunął palcami po jednym z butów, wreszcie podniósł go, wdychając jego zapach. But był piękny i najwyraźniej zupełnie nowy.

Obok wysokich butów na pryczy leżał płaszcz – pomniejszona wersja płaszcza ojca, czarna koszula z dziwnym symbolem książki, czapka w kształcie czaszki wykonana z jakiegoś metalu, który wydawał się miękki, dopóki się go mocniej nie nacisnęło, oraz mały worek ze skóry i metalu.

Atrus przysiadł na brzegu pryczy, by zbadać ten ostatni przedmiot. Rozwiązał sznurek i zajrzał do środka. Przez chwilę nie pojmował, aż nagle, z okrzykiem zachwytu, wysypał kilka małych przedmiotów na dłoń.

Ogniste kulki! Cały worek ognistych kulek! Musiało tam ich być pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt!

Spojrzał na ojca, chcąc mu podziękować, ale Gehn leżał wyciągnięty na plecach i spał jak kamień.

Atrus podszedł bliżej i przez chwilę przyglądał się ojcu. Kiedy spał, chłopiec dostrzegł podobieństwa łączące go z Anną, zwłaszcza w kształcie podbródka i ust. Oboje mieli wyraziste, szlachetne twarze, wyrażające połączenie siły i delikatności. Dopiero teraz, gdy miał okazję lepiej mu się przyjrzeć, widział, że jedynie blada karnacja Gehna i popielna siwizna włosów sprawiały, że tak bardzo różnił się od Anny. To, a także pełna godności surowość jego sposobu bycia.

Zauważywszy, że Gehn zdjął tylko jeden but, Atrus delikatnie zdjął drugi i postawił u wezłowania. Następnie wziął koc z sąsiedniej pryczy i okrył ojca.

Już miał odejść, kiedy coś przykuło jego uwagę. Schylił się i podniósł fajkę, która upadła na podłogę. Przez chwilę przyglądał się zdobieniom wygrawerowanym na srebrze trzonka, zdumiony misternymi wzorami. Zaciekawiony, przysunął cybuch do nosa i powąchał. W nozdrza uderzył go słodki zapach, ten sam, pachniał oddech ojca.

Atrus westchnął, położył fajkę obok butów, potem wrócił na pryczę, gdzie siedział przez chwilę szperając w ognistych kulkach, zwracając uwagę na różnice w kolorze i rozmiarach. Wreszcie schował je, położył mieszek na podłodze obok pryczy i wyciągnął się z rękami pod głowę. Zasnął w mgnieniu oka.

Gehn obudził Atrusa, potrząsając go za ramię.

- Wstawaj, chłopcze. Mamy dziś przed sobą długą drogę. Przebierz się i ruszamy.

Atrus usiadł powoli, zastanawiając się, gdzie jest, zdziwiony, że nie leży na półce skalnej w swoim pokoju, a w powietrzu nie unosi się zapach potraw gotowanych przez babkę.

Przetarł oczy, spuścił stopy na podłogę, zaskoczony jej chłodem i panującą w powietrzu wilgocią.

Ocieżały i przygnębiony Atrus wstał i zaczął się ubierać. Zdziwiła go faktura i zapach nowego ubrania, zwłaszcza jego gładka miękkość po szorstkości starej odzieży. Wciągając buty poczuł się jak odmieniony, jak gdyby zmiana sięgała głębiej niż tylko zewnętrznego wyglądu.

Rozejrzał się wokół siebie, w nadziei, że lada moment się obudzi, ale oszukiwanie na nic nie mogło się zdać: nie spał i podróżował z ojcem w głąb ziemi.

Na myśl o tym poczuł dreszcz emocji.

- Czy dotrzemy dzisiaj do D'ni, ojcze?

- Nie, nie dzisiaj.

Rozczarowany odwrócił się i zaczął pakować wierzchnie ubranie, ale Gehn widząc to podszedł i wyrzucił zawartość plecaka na podłogę.

- Te łachy nie będą ci już potrzebne, Atrusie. Teraz jesteś D'ni. Od tej pory będziesz nosił tylko odzież D'ni.

Atrus wpatrywał się w porzucone ubranie; nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógłby się z nim rozstać. Stanowiło łącznik z przeszłością, z Anną i rozpadliną. Porzucenie go wydawało się... niemożliwe.

- Cóż, chłopcze? Na co czekasz?

Atrus podniósł wzrok, zaskoczony ostrym tonem ojca. Przypomniał sobie jednak obietnicę złożoną Annie i posłusznie pochylił głowę. Wsunął worek do plecaka, schował mieszek z ognistymi kulkami i kask ochronny.

- Dobrze – powiedział Gehn, skinął zdecydowanie głową i założył plecak. – Zjemy coś po drodze.

Atrus zamrugał powiekami zdezorientowany, zastanawiając się, co ojciec ma na myśli, ale Gehn najwyraźniej nie był w nastroju do wyjaśnień. Atrus zapiął plecak i wyszedł za ojcem z jaskini.

Schodzili w dół przez kłębowisko wilgotnych, wąskich tuneli, które od czasu do czasu otwierały się na małe groty, by po chwili ponownie zagłębić się w skale.

Po przejściu bardzo wąskim, stromym tunelem znaleźli się w największej grocie, jaką dotychczas napotkali. Sklepienie wznosiło się tu na wysokość czterdziestu, może pięćdziesięciu stóp, a ich latarnie oświetlały jedynie bliższy koniec tunelu; dalszy ginął w mroku. Przed nimi, po lewej stronie, skałę obmywał długi staw, a drogę po prawej utrudniały wyboje.

Gehn stanął, zdjął plecak i wydobył przedmiot, który przypominał Atrusowi garnek albo puszkę na herbatę. Postawił go na ziemi, wyjął kask i dał znak Atrusowi, żeby zrobił to samo.

- Od tego miejsca droga robi się trudna – ostrzegł. – Wkrótce będziesz wdzięczny za nowe buty.

Jednak Atrus wcale nie był tego taki pewien. Buty były może piękne, miały cudowny zapach, ale zaczęły go już dotkliwie obcierać.

Zdjął plecak, znalazł kask D'ni, umocował go na głowie i spojrzał na ojca. Gehn podniósł garnek.

- Chodź – powiedział do Atrusa z uśmiechem. – Myślę, że następna część drogi może ci się spodobać.

Atrus skinął głową i sięgnął po plecak. W tym momencie cała grota rozjarzyła się światłem, jak gdyby sklepienie nagle się rozstało, a przez powstały otwór

wpadły promienie słońca. Zaskoczony podniósł wzrok i ujrzał, że jasne światło wydobywa się z garnka; szeroki, potężny snop wypełniał dalszy kraniec jaskini, odsłaniając tak niezwykły widok, że Atrus zamrugał powiekami i przetarł oczy wierzchem dłoni.

Przypominało to wodospad kryształu, który spadał ze sklepienia na podłogę, układając się w formy, jakich Atrus nigdy wcześniej nie widział.

- Co to jest? – spytał bojaźliwie Atrus podchodząc za ojcem do wielkiej sterty głazów i nie mogąc oderwać wzroku od migotliwej, krystalicznej zasłony.

- To draperia stalaktytów – wyjaśnił Gehn, kierując światło latarni na zastygłą powierzchnię. – Powstaje z minerałów zawartych w wodzie, która przecieka przez sklepienie jaskini od wielu tysięcy lat. Takie nacieki przyjmują wiele form. Niektóre są delikatne jak koronki, inne brutalne niczym sama skała – zaśmiał się Gehn. – Nic się nie bój, Atrusie. W ciągu najbliższych kilku godzin zobaczysz wiele takich cudów.

Podeszli bliżej, a Atrus wpatrywał się w skalne widowisko z otwartymi ustami. Gehn jednak ruszył dalej w dół zbocza ku wejściu do kolejnego tunelu. Spojrzawszy na skałę po raz ostatni, Atrus odwrócił się i potykając się ruszył w dół, by dogonić ojca.

Gehn się nie mylił. W ciągu następnych kilku godzin Atrus ujrzał przynajmniej tuzin podobnych cudów: jaskiń pełnych długich, delikatnych kolumn nie grubszych niż jego ręka, które wystawały ze sklepienia jak odwrócony kryształowy las, albo olbrzymich, ale misternie wykrojonych świec, z których ściekały frędzle drobnych, zastygłych sopli wtapiających się w płynną skałę. Jednocześnie jednak buty boleśnie obcierały Atrusa. Po pewnym czasie chłopiec nie był w stanie uczynić kroku, nie wykrzywiając twarzy z bólu.

Kiedy wreszcie stanęli w długiej, niskiej jaskini okolonej płytkimi jeziorkami, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było zdjęcie butów.

Gehn podszedł i uklęknął obok syna.

- Pokaż.

Z pewnym oporem Atrus pozwolił Gehnowi ująć stopę w kostce i zbadać ją. Skóra starła się w trzech miejscach; po pięcie i między palcami płynęła krew.

Gehn spojrział na syna, jakby chciał ocenić jego reakcję.

- Mam w plecaku maść, która powinna złagodzić ból.

Atrus namaścił stopy, zabandażował i ponownie wciągnął buty.

- Dobrze – pochwalił Gehn, zadowolony z syna. – Ruszajmy dalej. Tuż przed nami zaczyna się droga.

Atrus wstał powoli, prostując palce stóp w bandażach.

- Droga?

- Droga D'ni – wyjaśnił Gehn zarzucając plecak na plecy.

Te słowa momentalnie podniosły Atrusa na duchu i sprawiły, że zapomniał o ranach.

D'ni! – myślał, widząc w wyobraźni tuziny barwnych obrazów z opowieści, które babka snuła latami. – D'ni!

Atrus podniósł wzrok na misternie zdobiony kamiennie-metalowy łuk nad wejściem do tunelu, potem odwrócił się i spojrzał na ojca.

- Czy jesteśmy na miejscu?

- Nie – odparł Gehn. – Ale tutaj zaczyna się droga.

Pod wielkim łukiem stropu rozciągała się gładka posadzka pokryta misternym, spiralnym wzorem z różnobarwnych kamieni, które zdawały się mieszać ze sobą i łączyć, ani razu się nie powtarzając. Droga wbiegała do tunelu prosto jak strzała, nie wznosząc się ani nie opadając, co sugerowało, że została wykuta przez D'ni, a nie wydrążona przez siły naturalne.

Idąc w ślad za Gehnem, Atrus przeszedł pod łukiem. Stukot butów na marmurowej posadzce niósł się echem w tunelu. Atrus kulał, starając się nie obciążać nadmiernie prawej stopy, ale postanowił, że nie będzie się skarżył.

Kiedy dotrzemy do celu? – chciał spytać, niezwykle podniecony na myśl, że wreszcie ujrzy D'ni. Widział jednak, że Gehn jest zatopiony w myślach, i za żadne skarby nie chciał mu przeszkadzać.

W pewnej chwili powietrze w tunelu zmieniło się; stało się cieplejsze i duszniejsze. Nagle Atrusa uderzył w nozdrza znajomy zapach. Siarka! Ostra, piekąca w oczy woń siarki.

- Lepiej włóż okulary, młodzieńcze – poradził Gehn.

Atrus spełnił polecenie. Potem sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął jedyną część starego ubioru, którą udało mu się zachować – maskę, którą zrobiła dla niego Anna – osłonił usta i nos. Krzywiąc się, pokuśtykał za ojcem.

Tunel stawał się stopniowo jaśniejszy, a powietrze cieplejsze i duszniejsze. Nagle tunel skończył się ostrym spadkiem. Dalej droga D'ni biegła nieprzerwanie, gładko, wsparta na gigantycznych kamiennych filarach. W dole, nie dalej niż osiemdziesiąt stóp bulgotało jezioro lawy, czarne przy brzegach, płomiennożółte pośrodku.

Panował tu upał, a opary były duszące. Atrus zauważył, że Gehn założył maskę na nos i usta. Przez chwilę zastanawiał się, co ojciec chce zrobić. Czyżby chciał przepłynąć przez jezioro bez żadnej ochrony?

Ta myśl zaniepokoiła chłopca.

Gehn odwrócił się, ponaglając Atrusa ruchem ręki.

- Idź szybko – powiedział. – Nie zatrzymuj się ani na chwilę. Po drugiej stronie jest znacznie chłodniej.

Po chwili wahania Atrus wszedł za ojcem na most. Od razu poczuł, że nawierzchnia parzy go nawet przez grube podeszwy butów. Po dziesięciu krokach puścił się biegiem, próbując uchronić stopy przed spiekotą bruku.

Naraz zdał sobie sprawę, że most, który wydawał mu się ciągły, był przerywany. Zawalone przęsło ktoś uzupełnił kładąc wąski blok kamienia D'ni.

Atrus patrzył, jak ojciec bez trudu przechodzi po prowizorycznej kładce nie zwalniając kroku; kiedy jednak sam dotarł do przerwy, stwierdził, że nie jest w stanie iść dalej.

Tuż pod nim rozgrzana do czerwoności lawa zdawała się falować jak żywy organizm. Co pewien czas wielki pęcherz przegrzanego powietrza pękał z głośnym „glop”, czemu towarzyszył gejzer pary i gryzącej siarki.

Atrus zaniósł się kaszlem. Stopy go piekły i miał wrażenie, że lada moment pękną mu płuca. Wiedział, że jeśli zaraz nie przejdzie przez kładkę, to upadnie.

- Chodź! – wzywał go Gehn z drugiej strony. – Nie zatrzymuj się, chłopcze! Maszeruj. Jesteś prawie u celu.

Kręciło mu się w głowie i czuł, że lada chwila zemdleje. A gdyby to się stało...

Zrobił trzy kroki po kładce. Miał wrażenie, że kamień pali go w stopy przez grubą skórę butów.

- Chodź!

Pomost zachybotał się pod nim i Atrus przez chwilę myślał, że upadnie. Kiedy wąska kładka się przechylała, skoczył i upadł na kamień po drugiej stronie.

Obraz przed jego oczami rozmył się; nie mógł złapać tchu. Zatoczył się i zrobił krok w tył...

6

Atrus obudził się w chłodnej, jasno oświetlonej grocie, gdzie powietrze wydało mu się świeże i słodkie po powietrzu w grocie lawy. Leżał przykryty kocem, a nie opodal rozlegało się kapanie wody. Usiadł zastanawiając się, gdzie się znajduje. W tym momencie spostrzegł ojca stojącego najwyżej trzydzieści stóp od niego, nad stawem, którego powierzchnia zdawała się lśnić, jakby była podświetlana od dołu.

Czuł ból w stopach i miał dziwnie ciężką głowę, ale poza tym nic mu nie dolegało. Pozbierał myśli i zrozumiał, co się musiało wydarzyć. O mały włos nie spadł z mostu, a ojciec go ocalił.

Na myśl o tym spuścił wzrok i uśmiechnął się. Tak właśnie postąpiłaby Anna. Tak samo i on by postąpił, gdyby wydarzyła się odwrotna sytuacja.

Ponownie spojrzał na jezioro, usiłując ocenić tego człowieka – obcego – który tak nagle pojawił się w jego życiu. Był dziwny, to nie ulegało wątpliwości. Jego szorstkie maniery graniczyły z grubiaństwem, ale może miał po temu powód. Może po prostu nie był przyzwyczajony do kontaktów z ludźmi, a słowo „syn” było mu równie obce, co Atrusowi słowo „ojciec”. Jeśli tak, to Atrus powinien zdobyć się na wyrozumiałość, przynajmniej dopóty, dopóki lepiej się nie poznają, dopóki więzy krwi nie zmieniają się także w więzy przyjaźni.

Takie rozumowanie poprawiło Atrusowi nastrój. Odrzucił koc, wstał, pokuśtykał do ojca i stanął obok niego w milczeniu, patrząc na dziwnie podświetlone jezioro.

- Czym to jest spowodowane? – spytał wskazując na powierzchnię wody.

Gehn odwrócił się. Najwyraźniej roztrząsał w myślach jakiś problem.

- O, Atrusie... wstałeś.

- Chyba... chyba powinienem ci podziękować.

Gehn wzruszył ramionami i znowu przeniósł wzrok na jezioro.

- Dobrze jest znowu rozmawiać – powiedział, unosząc głowę. – Czułem się tu na dole bardzo odizolowany. Od pewnego czasu tęskniłem za towarzyszem, to znaczy za intelektualnym towarzyszem. Kiedy się dowiedziałem, że żyjesz... cóż. – Odwrócił się. – Szczerze mówiąc, Atrusie, to mnie zdziwiło. Nie sądziłem, że

przeżyjesz. Ale ucieszyłem się. Pomyślałem sobie, że może w końcu udałoby się nam znaleźć wspólny język.

- Mam nadzieję. – Atrus uśmiechnął się nieśmiało. – Chcę się uczyć.

- To dobrze. Masz zdrowe nastawienie. Czy masz siłę, by ruszyć w dalszą drogę? Wiem, że narzuciłem ci ostre tempo, ale mam po temu powód.

- Dam sobie radę – zapewnił Atrus, czując nagły przyływ ciepłych uczuć do ojca. – To wszystko jest po prostu takie... dziwne.

Gehn spojrzał na syna w zamyśleniu.

- Tak, przypuszczam, że po życiu w rozpadlinie tak to musisz odbierać. Ale najlepsze rzeczy są dopiero przed tobą, Atrusie, naprawdę najlepsze. D'ni. Dzisiaj wieczorem dotrzemy do D'ni.

- Wieczorem? – powtórzył z zapalem Atrus, ale po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. – Ale która teraz jest godzina? Poranek, popołudnie? Straciłem wszelką rachubę. Tu na dole czas chyba nie ma znaczenia.

Gehn wyjął czasomierz D'ni i wręczył go Atrusowi.

- Spójrz – wskazał na pięć sektorów w różnych odcieniach zaznaczonych na okrągłej tarczy. Trzy były jasne, a dwa ciemne. Ze środka koła biegła cienka srebrna spirala, która sięgała drugiego z jasnych sektorów. – W tej chwili jest południe D'ni. My, D'ni, inaczej odmierzamy czas niż ci, którzy mieszkają na powierzchni. Oni regulują zegary według ruchu słońca, my zaś według rytmu biologicznego naszego otoczenia. Każdy z tych sektorów odpowiada nieco ponad sześciu godzinom na powierzchni.

- To znaczy, że dzień D'ni jest dłuższy?

- Bardzo dobrze, Atrusie. Szybko się uczysz.

Gehn odebrał synowi czasomierz, potrząsnął nim i przyłożył do ucha, jakby sprawdzał, czy wciąż działa. Zadowolony z rezultatu, schował go do kieszeni i spojrzał na Atrusa.

- Jesteś gotowy?

Wbrew oczekiwaniom Atrusa droga stawała się coraz trudniejsza. Kilkakrotnie napotykali na przeszkodę w postaci zwalonych odłamków skalnych, musieli przechodzić przez sterty ostrych głazów lub przeciskać się przez wąskie otwory. Również tunele stawały się coraz mniejsze i ciemniejsze. Atrus co prawda nie miał

całkowitej pewności, lecz wydawało mu się, że już dawno zbczyli z drogi prowadzącej prosto do D'ni. Cudowna kamienno-metalowa droga, którą przedtem mieli pod stopami, znikła bez śladu. Jednak mimo wszystko Atrus był w podniosłym nastroju.

D'ni! Wkrótce znajdzie się w D'ni! Wobec tego faktu nawet tępy ból stóp tracił znaczenie.

Szli zaledwie przez godzinę, kiedy Gehn krzyknął do Atrusa, żeby zbczył trochę na prawo. Tuż przed nimi część chodnika tunelu zapadła się, tworząc przepaść. Przeciskając się wzdłuż jej krawędzi, ujrzał pod stopami dolinę, którą płynęła szeroka, ciemna rzeka. Atrus wytrzymał słuch i wydało mu się, że słyszy jej odgłos.

Po pewnym czasie hałas, o którym Atrus zaczął sądzić, że znajduje się tylko w jego głowie, nasilił się. Wreszcie, kiedy wyszli z tunelu na szeroką połąć, której ściany nikły w oddali, ten sam odgłos wypełnił powietrze i zdawało się, że wstrząsa skałami. Powietrze było wilgotne i chłodne, a w świetle ich lamp tańczyły drobiny wodnego pyłu.

Atrus przywarł plecami do ściany, a kiedy Gehn zapalił dużą lampę, chłopiec ujrzał źródło hałasu.

Woda opadała litą płachtą z występu skalnego położonego dwieście stóp nad nimi, szybowała tysiąc stóp i wpadała do potężnego stawu głęboko w dole. W świetle lampy woda wyglądała jak kryształ.

Gdy Atrus odwrócił się, zobaczył, jak Gehn chowa do wewnętrznej kieszeni notes. Potem ojciec wskazał drogę, kierując światło lampy na szeroki stopień okalający grotę. Wszedł do mniejszej grotki za wodospadem i zatrzymał się. Zawołał syna i oświetlił półkę skalną wypełnioną krystalicznie czystą wodą.

Atrus nachylił się i krzyknął ze zdziwienia. W wodzie roilo się od długich, bezbarwnych ryb przypominających robaki. Miały karbowane, przezroczyste skrzela i płetwy. Atrus patrzył, jak prześlizgują się przez małą szczelinę w skale i wskakują do położonego w dole jeziora z głośnym chlupotem, który niósł się echem w małej przestrzeni.

- Co to było? – spytał Atrus zaglądając ojcu w oczy.

- Salamandry. Żyją tu razem ze świerszczami, pajakami, stonogami i rybami. Są troglodytami, Atrusie. Nigdy nie opuszczają tych grot. Zauważyłeś, że są ślepe?

Gehn odwrócił się i ruszył w dalszą drogę, a jego buty chrzęściły na odłamkach skalnych.

Przez dłuższy czas schodzili w dół, po czym zaczęli się wspinać. Droga stała się lżejsza, aż tunel skręcił nagle w lewo i połączył się z drugim, większym.

Kiedy Atrus do niego wszedł, aż krzyknął ze zdziwienia. To była droga D'ni! Doskonale cylindryczna, zarówno przed, jak i za nimi, niknęła w mroku skały.

Spoglądając w tył, w kierunku, z którego przyszli, zrozumiał, co musiało nastąpić. Z jakiegoś powodu – być może zapadliska – prosta droga została zablokowana, toteż musieli pójść okężną trasą.

Przypomniał sobie, jak ojciec studiował wykresy w notesie, i niepokój, jaki pojawił się w oczach Gehna. Zastanawiał się, w jaki sposób ojciec znalazł te przejścia. Czyżby błędził w ciemnościach po omacku, raz po raz wracając po swoich śladach, dopóki nie znalazł właściwej drogi?

- Atrusie?

Odwrócił się i ujrzał, że Gehn oddalił się już pięćdziesiąt stóp w głąb tunelu.

- Idę! – zawołał i pokuśtykał za ojcem. Nie przestawał myśleć o tym, jak Gehn wiele lat temu wrócił do D'ni, jak borykał się tu w podziemnym mroku – sam, zupełnie sam – i poczuł głęboki podziw dla odwagi, która go popychała.

Czy jesteśmy blisko?

- Niedaleko – odparł Gehn. – Brama jest tuż przed nami.

To nowina wprawiła Atrusa w podniecenie. Niedaleko! Chwilami myślał, że już zawsze będą tak szli i nigdy nie dotrą do celu. Teraz jednak prawie już tam byli. Kraina, o której marzyła przez całe życie, leżała tuż przed nim, kraina cudów i tajemnic.

Atrus przyspieszył kroku i dogonił ojca. Idąc ramię w ramię, zbliżyli się do końca tunelu. Wreszcie ją zobaczył, na wprost przed sobą, po drugiej stronie marmurowego placu...

- Czy to jest brama? – spytał bojaźliwym szeptem.

- Tak jest – odparł Gehn z dumnym uśmiechem. – Wyznacza południową granicę królestwa D'ni. Wszystko, co leży za nią na przestrzeni stu mil, należy do D'ni.

Atrus spojrział na ojca, zdziwiony, że mówi o D'ni tak, jak gdyby wciąż istnieli. Potem znowu popatrzył przed siebie, chłonąc widok olbrzymiej kamiennej bramy u wylotu tunelu.

Chociaż powierzchnia była gdzieś tam popękana i niektóre fragmenty poodpadały, brama nadal prezentowała się wspaniale. Potężna kamienna bariera, która wypełniała całą przestrzeń groty, była pokryta nieprzeliczoną ilością splatających się ze sobą kształtów – ludzi, maszyn, zwierząt, kwiatów, tarcz, twarzy i słów D'ni, z których kilka rozpoznał – a wszystko to wykute w czarnym granicie, który połyskiwał w blasku lampy Gehna.

Przy bramie wydawali się mali jak nigdy dotąd. Podchodząc bliżej, Atrus poczuł dreszcz emocji. Bez względu na to, co sobie roił, co sobie wyobrażał słuchając opowieści Anny, rzeczywistość biła wszystko na głowę.

Wstąpiwszy pod łuk, podniósł wzrok, nie mogąc ukryć zachwytu dla jego konstrukcji. W jaki sposób D'ni wzniesli tak potężną budowlę? Jak pocięli bloki, jak je obrobili? Z własnego skąpego doświadczenia znał trudności wiążące się z pracą w kamieniu, jednak dla D'ni najwyraźniej one nie istniały.

Tuż przed nim marmurowa posadzka się urywała, a dalej rozpościerała się jaskinia, znaczone setkami, może tysiącami wejść do tuneli.

Powietrze nagle się ociepliło i stało się duszne. Gehn po raz kolejny zajrzał do notesu i ruszył w głąb jaskini.

Wybrawszy jeden z większych tuneli, dał znak Atrusowi, żeby podążył za nim, po czym odwrócił się i zniknął w środku. Tunel okazał się znacznie większy niż ten, którym szli dotąd. Odbiegały od niego niezliczone odgałęzienia i małe groty, najwyraźniej sztucznie wydrążone.

Atrus ruszył za ojcem rozglądając się na boki. Co chwila zauważał nowe rzeczy: wielkie koła i dźwigi, fabryki i magazyny, olbrzymie hałdy odłamków skalnych i nie mniejsze doły, nad którymi wznosiły się potężne żurawie oraz wiele innych rzeczy, z których większości nie rozpoznawał.

Wielkie maszyny stały bez ruchu, jak gdyby porzucono je zaledwie przed kilkoma godzinami, a ich lakierowane powierzchnie lśniły ciemno w blasku lamp Gehna i Atrusa. Olbrzymie przysadziste wieże wiertnicze spoczywały na platformach pneumatycznych obok ziejących wylotów szybów wydrążonych u podnóża ścian jaskini.

Z wielkich szczelin wydobywała się para, która kiedyś zasilala przemysłową potęgę D'ni. Tu i tam stały opuszczone kamienne domy – zgodnie ze stylem D'ni pozbawione dachów – a parawany z cienkiego materiału, mające zapewniać prywatność, porwała w strzępy ta sama siła, która powaliła kamienne wieże fabryk.

Na widok tego wszystkiego Atrus zastanawiał się, jakim cudem mógł nastąpić koniec. To było takie potężne, takie nadzwyczajne.

Od czasu do czasu ich drogę przecinały inne, dzięki czemu pojął, że nie istniała jedna droga D'ni, ale nieprzeliczony labirynt chodników, wijących się w mrokach ziemi.

Gehn zaczął się wspinać na ścianę tunelu i zagłębił się w szybie. Atrus dogonił ojca, spojrział w prawo i zobaczył, że w odległości około dwudziestu metrów przed nimi tunel się zawalił. Bojąc się, że straci Gehna z oczu, wspiął się na ścianę i wszedł za ojcem do szybu.

Szli już od wielu godzin, droga powoli się zwężała. Było coraz bardziej gorąco i duszno. Gehn szedł z otwartym notesem, bez przerwy do niego zaglądając. Droga zakręcała tak często, że Atrus odczuwał zawroty głowy. Gehn maszerował jednak wytrwale, najwyraźniej przekonany, że wybrał właściwą trasę.

Nagle rodzaj światła się zmienił, a Atrus zamrugał powiekami, ożywiony tą zmianą. Powietrze się ochłodziło, powiał lekki wietrzyk. Za kolejnym zakrętem światło stało się intensywniejsze, a wędrowcy ujrzeli przed sobą pomarańczową poświatę. W chłodnym powietrzu poczuli nagle ciężką woń roślinności. Ścieżka wiodła w górę.

Atrus wspiął się i ujrzął najbardziej zaskakujący widok, jaki dane mu było oglądać.

Przed jego oczami rozpościerała się olbrzymia dolina, szeroka na sześć i długa na dziesięć mil, której strome ściany opadały do mieniącego się pomarańczowo jeziora, zajmującego co najmniej połowę dna doliny. Na środku jeziora była wyspa, szeroka ma milę, z której wystrzelały w górę dwie skrzycone kamienne kolumny. Potężne skalne ściany po prawej były prążkowane; barwne warstwy kamienia niknęły w cieniu, powyżej którego stał Atrus. W obrębie tych skalnych obrzeży lśniły jeziora pomarańczowej wody.

Podniósł wzrok, spodziewając się ujrzeć chmury, ale ponad nim rozpościerała się nieskazitelna czern. Zdjął okulary, zwiększył ich zasięg i zaczął się przyglądać

dalszemu brzegowi jeziora. Budynki! To były budynki. Przycupnęły nad skalną przepaścią, jakby zadawały kłam grawitacji!

Atrus wyciągnął szyję patrząc w górę skalnych ścian. W mgnieniu oka zrozumiał, że znajdował się w obszarze wewnątrz skał.

Wpatrywał się w dal, zdjęty lękiem na widok dziwnego piękna tej okolicy. Ziemia pod jego stopami opadała stromo nad brzeg morza, gdzie w małej zatoczce stała zacumowana łódź. Po prawej, tuż przy brzegu, morze znaczyły małe wysepki, niczym ciemne plamki na powierzchni pomarańczowego zwierciadła.

- Spójrz – powiedział Gehn podchodząc do Atrusa. – Może teraz rozumiesz, dlaczego nie mogłem cię zostawić w tej śmiesznej dziurze w ziemi. Czy to niej najwspanialszy widok, jaki kiedykolwiek widziałeś, Atrusie?

Istotnie tak było i chłopiec rozumiał, dlaczego ojciec go tutaj przyprowadził. Jednak przypomnienie rozpadliny rzuciło cień na to, co w tej chwili odczuwał. Nagle zapragnął, by Anna była razem z nim, chciał dzielić się z nią wrażeniami, rozmawiać, zadawać pytania.

- Chodź – powiedział Gehn i zaczął schodzić po stromym zboczu. – Jeszcze godzina i będziemy w domu.

Atrus stał na pokładzie dziobowym, trzymając się prawą ręką relingu, podczas gdy Gehn wyprowadzał łódź na gładką jak zwierciadło wodę, głęboko zanurzając drąg.

Atrus rozglądał się wokół siebie z podnieceniem. Zauważył brak echa w tej olbrzymiej przestrzeni, słyszał odgłos drąga zanurzanego w wodzie. Pieczara była tak ogromna, że gdyby nie podświetlający wszystko pomarańczowy blask, mógłby odnieść wrażenie, że znalazł się na zewnątrz i żegluj w bezksiężycową noc.

Kiedy tępy dziób łodzi zatoczył łuk, Atrus ponownie ujrzał w oddali miasto. Z tego miejsca jawiło się piękne i nieskazitelne, szeroka misa wież i iglic, jak gdyby tylko ono oparło się zniszczeniu, którego śladu widział wcześniej. Jednak nie płynęli do miasta, przynajmniej na razie. Wyglądało na to, że „dom” jest jednym ze skupisk wysp, które ciągnęły się wzdłuż prawej ściany pieczary.

Atrus westchnął cicho. Teraz, kiedy przestał iść, mięśnie chwycił skurcz, w ciele pojawił się ból, a powieki zaciążyły jak ołów. Łagodne kołysanie łodzi także nie pomagało; usypiało Atrusa niczym głos śpiewający w jego głowie. Zamrugał

powiekami, usiłując powstrzymać oczy od zamknięcia, próbując jeszcze przez chwilę pozostać na jawie, ale przychodziło mu to z najwyższym trudem. Miał wrażenie, że przeszedł tysiąc mil.

Przez chwilę Atrus drzemał, potem ocknął się nagle i podniósł wzrok, spodziewając się ujrzeć gwiazdy na pustynnym niebie.

- Gdzie...?

Odwrócił się i spojrzał na ojca, który powoli pchał łódź w stronę wyspy. Atrus potrząsnął głową, by odzyskać jasność myśli, przekonany, że znajduje się we władzy sugestywnego snu.

Wyspa wyłaniała się z cienia, a jej skręcony, stożkowaty kontur rysował się czarno na tle morza. Zauważył, że woda obmywająca kraniec wyspy jest ciemniejsza, i zaczął się zastanawiać nad przyczyną.

Dom – pomyślał patrząc na zwałone ściany, przewróconą wieżę wielkiej posiadłości, która królowała na szczycie wyspy niczym potężny blok skały wulkanicznej. – Dom...

Kiedy tak patrzył na wyspę, ogarniał go sen. Nie mogąc się opanować, powoli opadł na kolana i wyciągnął się na pokładzie, tak że nie widział, jak łódź wpływa pod wyspę do jasno rozświetlonej pieczary. Nie zauważył też czekającej postaci, która stała na krętych schodach, wiodących na skałę powyżej.

Atrusie? Obudziłeś się?

Leżał z zamkniętymi oczami, przypominając sobie sen.

- Atrusie? – Tym razem głos rozbrzmiał bliżej.

Przekręcił się na plecy i przeciągnął się. W pokoju było ciepło, materac wydawał mu się dziwnie miękki.

- Co takiego? – spytał leniwie, nie mając pewności, czy już się obudził.

- Jest wieczór – powiedział głos, głos ojca. – Przespałeś cały dzień, Atrusie. Jeżeli zgłodniałeś, kolacja jest gotowa.

Atrus otworzył oczy. Gehn stał koło łóżka z lampą w dłoni. W migotliwym świetle pokój wydawał się przestronny i pełen cieni.

- Gdzie jesteśmy? – spytał, a szczegóły snu zaczęły się zacierać w jego umyśle, w miarę jak przypominał sobie długą wędrówkę przez pieczary.

- Jesteśmy w K'veer – odparł Gehn podchodząc bliżej, a jego blada, przystojna twarz wyłoniła się z cienia. – To będzie twój pokój, Atrusie. Tam w szafie są ubrania, w razie gdybyś chciał się przebrać. Kiedy będziesz gotowy, powinieneś skrócić za drzwiami w lewo i pójść w stronę światła.

Atrus skinął głową, a potem uzmysłowił sobie ze zdumieniem, że ból stóp zniknął. Nie były też zabandażowane.

- Moje stopy...

- Zająłem się nimi, kiedy spałeś – wyjaśnił Gehn. – Pobołą cię jeszcze przez kilka dni, ale teraz możesz odpoczywać.

- A co z twoimi eksperymentami? Czy zdążyliśmy na czas?

Gehn odwrócił się, jak gdyby nie usłyszał. Przeszedł przez pokój, rozsunął ciężkie zasłony, odsłaniając masywne zakratowane okno, a za nim pomarańczowy blask pieczary. Atrus ujrzał szeroki kamienny balkon, a w oddali miasto.

- Teraz cię zostawię – oświadczył Gehn, stawiając lampę na stole obok łóżka. – Postaraj się jednak pospieszyć, Atrusie. Musimy omówić pewne sprawy.

Atrus odczekał, aż ojciec opuści pokój, potem usiadł, podciągnął nogi i przyjrzał się stopom w świetle lampy. Miejsca, gdzie rany były najcięższe, na piętach, kostkach i podbiciu, Gehn posmarował maścią, która zostawiła ciemne smugi na skórze. Atrus dotknął ostrożnie jednego z takich miejsc i powąchał palce. Była to ta sama maść, której używała babka, ilekroć otarł kolana lub łokcie o skałę.

Atrusie?

Co widzisz, Atrusie?

Widzę miasto D'ni, babciu. Widzę...

Atrus wyszedł na balkon i przyjrzał mu się dokładnie, próbując zapamiętać, by móc opowiedzieć o wszystkim babce, kiedy znowu ją ujrzy.

W oddali na wodzie majaczył cień. Mrużąc oczy, Atrus przyglądał mu się przez chwilę, potem wzruszył ramionami i ponownie spojrzął w stronę miasta.

Tak – pomyślał – to najbardziej niewiarygodny widok, jaki dane mi było oglądać.

O, Atrusie... chodź i usiądź przy mnie.

Chłopiec zawahał się w progu, potem wszedł do oświetlonej niebiesko kuchni. Ojciec siedział po lewej przy stole nad talerzem jedzenia.

Było to duże pomieszczenie w kształcie litery V, z dwoma dużymi oknami wychodzącymi na wyłożony kamiennymi płytami ogród tarasowy, który wrzynał się w pomarańczowe morze. Światło na zewnątrz znacznie się osłabiło, dlatego Gehn postawił w kuchennych niszach kilka lamp.

Rozglądając się dookoła, Atrus spostrzegł, że kuchnia została wykuta w litej skale. Szafki, stół, ławy, nawet zlew i piec wykuto z nadzwyczaj gładkiego gnejsu. Podobnie jak droga, którą zeszli do D'ni, wyglądał tak, jakby go zmiękczone, a potem wyrobiono jak glinę. W tym kamieniu w czarno-białe pręgi umieszczono, w sposób, którego Atrus nie potrafił zgłębić, drobne skrawki metalu. Gnejs był zaskakująco ciepły w dotyku. Atrus nie miał pojęcia, jak budowniczym udało się tego dokonać, ale nie wątpił, że ich technologie znacznie przewyższały te, którymi dysponowali ludzie.

- Jak się czujesz? – spytał Gehn, wskazując synowi krzesło naprzeciwko.

Jak się czuł? Tęsknił za domem, ale oprócz tego czuł przemożną ciekawość. Czego chciał od niego ojciec? Gehn powiedział coś Annie o uczeniu go, ale czego chciał go uczyć?

- Jestem głodny – odparł w końcu, uznając, że tak będzie najbezpieczniej.

- To dobrze – odparł Gehn. Odwrócił się, wziął ze stołu mały dzwonek i zadzwonił.

W drzwiach natychmiast pojawiła się postać, która na moment zatrzymała się w cieniu, po czym weszła do kuchni.

- Atrusie, to jest Rijus, mój służący.

Mężczyzna trzymający duży płytki kosz pełen owoców był wysoki, wyższy nawet od Gehna, miał dużą, okrągłą głowę, która zdawała się utoczona z polerowanej kości słoniowej. Miał na sobie obszerny ciemnoniebieski kombinezon, przewiązany w pasie sznurem podobnego koloru. Jednak najbardziej niezwykle były jego pozbawione powiek oczy, jak nakrapiane jaja osadzone w niczym nie wyróżniającej się twarzy.

Atrus spojrzał na ojca, nie wiedząc, jak powinien się zachować, a kiedy Gehn nie udzielił mu żadnej wskazówki, odwrócił się, skłonił lekko głowę i powiedział:

- Miło mi cię poznać, Rijusie.

- Nie ma sensu wdawać się w rozmowę z Rijusem, Atrusie. Rijus jest niemową. Tak się urodził i tak umrze. Polecenia rozumie jednak bezbłędnie. Jeśli czegoś potrzebujesz, wystarczy, że poprosisz Rijusa.

Atrus zawahał się, po czym skinął głową.

- Cóż, chłopcze, na co czekasz? Jesteś głodny czy nie?

Atrus wstał i, świadom wpatrzonych w niego nienaturalnie szeroko otwartych oczu służącego, podszedł do niego. W koszu leżał z tuzin gatunków owoców, z których znał tylko kilka i to jedynie z paczek handlarzy. Jaskrawe skórki owoców pokrywały drobne kropelki wilgoci, podkreślając ich dziwne, lecz doskonałe kształty.

- Czy to ty je wyhodowałeś, ojcze? – spytał, oglądając się na Gehna.

- W pewnym sensie.

Atrus odwrócił się, zastanawiając się, który z owoców wybrać. Niemal był się ich dotknąć, tak doskonale wyglądały. Wreszcie sięgnął po żółty, przyciągnięty jego dziwnym, pięcioletkowym owalnym kształtem.

Jednak kiedy podniósł go, owoc rozpadł się, ukazując ciemnobrązowy miąższ. Atrus spojrzał na ojca zdziwiony.

Gehn odesłał Rijusa niecierpliwym ruchem ręki.

- Zabierz je. – Potem spojrzał na syna.

- Chodź, Atrusie. Myślę, że nadszedł czas na rozpoczęcie naszej misji. Czas, byś się dowiedział, dlaczego sprowadziłem cię do D'ni.

Kręte schody wiodły do szerokiego, wysoko sklepionego korytarza, który wychodził na balkon dokładnie nad tarasem. W głębi wykutego w skale balkonu znajdowały się masywne metalowe drzwi. Ich czarną powierzchnię zdobiły te same misterne wzory, które Atrus widział wcześniej na wewnętrznej bramie. Zatrzymawszy się przed nimi, Gehn wyjął spod płaszcza duży klucz, wsunął go do zamka i dwukrotnie przekręcił.

Drzwi zadrżały, a następnie zaczęły się podnosić, wsuwając się w skałę gładko i cicho, odsłaniając ciemny otwór. Sześć stopni prowadziło do przestronnego pokoju, oświetlonego z góry masywną lampą w kształcie gwiazdy. Pośrodku pokoju wznosił się podest otoczony trzema stopniami. Atrus rozglądał się wokół z podziwem. Ściany były pokryte masywnymi półkami z grubych kamiennych bloków. Stały na nich setki, może tysiące oprawionych w skórę książek, podobnych do tych, które babka trzymała na swojej półce w rozpadlinie.

Gehn odwrócił się i spojrzał na syna.

- Jest to, jak widzisz, biblioteka. Tutaj będziesz codziennie przychodził na lekcje. – Wskazał na niski kamienny stół w rogu. – To będzie twoje biurko. Zanim

jednak zaczniemy, chcę ci pokazać, dlaczego cię tu przyprowadziłem i dlaczego jest takie ważne, żebyś poznał życie D'ni.

Przywołał Atrusa ruchem ręki, a kiedy młodzieniec stanął przy nim, ujął go za łokieć i wprowadził na podest.

Na środku białej marmurowej podłogi podestu znajdował się okrągły basen, otoczony pięcioma marmurowymi postumentami.

- Wybierz książkę, dowolną książkę z którejś z półek – powiedział Gehn.

- Co takiego?

- Wybierz książkę.

Atrus podszedł do półek, pozwalając oczom przesuwać się po przepysznie oprawionych grzbietach. Nie widniały na nich żadne napisy. Na kilku zauważył jakieś symbole, które nic mu nie mówiły.

Odwrócił się do ojca.

- Wybierz książkę.

Atrus zdjął z półki książkę, a zapach jej jasnozielonej okładki podniecał go i dziwnie odurzał.

Gehn odebrał mu książkę, otworzył, przejrzał szybko, po czym skinął głową. Nie spuszczał wzroku z Atrusa, z pietyzmem położył książkę na postumencie.

Atrus podszedł bliżej, wpatrując się w otwarte stronicę. Lewa strona była pusta, za to na prawej...

Wstrzymał oddech, zdumiony wyrazistością ilustracji w tym małym prostokątnym pudełku. Miał wrażenie, że patrzy przez okno!

Pierwszy plan wypełniał dziwny stożkowaty kopiec koloru rdzy, który przypominał Atrusowi kopiec termitów. Za nim rozpościerała się połać soczystej, niemal szmaragdowej zieleni, a nad nią bezchmurne niebo.

Atrus patrzył, jak obraz na stronie książki powoli się zmienia, przesuwa się na prawo, jakby oko usiłowało śledzić coś, co znika z pola widzenia. Kopiec powoli zniknął, a jego miejsce zajął bystry strumień, który płynął pośród skał i wpadał do jeziora. Zanim Atrus zdążył mu się przyjrzeć, obraz ponownie się zmienił, ukazując wąwóz, a dalej dolinę pełną niskich, krzaczastych drzew, porośniętych jaskrawymi owocami. Na moment ukazało się długie, przejrzyste jezioro otoczone trawiastymi zboczami, w oddali zamajaczyły ośnieżone szczyty, a potem na pierwszym planie znowu pojawił się rdzawy kopiec.

Gehn podszedł do syna.

- Podaj mi rękę. Od tej pory będziesz jak D'ni. Po to się urodziłeś.

Atrus poczuł łaskotanie w dłoni, jak gdyby przebiegł po niej prąd elektryczny. Miał wrażenie, że ilustracja w książce przyciąga jego rękę. Przez moment nic się nie działo, ale nagle przechylił się i poczuł, że jest wsysany w stronicę; a raczej to stronica rozrosła się do gigantycznych rozmiarów ogarniając go siatką włókien. W tym momencie doznał wrażenia, jakby się topił, jak gdyby krucha skorupa jego świadomości wybuchła do wewnątrz, załamała się, a do środka wpłynęła czerń.

Kiedy w końcu poddał się tej czerni, stwierdził, że ponownie znajduje się w swoim ciele. Stoi na trawie tuż przed kopcem, świeży wietrzyk owiewa mu twarz, w dole szumi strumień, a w oddali widać wodospad i dolinę.

Zniknęły marmurowe postumenty, ściany wyłożone książkami, sklepienie z litej skały! Atrus wyciągnął rękę, jakby chciał ich dotknąć, ale jego dłoń przecięła pustkę.

Podniósł wzrok, zaskoczony przemieszczeniem. Wielkie białe chmury szybowały po niebie tak błękitnym, jak na dziecięcym obrazku. W powietrzu bzyczały drobne owady, a odurzające zapachy owoców i kwiatów uderzały do głowy.

Zdumiony, osunął się na kolana. To z całą pewnością były czary! Za jego plecami zamigotał Gehn.

- Wstań, chłopcze – powiedział cicho, lecz stanowczo.

Atrus podniósł się z ziemi z wysiłkiem i odwrócił się do ojca. Nie mógł uwierzyć w to, co mu się właśnie przydarzyło.

- Gdzie... gdzie jesteście?

Gehn wyminął go, podszedł do strumienia i spojrzał w dół wodospadu.

Kiedy Atrus stanął obok niego, Gehn spojrzał na syna, wypinając dumnie pierś.

- Kiedyś D'ni rządzą milionem światów, korzystając z tego, co w nich rośnie, by ubierać się, odżywiać i zaopatrywać. Tak było w czasach świetności. – Potrząsnął głową. – To wszystko należy już do przeszłości. Teraz zostaliśmy tylko ja i ty, Atrusie. My dwaj i światy, które stworzymy.

- Stworzymy, ojcze?

Gehn spojrzał na rozpościerającą się przed nimi krainę, skinął głową i przemówił z nie skrywaną dumą:

- Tak, Atrusie. To ja stworzyłem ten świat. Stworzyłem skałę, na której stoimy, i powietrze, którym oddychamy. Stworzyłem trawę, drzewa, owady i ptaki. Ukształtowałem kwiaty oraz ziemię, na której rosną. Stworzyłem wszystko, co widzisz.

Odwróciwszy się do Atrusa, Gehn położył mu dłonie na ramionach, a oczy płonęły mu podnieceniem.

- Zamierzam przyjąć się na naukę, Atrusie, i przekazać ci wiedzę książkową. Czy chciałbyś tego?

Spojrząwszy na ojca, Atrus przypomniał sobie nagle, jak Gehn wyłonił się z białej zasłony na krawędzi wulkanu. Potęga stojącej przed nim postaci nappełniała go lękiem.

- Tak, ojczec. – odparł wyraźnie. – Bardzo bym tego chciał.

7

To sformułowanie... Gdzie ja widziałem to sformułowanie? – Gehn wsunął pióro z powrotem do marmurowego kałamarza, potem pochylił się do przodu i sięgnął ponad biurkiem po drugą oprawioną w skórę księgę. Książkę, w której pisał, odsunął na bok, przyciągnął do siebie starodawny tom, otworzył i szybko przewertował, aż znalazł fragment zaznaczony wąskim paskiem niebieskiego papieru.

- O... jest. To powinno wystarczyć.

Podniósł zamyślony wzrok, jakby zastanawiał się, czego jeszcze mógł potrzebować. Było dopiero południe, ale tutaj, w gabinecie Gehna, zawsze panowała noc; mała kamienna lampa w rogu masywnego drewnianego biurka trzymała cienie na dystans.

Ponownie odczytał wers, przesuwając palcem po literach, potem zerknął na stronicę.

- Może trochę zbyt drobiazgowo... usunąć te dwa określenia... są tylko ozdobnikami.

Skinął głową, zadowolony z siebie, następnie przysunął książkę, nad którą pracował, do starodawnego tekstu i zaczął przepisywać sformułowanie D'ni, pomijając dwa słowa, które jego zdaniem niczemu nie służyły.

- Gotowe – powiedział cicho, ponownie podnosząc wzrok, po raz pierwszy od trzech godzin zwracając uwagę na najbliższe otoczenie.

Książki zapełniały wszystkie powierzchnie tego wielkiego, przypominającego jaskinię pomieszczenia. Półki ciągnęły się od podłogi po sufit, zostawiając niewiele miejsca na cokolwiek innego. Naprzeciwko biurka znajdowało się starodawne palenisko. Były też, rzecz jasna, drzwi. Poza tym pokój wypełniały półki; nie było nawet okien. Także na podłodze piętrzyły się nowe i stare książki. Kilka stert przewróciło się, a grube warstwy kurzu pokrywały zapleśniałe skórzane okładki niczym popiół na zboczu wulkanu.

Naprzeciwko Gehna, między dwiema stojącymi półkami zawierającymi jego dzienniki, stało mniejsze biurko, a na nim kałamarz, pióra i zeszyty, podobne do tych, w których pisał jego syn.

Spojrząwszy na zeszyty, Gehn ocknął się gwałtownie i zerknął na czasomierz leżący po lewej stronie biurka.

- Na Keratha! – mruknął, wstał i schował czasomierz do kieszeni. Zdał sobie sprawę, że się spóźnił.

Pospiesznie przeszedł przez pokój, otworzył drzwi długim srebrnym kluczem zawieszonym na kółku przy pasku, wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i szybko zszedł wąskimi kamiennymi schodami.

U podnóża schodów znajdowała się biblioteka. Wszedłszy do środka, Gehn zobaczył, że Atrus siedział ze skrzyżowanymi rękami przy biurku w dalszym rogu, z zeszytem przed sobą, gotowy do lekcji.

- Ojczy?

Bez słowa przeprosin za spóźnienie Gehn wziął długą białą kredę, stanął przy dużej tablicy i zaczął rysować słowo D'ni, starannie demonstrując każde pociągnięcie.

Odwróciwszy się, zobaczył, z jaką uwagą wpatruje się w niego syn. Gehn przez chwilę poczuł się zniechęcony nadmierną łagodnością chłopca. Była to dobra cecha w przypadku służącego lub przedstawiciela jakiegoś podległego gatunku, ale u D'ni była czymś absurdalnym. Przez moment Gehn czuł, że podjął daremny wysiłek.

Niczego nie świadom, Atrus powoli przepisywał figurę z tablicy, wysuwając język.

- Atrusie!

- Tak, ojczy? – Chłopiec podniósł wzrok.

- Musisz nauczyć się koncentrować. Wiem, że to nie jest łatwe. Opanowanie tej sztuki zajęło mi trzydzieści lat. Musisz jednak próbować ze wszystkich sił, Atrusie. Niczego nie osiągniesz, jeśli nie jesteś gotów zaprząć się do jarzma nauki.

Atrus opuścił wzrok na biurko i skinął głową.

- Tak, ojczy.

- Dobrze – odparł Gehn, udobruchany pokorą chłopca, jego gotowością stosowania się do wskazówek ojca, wreszcie jego wrodzoną bystrością. Nagle przyszedł mu na myśl sposób, w jaki mógłby usprawnić proces nauczania. Podeszedł do jednej z półek, wyjął duży, opasły tom i wrócił do biurka.

- Proszę – powiedział, kładąc go na biurku obok zeszytu Atrusa. – Ponieważ najwyraźniej potrzeba ci dodatkowych lekcji, a ja jestem na razie zajęty kilkoma eksperymentami, myślę, że musimy spróbować innego doświadczenia.

Atrus spojrział na ojca z ożywieniem.

- Tak, Atrusie. To jest bardzo szczególna książka. Nazywa się Rehevkor. Swego czasu każda szkoła D'ni posiadała kilka egzemplarzy tego dzieła. Uczniowie uczyli się z niej pisać podstawowe słowa D'ni, które składały się na język naszej rasy. Przypuszczam, że najbliższym porównaniem jest tu elementarz, ale Rehevkor to coś znacznie bardziej złożonego.

Gehn ujął krawędź grubej okładki, otworzył książkę i wskazał na szczegółowe wykresy na obu stronach.

- Jak widzisz, każda dwustronicowa wkładka dotyczy jednego słowa D'ni i pokazuje, jakich pociągnięć pióra należy użyć i w jakiej kolejności. Chcę, Atrusie, żebyś przerobił Rehevkor od pierwszej strony do ostatniej, na początek ucząc się dwudziestu słów w ciągu nocy. Dostarczę ci zeszyty, ale musisz mi obiecać, że będziesz ćwiczył te figury, aż staną się twoją drugą naturą, aż będziesz w stanie narysować je we śnie. Rozumiesz, Atrusie?

- Rozumiem.

- To dobrze. – Gehn zamknął książkę i odwrócił się do drzwi.

- Ojczy?

- Tak, Atrusie?

- Jak stary jest ten tekst?

- Rehevkor – Gehn odwrócił się do syna – liczy sobie dziesięć tysięcy lat, może więcej.

Na widok uwagi w oczach syna uśmiechnął się w duchu. Żarliwość Atrusa, jego oczywisty podziw dla D'ni stanowił coś, na czym on, Gehn, mógł się oprzeć.

- Ojczy?

Gehn westchnął i przez krótką chwilę odczuwał pokusę, by krzyknąć na chłopca i zakazać mu tego nie kończącego się dopytywania. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli chce naprawić krzywdę, jaką Anna wyrządziła chłopcu, musi się uzbroić w cierpliwość.

- Tak, Atrusie?

- Zastanawiałem się, dlaczego morze jest teraz mnie jasne niż wcześniej.

Gehn rozluźnił się, opierając się o ścianę.

- To proste. Plankton żyje według trzydziestogodzinnego cyklu, który odpowiada cyklowi D'ni. Śpi, kiedy my śpimy, a jest najbardziej aktywny wtedy, kiedy

my jesteśmy najbardziej aktywni. Tak więc mamy tu zarówno noc, jak i dzień. Należy dodać, że są one w kolorach czarnym i pomarańczowym.

Jeżeli był to dowcip, to albo był bardzo słaby, albo polegał na czymś, czego Atrus nie pojmował. Jednak Gehna najwyraźniej rozśmieszył, ponieważ śmiał się przez jakiś czas, a Atrus, zadowolony z faktu, że ojciec mimo wszystko ma poczucie humoru, zawtórował.

Później, kiedy Atrus wrócił do swego pokoju, Gehn podszedł do centralnego podestu, wspiął się na marmurową posadzkę i omiół wzorkiem księgi spoczywające na postumentach.

Rozmawiając z Atrusem na rozmaite tematy, zdał sobie nagle sprawę z tego, jak bardzo w ciągu tych minionych czternastu lat brakowało mu okazji do rozmowy.

Był tak bardzo samotny. Nie w sensie emocjonalnym, ponieważ czuł się uczuciowo samowystarczalny, ale w sensie intelektualnym. Brakowało mu okazji do dyskusji i do zademonstrowania zasięgu swojej wiedzy. I chociaż chłopiec był na razie zaledwie odbiciem jego koncepcji, to miał olbrzymi potencjał.

Tak, ale skąd mógł wiedzieć, że chłopiec w ogóle istniał? Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie powinien żyć. W końcu trudno było sobie wyobrazić, by ktokolwiek przetrwał w tej opuszczonej małej szczelinie w ziemi!

Cierpliwości. Muszę mieć cierpliwość do chłopca, a po pewnym czasie...

Teraz jednak właśnie czasu dotkliwie mu brakowało. W ciągu minionych tygodni parę eksperymentów Gehna przybrało niespodziewanie zły obrót, co pochłaniało coraz więcej jego czasu. Poświęcenie Atrusowi takiej dozy uwagi, jakiej potrzebował, było... cóż, niemożliwe.

Mimo to Atrus był posłusznym dzieckiem. Gehn widział, że chłopiec robił wszystko, co w jego mocy. Może kilka sesji z Rehevkor sprawi, że stanie na wysokości zadania. Czas pokaże.

Na razie inne sprawy wymagały uwagi Gehna. Przeszedł przez podest, stanął nad jedną z książek i utkwiał wzrok w pudełku opisującym. W końcu położył na nim rękę i zniknął.

8

Przez następne tygodnie Atrus był pod silnym wpływem ojca. Poranki spędzał na naprawianiu ścian i ścieżek wielopoziomowej wyspy. Po południu, po kąpieli i posiłku, zasiadał w bibliotece, gdzie Gehn przekazywał mu podstawową wiedzę o kulturze D'ni.

Wiele z tego, czego uczył go Gehn, Atrus znał już z opowieści Anny. Dowiadywał się też jednak wielu nowych rzeczy. Poza tym teraz, kiedy wiedział, że wszystko to było rzeczywiste, nawet sprawy, które znał, ulegał jakby przemianie: były inne właśnie dlatego, że faktycznie istniały.

Przez kilka dni pracował nad zagadnieniem, dlaczego woda u północnego wybrzeża wyspy nie zawierała świeżącego planktonu, i w końcu uznał, że przyczyna tkwi w wycieku ze starej rury, wychodzącej z pracowni ojca. Pobrawszy próbki z wycieku, wykrył w nich obecność ołowiu i kadmu, pierwiastków, które najwyraźniej zatrwały plankton. Nie posiadając sprzętu do sporządzania odpowiedniego filtra uznał, że ponieważ wyciek był niewielki, najlepszym rozwiązaniem będzie zamknięcie całej rury. Pracował nad tym pewnego ranka, stojąc na stopniach pod ścianą nabrzeża. Nachylał się, by zaszpuntować rurę małym kamiennym korkiem, kiedy wyszedł do niego Gehn.

- Atrusie?

Odwrócił się i podniósł wzrok. Gehn stał u szczytu schodów w płaszczu i butach, jakby wybierał się w podróż. Patrzył w stronę wielkiej skały na morzu.

- Tak, ojczu?

Atrus wyprostował się, wrzucił stalowy nóż do worka, czekając, aż ojciec powie więcej.

Gehn odwrócił się, przeczesał palcami siwe włosy i spojrzał na syna.

- Chcę, żebyś udał się ze mną do miasta, Atrusie. Chcę, żebyś pomógł mi w znalezieniu pewnych książek.

- Do miasta? Płyniemy do miasta?

Gehn skinął głową.

- Tak, dlatego powinieneś się przebrać. Będą ci potrzebne buty. Weź też plecak.

Po chwili wahania Atrus skinął głową, zebrał narzędzia i szybkim korkiem wszedł na schody.

- Zejdę na przystań, żeby przygotować łódź – powiedział Gehn, cofając się, by przepuścić syna. – Spotkamy się na dole. Pospiesz się. Chcę wrócić przed zmrokiem.

Kiedy Atrus zszedł po krętych schodach i wszedł do nisko sklepionej groty, w której znajdowało się nabrzeże, Gehn stał już na rufie łodzi, gotowy do wypłynięcia.

Od wieczoru, kiedy po raz pierwszy przybył na K'veer, Atrus nigdy nie opuścił wyspy. Nie było dnia, żeby nie patrzył w stronę odległego miasta D'ni, marząc o popłynięciu tam.

Wszedł na pokład i spojrzał na ojca w oczekiwaniu na instrukcje.

- Usiądź tam – polecił Gehn, wskazując na niską ławkę przedzielającą płytką łódź. – Postaraj się zbytnio nie wychylać. Nie chciałbym cię wyławiać.

Atrus posłusznie skinął głową.

Ojciec odbił od brzegu, zatoczył łuk, wyprowadzając łódź przez wąskie wyjście, a Atrus odwrócił się i spojrzał na przestwór pomarańczowego morza. Ominął wzrokiem wysepki i zapatrzył się na stolicę D'ni, podziwiając jej spiętrzone poziomy, wspinające się po ścianie jaskini w ciemność.

Miasto było bardzo stare. Jego początki ginęły w mrokach pamięci.

Kiedy wypłynęli na otwartą wodę, Atrus odwrócił się i spojrzał na wyspę Gehna, która ponownie pojawiła się w polu widzenia. W dniu przyjazdu był zbyt wyczerpany, by wchłonąć wszystkie jej szczegóły, ale teraz po raz pierwszy ogarnął wzrokiem całą K'veer.

Obecnie znał wszystkie pokoje i korytarze, wszystkie schody i tarasy rozległej, wielopoziomowej posiadłości, jednak obserwując ją z niewielkiej odległości, po raz pierwszy złożył wszystko w całość. Zrozumiał, że o spiralnym kształcie posiadłości zdecydowało ułożenie skały, na której ją wzniesiono.

Z odległości ćwierci mili jej ciemne kamienne ściany – miejscami zavalone, miejscami podparte stemplami – lśniły niemal metalicznie w świetle bijącym od dołu.

Była to dziwna, prawie nieziemską wizja, ale w nie większym stopniu niż wszystko, co napotykał tu wzrok. Poza tym wrażliwość oczu Atrusa, która sprawiała, że dawniej musiał je chronić przed pustynnym słońcem, tutaj stanowiła zdecydowany

atut. Stwierdził, że panujące pod ziemią światło działa kojąco na jego oczy... jest niemal naturalne. Być może fakt, że w jego żyłach płynęła częściowo krew D'ni, osłabił oczy Atrusa. Jedno nie ulegało wątpliwości: okularów potrzebował tu jedynie w celu powiększania obrazu.

Wracając myślami do rzeczywistości Atrus spojrzał na Gehna. W podnieceniu przestał zwracać uwagę na nastrój ojca. Teraz ujrzał, jak Gehn wykrzywia twarz, jak gdyby przyszło mu na myśl coś ohydneho, a potem mocniej napiera na wiosła.

Atrus odwrócił się i ponownie spojrzał w stronę miasta. Ujrzał małe wysepki, a na każdej przysiadła ciemna, rozległa posiadłość. Wszystkie starodawne budynki miały niezwykle kształty i wszystkie bez wyjątku były zdewastowane.

Na jednej z większych wysp na masywnym zboczu skały wzniesiono dziwną, kanciastą fortecę, która sprawiała wrażenie osadzonej w skale. Składała się z iglic, wież i podpartych murów. Skarpa pod fortecą opadała pięćset stóp prosto w nieruchome morze.

Atrus westchnął głęboko, silniej niż kiedykolwiek uświadamiając sobie aurę opuszczenia i wspaniałości tego miejsca.

Kiedy wypływali ostatnim wąskim kanałem na otwarte morze, spojrzał w prawo, zaciekawiony wzburzoną wodą w odległości ćwierci mili od nich. Nad wodą unosił się rodzaj mgiełki – jakby tuman piachu naniesionego przez wiatr – która rzucała chwiejne cienie na pomarańczową powierzchnię morza. Obłok zbliżał się, przyciągany być może powolnym przepływem łodzi przez pełną planktonu wodę.

Kiedy mgiełka znalazła się w odległości pięćdziesięciu jardów od łodzi, Atrus wstał, wpatrując się w nią z otwartymi ustami, potem spojrzał na Gehna. Ojciec najwyraźniej niczego nie zauważył.

- Co to jest? – spytał chłopiec, zaintrygowany widokiem migotliwych drobin w obłoku.

Gehn spojrzał w tamtą stronę.

- A, one... To rodzaj ważek. Żywią się drobnymi owadami, które żyją w planktonie.

Atrus skinął głową, potem odwrócił się, patrząc, jak chmura owadów szybuje tuż za rufą łodzi. Właśnie miał odwrócić wzrok, kiedy nagle woda pod chmurą zafalowała gwałtownie i z odmętów wyłonił się długi, cienki pysk. Po chwili woda pod ważkami zawrzała i ławica jaskrawo ubarwionych ryb rozpoczęła ucztę.

Po upływie niespełna trzydziestu sekund chmura znikła, a powierzchnia wody ponownie się wygładziła.

- A te? – spytał Atrus niemal szeptem.

- Ryby – odparł Gehn z niechęcią. – Tu, za wyspami, woda jest znacznie głębsza. Zazwyczaj żyją na głębinach, ale od czasu do czasu wyłaniają się, żeby się posilić.

- Rozumiem – powiedział cicho Atrus, odczuwając nagły niepokój wobec spokojnej wody; w przejrzystych, świecących głębinach dostrzegł teraz obecność większych, przelotnych cieni.

Zaniepokojony, odwrócił wzrok, próbując się skupić na czymś innym.

Książki... Ojciec wspominał, że mieli znaleźć jakieś książki. Ale przecież Gehn miał ich mnóstwo; dlaczego potrzebował nowych?

- Kiedy dopłyniemy na miejsce? – zapytał.

- Niedługo – odparł cierpliwie Gehn, miarowo poruszając wiosłami. Atrus odnosił wrażenie, że ojciec dysponuje niewyczerpanym zasobem sił.

Chłopiec skinął głową, przez chwilę bawił się plecakiem, potem znowu spojrzał na ojca.

Gehn obserwował go spod półprzymkniętych powiek.

- Co takiego, Atrusie?

Atrus przełknął i podzielił się z ojcem myślami.

- Te książki... Co jest w nich takiego wyjątkowego? Nie rozumiem.

Twarz Gehna była pusta, pozbawiona wyrazu.

- Wszystko w swoim czasie. Teraz chcę tylko, żebyś je dla mnie znalazł.

Atrus drzemał przez pewien czas, a potem ocknął się gwałtownie, zdziwiony tym, że wciąż płyną łodzią. Ziewnął, zatoczył głowę, żeby rozruszać szyję, po czym spojrzał na ojca.

- A więc wreszcie się obudziłeś – powiedział Gehn z wymuszonym uśmiechem. – Spójrz za siebie. O mały włos tego nie przeoczyłeś.

Atrus wstał, odwrócił się i ujrzał wznoszące się nad nim miasto, które zdawało się wypełniać cały horyzont. Starodawne budowle pięły się, warstwa za warstwą, ku potężnemu sklepieniu grotu.

Tuż przed nim wznosił się łuk, większy niż wszystkie, które widział dotychczas. W porównaniu z architekturą D'ni, którą Atrus widział wcześniej, łuk wydawał się niezgrabny. Składał się z nie ozdobionych bloków, ale każdy z nich miał rozmiary dużej posiadłości. Całość budowli składała się z dziesięciu bloków, a w olbrzymim wejściu mogła się zmieścić nawet największa z wysp.

- Łuk Keratha – oznajmił z dumą Gehn, wpatrując się w budowlę.

- Kerath... - szepnął Atrus, którego sama wzmianka imienia bohatera przyprawiła o dreszcz.

- Wszyscy królowie D'ni przepływali pod tym łukiem – mówił Gehn. – Wysyłano ich do krain południowych, gdzie pobierali nauki w sztuce rządzenia, a potem, po upływie roku, wracali tutaj na koronację nad zatoką, przed Domem Władcy. Ceremonię oglądał milion obywateli, a później urządzano ucztę, która trwała miesiąc.

A jednak łuk nazwano imieniem Keratha – myślał Atrus. – Ponieważ był najpotężniejszy ze wszystkich.

Kiedy powoli przepływali pod łukiem, Atrus mógł zaobserwować, że kamień był pokryty plamami i wgłębieniami. Piach i wiatr postarzyły go, lecz nie tak jak skały na pustyni, ale jak skórę, która stała się napięta i sucha.

Ten łuk stoi tu od niezliczonych tysiącleci – mówił do siebie, przypominając sobie historię Keratha, który wrócił do D'ni na grzbiecie wielkiej jaszczurki. Teraz Atrus musiał oczywiście zweryfikować obraz, jaki wytworzył się w jego umyśle: Kerath nie wracał przez pustynię, ale przez to wielkie, rozległe morze, a jaszczurka spoczywała być może bezpiecznie na pokładzie łodzi.

Ta myśl sprawiła, że zmarszczył czoło i w skupieniu zaczął się zastanawiać, jak wiele innych rzeczy wyobraził sobie błędnie. Na przykład Tre'Merktree, Miejsce Zatrutej Wody, czy nadal istniało? Odwrócił się do ojca, ale zanim zdążył zapytać, Gehn odezwał się znowu:

- Ten pierwszy raz musisz się trzymać blisko mnie, Atrusie. Nie wolno ci się oddalać. Dzisiaj musimy ograniczyć poszukiwania do jednej części miasta.

Gehn wskazał na prawo, na część miasta niedaleko zatoki.

- Tam zaczniemy szukać, w dzielnicy J'Taeri. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy to, czego szukamy, w bibliotece publicznej.

Atrus skinął głową, po czym przeszedł na dziób, patrząc, jak miasto wylania się powoli spod łuku. Na wprost nich masywne ściany z popękanego białego marmuru okalały zatokę trzema warstwami przypominającymi olbrzymie stopnie.

Od frontu, naprzeciwko łuku, stało niegdyś kilka potężnych posągów, każdy kilkakrotnie większy od człowieka, teraz jednak pozostały tylko dwa, a nawet one były popękane i obtłuczone. Reszta, strącono z cokołów, leżała teraz w kawałkach na marmurowych płytach albo na samym dnie zatoki; strzaskane kończyny wielkości filarów wystawały ponad lśniąca powierzchnię.

Za posągami, w głębi wielkiego, okazałego placu, stała budowla przypominająca olbrzymią świątynię z portykami – piętnaście białych kamiennych filarów, podtrzymujących to, co zostało z masywnej kopuły. Wokół świątyni wznosiło się miasto, warstwa za warstwą ulic i budynków, zadaszonych wiaduktów i delikatnych łuków, a nie było dwóch identycznych poziomów.

Z oddali miasto wyglądało jak bezkształtna masa kamienia, jednak oglądane z bliska ujawniało zdumiewającą misterność i różnorodność. Nawet kolor strzaskanych budowli nie był jednakowy: najniższe warstwy miały barwę szarą lub czerwono-brązową, a wyższe czarną z czerwonymi żyłkami, podobnie jak posiadłości na wyspach i wewnętrzna brama.

Z bliska można też było dostrzec zakres zniszczeń stolicy D'ni. Gdziekolwiek Atrus spojrzał, widział ślady ruiny i upadku. Nie było budowli, która w jakimś stopniu nie uległaby zniszczeniu.

Opuścił wzrok i spojrzał w lśniąca wodę. Głęboko, tak głęboko, że sprawiały wrażenie raczej cieni niż przedmiotów, leżały resztki wielkiej floty barek kupieckich, która kiedyś tutaj kotwiczyła.

- Czy ludzi zabiło trzęsienie ziemi? – spytał Atrus.

Gehn zignorował pytanie. W skupieniu sterował łodzią. Wreszcie zakotwiczył łódź obok jednego z wielkich kamiennych filarów, który podpierał molo. Z pomostu zwieszała się drabinka sznurowa.

Spojrzał na Atrusa, po czym dał mu znak, żeby wspiął się po drabinie, a sam przytrzymał ją od dołu. Kiedy chłopiec zbliżał się do szczytu, Gehn przywiązał cumę do drabinki i sam zaczął się wspinać.

Atrus wyszedł na molo. Był jeszcze bardziej przestraszony niż wtedy, gdy wpływali do wielkiej zatoki. Obejrzał się na potężny łuk Keratha, który wznosił się ponad naturalną niecką zatoki, po czym powoli wykonał pełen obrót.

Gehn wspiął się po drabinie i stanął obok syna.

- Chodź, Atrusie. Musimy nadrobić stracony czas. – Wskazał na strzaskaną kopułę po drugiej stronie placu. – Nasz cel znajduje się tam.

Wielki plac był może kiedyś utrzymywany w doskonałym stanie, teraz jednak zaśmiecały go kamienne odłamki, które spadły z leżącego powyżej miasta. Wielkie szczeliny bieły gdzieniegdzie zygzakami po marmurowej posadzce, a w innych miejscach ziemia znikła po prostu w małych kraterach.

Dom Władcy był zdewastowany. Olbrzymia kopuła w dwóch trzecich zniknęła, zachowały się tylko trzy z piętnastu przęseł dachu, a duże drzwi wypadły z zawiasów. Wewnątrz Atrus znalazł dowody na to, że pokoje i korytarze spalono, na długo przed tragedią. Nad ich głowami zwęglone belki stropowe rysowały się na tle kamiennego krajobrazu.

Atrus spojrzał na plecy ojca, zastanawiając się, co robili w tym zrujnowanym miejscu, ale Gehn tylko pobieżnie rozejrzał się wokół siebie, potem ruszył głównym korytarzem i skręcił w prawo, do małego pomieszczenia na tyłach budynku.

Mogła to być kuchnia ze spiżarnią.

Atrus patrzył, jak Gehn podchodzi do jednej z półek, sięga w głąb i pociąga coś ku sobie. Rozległ się cichy brzęk, jak gdyby coś rozsuwało się pod ich stopami.

Gehn odwrócił się z uśmiechem. Przeszedł przez pomieszczenie i wsunął się za długą kamienną ławę. Zaczął przesuwając dłońmi po ścianie, jakby czegoś szukał, wreszcie napiął mięśnie ramion i pchnął. Cały fragment muru momentalnie odchylił się w tył i przesunął na bok, odsłaniając niszę w ścianie.

Oczom Atrusa ukazał się ciemny chodnik prowadzący w głąb skały.

Wszystko to stało się tak cicho i bez żadnego wysiłku, że Atrus stał przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w niszę szeroko otwartymi oczami.

Gehn odwrócił się przywołał go ruchem ręki.

- Chodź, chłopcze. Na co czekasz?

Atrus schylił głowę i wszedł do tunelu, ale po chwili stanął, ponieważ nie widział dalej niż na wyciągnięcie ręki.

- Masz – powiedział Gehn, wręczając mu lampę i ognistą kulkę.

Atrus przykucnął i opierając lampę na kolanie umieścił w niej kulkę. Kiedy zaczęła świecić, wstał. Odwróciwszy się, zobaczył, że Gehn zapala własną lampę.

W przenikliwym niebieskim blasku lampy oczy Gehna wydawały się ogromne. Spojrzawszy w nie, Atrus zdał sobie sprawę, że nawet po upływie tych kilku tygodni ojciec pozostał mu obcy. Wciąż tak mało o nim wiedział.

- Pójdę przodem – powiedział Gehn, najwyraźniej nieświadom badawczego wzroku syna. – Trzymaj się jednak blisko, Atrusie. Te tunele są jak labirynt. Jeżeli zostaniesz w tyle i stracisz mnie z oczu, możesz się już nigdy nie wydostać.

Atrus skinął nerwowo głową, a kiedy ojciec przecisnął się obok niego i zaczął schodzić w dół tunelu, pospieszył w ślad za nim.

Za plecami Atrusa rozległ się zgrzyt kamienia, kiedy ściana na powrót się zasunęła. Głuche dudnienie rozbrzmiało echem w tunelu.

Z obu stron tunelu odchodziły chodniki, niektóre w górę, inne w dół, ale Gehn kroczył prosto przed siebie. Minęło dobre dziesięć minut, zanim się zatrzymał. Upewniwszy się, że Atrus wciąż idzie za nim, wskazał na wąskie schody.

- To długa wspinaczka – rzekł – ale tak będzie szybciej, niż gdybyśmy szli chodnikami.

Schody pięły się coraz wyżej i wyżej, skręcając to w prawo, to w lewo, jak gdyby biegły naturalnym uskokiem skalnym. W pewnej chwili wyszły na wąską komnatę z balkonem i kamiennymi ławami wykutymi w skale, potem ponownie zagłębiły się w mrok, biegnąc jeszcze bardziej stromo w górę.

- To już niedaleko – powiedział wreszcie Gehn, kiedy schody skończyły się i wyszli na względnie płaską przestrzeń.

- Kto wykuł te przejścia? – spytał Atrus, zwracając uwagę na słowa i wzory wyrte na ostatnim fragmencie ściany.

- To pozostanie tajemnicą – odparł Gehn. – Kiedy ludzie żyją w jednym miejscu tak długo, jak D'ni żyli tutaj, robią wiele rzeczy, których przyczyny są nieznane lub nikną w mrokach przeszłości. Niektórzy uczeni – między innymi wielki Jevasi – sądzą, że ściana tej groty jest tak gęsto nimi poszatkowana, że gdyby wyryć ich odrobinę więcej, cała potężna budowla by się zawaliła!

Atrus zmrużył oczy, próbując to sobie wyobrazić.

Tuż przed nimi zamigotało pomarańczowe światło. Rosło z każdą chwilą, aż wreszcie chłopiec ujrzał zarys wylotu tunelu.

Znaleźli się w wąskim, nie umeblowanym pokoju. Przez otwór w suficie widać było sklepienie wielkiej groty. Atrus wiedział już, że taki jest styl architektoniczny D'ni. Tylko nieliczne z ich budowli – oficjalne rezydencje, jak na przykład Dom Władcy – miały dachy; pozostałe były odkryte. Jaki cel miało zadaszenie, skoro deszcz nigdy nie padał, a temperatura nie zmieniała się? Typowy dom D'ni mógł co najwyżej mieć grubą markizę, rozciągniętą ponad najwyższą kondygnacją, ale niektóre z dwu- i

trzy piętrowych budynków nie miały nawet tego, a ich mieszkańcy spali i kąpali się na niższych piętrach.

Pokój kończył się małym balkonem. Schody po prawej prowadziły na wąską alejkę. Atrus podszedł do balustrady i wyjrzał na pusty gościniec, zafascynowany widokiem szarych kamiennych budynków, labiryntem chodników, schodów i zadaszonych ścieżek.

Szli dalej, stukając obcasami po wytartym kamieniu. Wąska alejka skręcało w prawo i wspinała się łagodnie między wysokimi ścianami, które miejscami były popękane i zwalone. Za tymi ścianami znajdowało się kilka imponujących posiadłości, zadziwiająco dobrze zachowanych. Atrus doszedł do wniosku, że konstruując je przewidziano podobne wstrząsy.

Było to dziwne i fascynujące miejsce. Nagle usłyszał w myślach znajomy głos, zadający to samo pytanie, co zawsze.

Co widzisz, Atrusie?

Po chwili wahania odpowiedział:

Widzę wyblakłą farbę na ścianach. Widzę zabite deskami okna i sterty śmieci, nie sprzątniętych od wielu lat. Widzę... ruinę i opuszczenie. Oznaki wspólnego zamieszkiwania. Porzucone kabriolety i postrzępione pranie rozwieszane na wyświechtanych sznurach.

Dobrze. Jaki wniosek z tego wyciągasz?

Atrus rozejrzał się ponownie wokół siebie, po czym odpowiedział Annie w myślach:

Posiadłości są stare i okazałe, pochodzą z czasów, kiedy było to szacowne, modne miejsce do mieszkania, jednak w mniej odległych czasach, zanim jeszcze wielkie trzęsienie zrobiło swoje, musiała to być dzielnica biedoty.

Dobrze. Dlaczego w takim razie twój ojciec tu przyszedł? Czego może szukać w takim miejscu?

Książek, odparł w myślach Atrus, ale trudno mu w to było uwierzyć. Po cóż ojciec miałby potrzebować więcej książek?

9

Na końcu szerokiej, niegdyś zadrzewionej alei, wzdłuż której ciągnęły się okazałe domy, stały rogatki D'ni. Była to wielka, kanciasta budowla z bliźniaczymi wieżyczkami i parą masywnych, wysadzanych ćwiekami drzwi. Na kamiennym nadprożu wyryto dwa słowa D'ni. Atrus podniósł wzrok i przetłumaczył je w myślach.

Dzielnica J'Taeri.

Gehn podszedł do lewych drzwi i naparł na nie całym ciałem, ale pomimo ponawianych wysiłków ani drgnęły. Odwrócił się i rozejrzał wokół siebie, potem wszedł do ogrodu jednego z pobliskich domów. Po chwili wyszedł z ciężkim kawałkiem metalu; najwyraźniej była to ozdobna rura spustowa fontanny.

Ponownie stanął przed drzwiami, podniósł wysoko grubą rurę i uderzył w zamek. Rozległ się trzask, posypały się drzazgi, ale drzwi nie ustąpiły. Stękając głośno, Gehn zaczął walić w drzwi, niszcząc je coraz bardziej z każdym zamachem. Wreszcie, za siódmym czy ósmym razem zamek odpadł.

Gehn odrzucił rurę, po czym naparł na drzwi, napinając mięśnie. Masywne drzwi powoli się otworzyły.

Weszli do J'Taeri.

Budynki były tu mniejsze, ale znacznie lepiej utrzymane niż w dzielnicy, którą opuścili. Jednak zarówno tam, jak i tu czuło się ciężar przeszłości, starodawnych historii i spiętrzonych niczym warstwy geologiczne.

W miejscach, gdzie nie została wymieniona, kamienna podłoga była tak wytarta przez miliony stóp, które stąpały po niej przez tysiąclecia, że na środku wyraźnie się wgłębiała. Przywodziła na myśl ciecz, jak wosk, który został stopiony i uformowany na nowo, a wrażenie to potęgowała czerwono barwa kamienia.

Doszedłszy do skrzyżowania – miejsca, gdzie zadaszone chodniki przecinały się w górze, a tunele niknęły w mrokach ziemi – Gehn stanął, wyjął z kieszeni swój mały notes w skórzanej oprawie i zagłębił się w lekturze.

Atrus wielokrotnie widział, jak Gehn zagląda do notesu, który zdawał się zawierać najrozmaitsze informacje, ale, dziwna rzecz, nigdy nie zauważył, żeby ojciec w nim pisał.

Może robi to w nocy, pod moją nieobecność, pomyślał Atrus, przypominając sobie swój własny dziennik. A może nie ma takiej potrzeby. Może wykreślił już mapę całego tego miasta.

Szczerze mówiąc, wiedza Gehna na temat stolicy zdumiewała Atrusa. Wyglądało na to, że ojciec zna każdą ulicę, każdy ważny budynek w D'ni. A nawet kiedy czegoś nie wiedział, z pewnością miał to w notesie.

Gehn zamknął notes i wskazał na aleję po lewej.

- Musimy iść tędy. Główny plac znajduje się o dziesięć minut drogi stąd.

Atrus odczekał, aż Gehn schowa notes, po czym ruszył za ojcem w milczeniu, rozglądając się na boki.

Domy w D'ni były bogato umeblowane, a ponadto na wielu z nich widniały wielkie pięciokątne kamienne tarcze, ozdobione symbolami identycznymi z tym, które zdobiły tunikę Gehna tamtej nocy, kiedy przybył do rozpadliny po Atrusa.

Zaciekawiony Atrus zapytał Gehna, czym były, i dowiedział się, że to odznaki cechu oraz że mieszkańcy domów ozdobionych tarczami byli starszymi członkami cechu.

Okazało się, że J'Taeri była dzielnicą cechu. Zamieszkujące ją rodziny nie pochodziły stąd, ale zostały zaciągnięte na służbę, by nadzorować działalność cechu w niżej położonych dzielnicach.

Domy w J'Taeri bardzo różniły się od tych, które mijali wcześniej. Niektóre z nich przypominały Atrusowi kształty, które widział w jaskiniach, kiedy schodzili do D'ni. Wydawało się, że naśladują stalaktyty, wąskie wieże sterczały ze ścian jak wielkie stalagmity, a frontowe łuki zdobiły draperie z kamiennych koronek. Inne domy – te przeważały – miały naśladować potężne bloki skalne; trzy lub cztery kondygnacje spoczywały jedna na drugiej jak warstwy wygładzonego łupku, a oko postronnego obserwatora nie napotykało na żaden ślad okien ani drzwi.

Dwa spośród większych domów wyróżniały się nie tylko imponującym stylem, ale także tym, że zbudowano je z czarnego kamienia w czerwone żyłki, który Atrus widział dotąd tylko na wyższych poziomach miasta. Ponownie zapytał ojca, co, jeśli cokolwiek, to oznaczało.

- To były domy ważnych ludzi – odparł Gehn z roztargnieniem. – Tylko wielcy bogacze mogli sobie pozwolić na użycie podobnych materiałów.

Aleja wychodziła na otoczony wysokimi kamiennymi murami plac, w głębi którego stał budynek przypominający Dom Władcy. Do pogrążonego w cieniu portyku

prowadziło sześć szerokich marmurowych stopni. Fasada budynku jakimś cudem przetrwała trzęsienie ziemi prawie nienaruszona.

Na najwyższym stopni Atrus odwrócił się i spojrzął ponad labiryntem murów i dachów ku zatoce, której wielki łuk sięgał niemal szczytów dachów. Potem chłopiec odwrócił się i zagłębił się w cieniu biblioteki publicznej.

Za rzędem pięciu popękanych filarów znajdował się mały hol wejściowy z mozaiką na podłodze. Przez sam jej środek biegła ciemna, poszarpana szczelina, ale obraz był nadal widoczny. Przedstawiał człowieka stojącego za pulpitem, na którym leżała otwarta książka, dokładnie taka sama jak książki na postumentach w bibliotece w K'veer. Człowiek zatrzymał dłoń tuż ponad ilustracją w książce.

W głębi holu znajdowało się dwoje drzwi, po lewej i po prawej. Nad framugą lewych drzwi widniał wryty znak, oznaczający w języku D'ni wejście. Nad drzwiami po prawej ten sam znak ujęto w okrąg, od którego odchodziło siedem krótkich, klinowatych promieni. Atrus przypomniał sobie z lekcji Anny, że taki symbol oznacza negację. Znak należało więc odczytać jako zakaz wstępu.

Podszedł do drzwi po lewej. Wychodziły na długi korytarz, ozdobiony po bokach kratami z brązu i żelaza, które biegły środkiem znacznie większego, pochylego korytarza. Popękane ściany były pokryte reliefami pól, jasnych słońc, a także stojących na tych polach mężczyzn i kobiet, patrzących w górę na bezkresne, nieznane niebo przez dziwne okulary. Atrus uzmysłowił sobie nagle, że były one identyczne z jego okularami.

Na końcu okratowanego chodnika stała bariera. Gehn przesadził ją bez trudu i wszedł na dużą, wysoko sklepioną galerię, na końcu której stała potężna kamienna przegroda. Za nią widniało troje wysokich, pomalowanych na czarno drzwi.

Atrus przelazł przez barierę i podszedł do ojca.

- Tam, za tymi drzwiami, znajduje się pokój książek – powiedział Gehn. – Właśnie tam zwyczajni ludzie D'ni mieli możliwość udania się w podróż do wieku.

Spojrzął na Atrusa, najwyraźniej dumny z osiągnięć swojej rasy.

- Czy wszyscy korzystali z tych miejsc?

- Nie. Dlatego właśnie noszą one nazwę bibliotek publicznych. Korzystali z nich zwyczajni pracujący mężczyźni i kobiety D'ni. Wielkie rody posiadały własne książki, własne epoki. Przydziałały je cechy z zachowaniem najwyższej surowości, podobnie jak wieki w bibliotece, tyle że miały one charakter elitarny. Tylko ludzie posiadający pozwolenie rodów mieli prawo wstępu.

- A światy żniw? – spytał Atrus marszcząc brwi.

- Te światy należały do cechu. Książki, którymi posługiwali się członkowie cechu, miały znacznie mniej restrykcyjny charakter. Wynikało to z konieczności udźwignięcia wielkich ładunków, które regularnie przynoszono z tamtych wieków.

- Tak czy inaczej, wejdźmy do środka – powiedział Gehn wskazując na drzwi.

Atrus ruszył za ojcem. Ominął kamienną przegrodę i wszedł przez centralne drzwi do długiej komnaty pełnej postumentów, przeciętej chodnikiem, a wszystko to wsparte na potężnych podeście z białego marmuru. Komnata nie miała sufitu, ale na zewnątrz był balkon z częściowo zniszczoną balustradą. Atrus potrafił wyobrazić sobie odzianych w płaszcze członków cechu, którzy stoją na balkonie niczym bogowie i spokojnie obserwują to, co dzieje się na dole.

Atrus stanął obok ojca. Na najbliższym postumencie leżała otwarta książka, której gruba skórzana oprawa była przymocowana do pulpitu ciężkim złotym łańcuchem.

- Oto one – powiedział chłopiec.

- Nie – odparł Gehn, patrząc na syna. – Te na nic się nam nie przydadzą.

Atrus zmarszczył czoło, nic nie pojmując, ale Gehn już klęczał i badał szczyt jednego z misternie ozdobionych postumentów, macając palcami pod stożkową krawędzią. Z sapnięciem zawodu wyprostował się, podszedł szybko do następnego i zbadał go, z takim samym rezultatem.

W tym czasie Atrus podszedł do postumentu i spojrzał na ilustrację na prawej stronie.

Zmarszczył brwi. Ilustracja była ciemna; widział tylko jej niewyraźny zarys. Wreszcie zrozumiał. „Okno” skrywała warstwa kurzu, zawieszona tuż nad stroną.

Podszedł, żeby ją strzepnąć, ale Gehn, który zobaczył, co chłopiec zamierza zrobić, złapał go za rękę i odciągnął, mocno nią potrząsając.

- Nigdy nie wolno ci tego robić, Atrusie! Nigdy! Rozumiesz? Ten wiek może być martwy, zniszczony przez jakąś katastrofę. Zostałbyś wciągnięty do bezwietrznego świata.

- Przepraszam – powiedział cicho Atrus.

Gehn westchnął i puścił jego dłoń.

- Sztuka bywa niekiedy bardzo niebezpieczna, Atrusie. Właśnie dlatego D'ni przedsięwzięli daleko idące środki ostrożności, żeby chronić te książki i dopilnować, by nie uczyniono z nich niewłaściwego użytku.

- Niewłaściwego użytku?

Jednak Gehn już odszedł i wrócił do przerwanych poszukiwań. Klęczał, badając krawędź jednego z postumentów w drugim rzędzie.

- Chodź tu, Atrusie.

Atrus zmarszczył brwi, ale spełnił polecenie i stanął obok ojca.

- Chcę, żebyś przeszukał te wszystkie postumenty i znalazł jakiś przełącznik lub zapadkę. – Gehn wskazał na drzwi w głębi komnaty. – Musimy tam wejść. Gdzieś tutaj jest przełącznik lub lewarek, który nam na to pozwoli.

Atrus zabrał się do pracy. Przeszukiwał postumenty jeden po drugim, aż wreszcie, z cichym okrzykiem podniecenia, znalazł małą mosiężną kopułkę za jednym z wielkich kamiennych pulpitów.

Nacisnął ją, a drzwi w głębi komnaty momentalnie się rozsunęły.

- Dobrze – powiedział Gehn. Wstał z klęczek i podszedł do drzwi.

- Czy tego szukaliśmy? – spytał Atrus, stając w progu i z uczuciem zawodu zaglądając w nieumeblowany korytarz, od którego nie prowadziły żadne drzwi.

- Nie – odparł Gehn i odwrócił się z powrotem do głównej galerii. – Pokój książek znajduje się pod nami. Miałem nadzieję, że zapadnia będzie otwarta, ale wygląda na to, że musimy się włamać.

Kiedy ojciec ponownie wszedł w głąb komnaty, Atrus wyminął go i po raz pierwszy ujrzał duży, kwadratowy kamienny blok, który wisiał jak obraz na ścianie po prawej.

Stanąwszy przed nim, Atrus zmarszczył brwi. Z gładkiej powierzchni kamienia wystawały symbole geometryczne – gwiazdy i półkola, trójkąty i kwadraty oraz kilka innych – ułożone w przypadkowym porządku. Atrus przyjrzał się symbolom, starając się dostrzec to, co zwróciło jego uwagę. Był tu jednak pewien wzór. Nie... nie wzór, ale progresja. Każdy symbol miał wartość matematyczną, a kiedy się uporządkowało te wartości...

Mapa. To była mapa!

Gehn wrócił do komnaty niosąc jeden ze zwalonych postumentów. Mięśnie napinały mu się pod tuniką, kiedy dźwigał na piersi i ramionach masywny kawał marmuru.

- Z drogi! – wysapał, następnie uniósł kamień obiema rękami i trzasnął nim w kwadrat, przebijając ścianę.

- Ale ojcze...

- Cofnij się, chłopcze – powiedział Gehn ignorując go, po czym znowu chwycił postument i zaczął wyciągać go ze ściany, kołysząc nim w przód i w tył.

Przecież mogłem rozwiązać tę łamigłówkę – myślał Atrus, kiedy ojciec odrzucił kamień, odsłaniając kłębowisko metalowych bloków i przewodów.

Patrzył, jak ojciec pociąga i popycha przewody, usiłując uruchomić mechanizm otwierający zapadnię. Przez chwilę nic się nie działo, aż rozległ się trzask zapadki.

- Stań przy drzwiach, Atrusie – polecił Gehn delikatnie uruchamiając mechanizm.

Rozległ się syk tłoków hydraulicznych, a następnie cichy zgrzyt. Po chwili prostokąt w podłodze zaczął się obsuwać pod ziemię, odsłaniając schody.

Atrus zszedł za ojcem do dużego, jasno oświetlonego pomieszczenia, pełnego długich warsztatów, na których piętrzyły się sterty rozmaitych przedmiotów. Wzdłuż ścian biegły półki. Na krzesłach siedziało osiem szkieletów w płaszczach, zgarbionych nad pracą. Dziewiąty – ich nadzorca? – leżał pod ścianą w głębi.

- Co to za miejsce? – spytał Atrus, wdychając stęchłe powietrze. Zauważył, że szkielety były przykute do krzesel łańcuchami.

- To jest główny pokój książek – odparł Gehn. Jednak w komnacie nie było ani śladu książek. Na półkach piętrzyły się najrozmaitsze przedmioty – pudełka i butelki, papiery i teczki, przybory do pisania i grawerowania – ale żadnych książek, a w każdym razie takich, o jakie chodziło Gehnowi. Jedynymi książkami, na jakie natrafili, były te na górze, ale tych Gehn najwyraźniej nie potrzebował.

Atrus wpatrywał się w ojca zdezorientowany. Gehn przeszukiwał metodycznie najbliższe półki, jak gdyby miał tam natrafić na prawdziwe skarby.

- Czego powinienem szukać? – spytał po chwili chłopiec.

Gehn odwrócił się do niego z takim wyrazem twarzy, jak gdyby zapomniał o jego istnieniu, po czym wskazał na drzwi w głębi komnaty, za schodami, którymi zeszli.

- Rozejrzyj się tam, Atrusie. Powinien się tam znajdować wąski korytarz z odchodzącymi od niego czterema czy pięcioma pokojami. W jednym z nich mieści się schowek na książki. Jeżeli okaże się zamknięty, zawołaj mnie, ale raczej nie mieli czasu, by go zamknąć.

Istotnie – pomyślał Atrus, który zaczął rozumieć, jak szybko katastrofa zwała się na D'ni. Ojciec powiedział, że nastąpiło to w nocy, kiedy większość przyzwoitych ludzi leżała w łóżkach.

Gehn powrócił do szperania na półkach; po chwili podniósł dziwnie wyglądającą szklaną fiolkę, potrząsnął nią i odrzucił.

Atrus przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, po czym zagłębił się w korytarzu, stwierdzając, że odpowiadał dokładnie opisowi Gehna. Korytarz był długi na osiem kroków; dwoje drzwi znajdowało się po lewej, dwoje po prawej, a piąte tuż na wprost niego. Spróbował otworzyć pierwsze, na których wygładzonej drewnianej powierzchni wyryto misterny znak D'ni oznaczający książkę.

Drzwi uchyliły się bezgłośnie. Atrus wszedł do miniaturowego pomieszczenia – przypominało niemal kredens – z szerokimi półkami na wszystkich trzech ścianach i wysokim sufitem.

Większość z półek okazała się pusta, ale na jednej z wyższych stało osiem dużych ksiąg w skórzanych oprawach.

Atrus wyjął jedną z nich, książkę w czerwonej oprawie, zdziwiony jej ciężarem, jakby wykonano ją nie tylko z papieru. Ukłęknął, położył książkę na podłodze i otworzył.

Nic! Stronice były puste. Zawiedziony, zamknął książkę i wsunął na miejsce, po czym wyjął drugą, tym razem oprawioną w jasnozieloną skórę. Również ona okazała się pusta. Wyjmował kolejno wszystkie książki, w nadziei, że znajdzie przynajmniej jedną, w której będzie coś napisane, ale wszystkie go zawiodły.

Przygnębiony wziął ostatnią książkę pod pachę i wrócił do ojca.

Gehn uprzątnął jeden z warsztatów i właśnie nachylał się nad czymś, co wyglądało jak drewniana taca, na której stał co najmniej tuzin bursztynowych kałamarzy. Po chwili wyprostował się, podnosząc do oczu jeden z dużych, pięciościennych kryształów. Jego głęboki bursztynowy kolor odbijał się na bladej twarzy Gehna. W końcu zauważył obecność syna.

- No i co? Znalazłeś?

- To na nic – odparł Atrus, zbrojąc się w duchu przed gniewem ojca. – Nic w nich nie ma.

Gehn odstawił kałamarz do przegrody, podszedł i odebrał książkę Atrusowi.

- Pokaż mi to.

Otworzył ją, przewertował i ponownie spojrzał na syna.

- Świetnie. Właśnie tego szukałem. A gdzie są pozostałe?

Atrus potrząsnął głową, a potem przytaknął, kompletnie zdezorientowany.

- Ale myślałem... Myślałem, że chodziło ci o takie, w których są wieki. To... są zwykłe książki.

- Nie, Atrusie – zaśmiał się Gehn. – To nie są zwykłe książki, ale Kortee'nea. Puste książki, które dopiero mają zostać napisane.

Napisane... Atrus wpatrywał się w ojca.

Gehn zsunął plecak, schował do niego książkę i ponownie spojrzął na Atrusa.

- Ile książek znalazłeś w schowku?

- Osiem.

- Dobrze. W takim razie przynieś je tutaj. Tu mamy atrament – powiedział wskazując na zestaw bursztynowych kałamarzy. – Są też pióra, więc niczego nam nie zabraknie. Ruszaj się, chłopcze. Może zdążymy do domu na kolację!

10

Atrusie!

Atrus podniósł wzrok znad biurka i spojrzał na Gehna stojącego po przeciwnej stronie biblioteki.

- Tak, ojcze? – spytał i odłożył pióro uważając, by nie uronić na papier ani kropli atramentu.

- Chodź ze mną.

Atrus stał przez chwilę niezdecydowany, potem przeszedł przez podest i stanął obok ojca u stóp schodów.

Od wyprawy do miasta minęły dwa tygodnie i Atrus zaczął podejrzewać, że ojciec zapomniał o złożonej obietnicy. Gehn jednak się uśmiechał.

- Czy jesteś gotowy, Atrusie?

- Gotowy, ojcze?

- Żeby zacząć pracę. Nadszedł czas, żebyś nauczył się pisać.

Atrus wszedł za Gehnem do dużego, ale wywołującego lekką klaustrofobię pokoju. Nie rozumiał, skąd brało się to wrażenie, ale po chwili pojął, że pokój wykuto bezpośrednio w skale; stanowił więc grotę w grocie.

Książki piętrzyły się na biegnących wzdłuż surowych ścian półkach i na podłodze. Na środku pokoju stało duże biurko oświetlone lampą o dziwnym kształcie. Było to jedyne źródło światła w tym mrocznym, wilgotnym pomieszczeniu. Naprzeciwko masywnego biurka stało drugie, mniejsze, które zostało uprzątnięte.

Gehn zaprowadził Atrusa do biurka, a sam usiadł na krześle i z jednej z szuflad wyjął płytką metalową tacę, na której leżało duże pióro oraz kilka bursztynowych kałamarzy, które znaleźli podczas wyprawy po książki.

Gehn odsunął tacę na bok, nachylił się i przyciągnął do siebie jedną z dużych, oprawionych w skórę książek w brązowej okładce w białe plamki. Otworzył ją na pierwszej stronie.

Była pusta.

Gehn utkwiał wzrok w Atrusie.

- Od sześciu tygodni uczysz się pisać podstawowe słowa D'ni i przekonałeś się, jak piękne i złożone jest to pismo. Jednak te znaki niosą także pewną treść, Atrusie, znacznie głębszą, niż ci się wydaje. Ich znaczenie nie ogranicza się wyłącznie do tego świata. Wypracowano je przez dziesiątki tysięcy lat w konkretnym celu. Miały opisywać wieki i tworzyć nowe światy. One nie są jak słowa, które ty i ja wypowiadamy niedbale, nie można ich również używać w ten sposób w książkach. Pismo D'ni nie jest tylko sztuką, jest nauką. Jest to nauka precyzyjnego opisu.

Odwrócił się i spojrzał na pustą stronę.

- Kiedy zaczynamy, nic nie istnieje. To jest... nie stworzone. Kiedy jednak pojawia się pierwsze słowo, zostaje ukończony pierwszy znak, ostatnie pociągnięcie pióra, wówczas zostaje ustanowione połączenie z nowo stworzonym światem, powstaje most.

- Ale dokąd prowadzi ten most? – Atrus zmarszczył brwi.

- Dokądkolwiek – odparł Gehn i zerknął na syna, zdejmując pokrywkę z kałamarza z bursztynowego kryształu. – D'ni nazwali ten most Terokh Jeruth, wielkim drzewem możliwości.

- To brzmi jak czary! – zaśmiał się Atus.

- Bo tym właśnie są. Jednak ty i ja jesteśmy D'ni i dlatego zdradzę ci pewną tajemnicę. Nie jesteśmy zwykłymi ludźmi, Atrusie, jesteśmy bogami!

- Bogami? – Atrus wpatrywał się w ojca w zdumieniu.

- Tak – ciągnął Gehn, a w jego oczach płonęła namiętność, jakiej Atrus nigdy wcześniej nie widział. – Zwykli ludzie tylko śnią i się budzą. My potrafimy wcielać w życie nasze sny. W pewnych granicach, granicach, które najwięksi mędrcy D'ni wyznaczyli przez tysiąclecia, możemy tworzyć wszystko, co sobie wyobrazimy. Używamy słów, by wyczarowywać światy.

Atrus otworzył szeroko usta.

- Mógłbym pokazać ci światy tak bogate, tak wyraziste, że przepelniłoby cię uczucie podziwu dla ich twórców. Światy o takim splendorze, że ten nasz cudowny świat wydałby cię się zwyczajny!

Gehn zaśmiał się, a potem pokazał Atrusowi kałamarz. Grube, żółte ścianki z materiału przypominającego szkło zawierały czysty czarny płyn.

- Co widzisz, Atrusie?

Chłopiec podniósł wzrok i spojrzał ojcu w oczy, zaskoczony tym echem słów Anny.

- Atrament?

- Tak... ale nie zwyczajny atrament. Posiada on szczególną moc, podobnie jak stronice tej książki. Wykonano je ze specjalnego papieru, produkowanego według technologii, którą cech utrzymywał w ścisłej tajemnicy.

- A pióro? – spytał Atrus. – Czy i ono jest wyjątkowe?

- Nie – uśmiechnął się Gehn. – Pióro to po prostu pióro. Jeśli jednak ktoś inny chciałby spróbować zrobić to, co zaraz zrobimy – mówię o człowieku, w którego żyłach nie płynie krew D'ni – poniósłby klęskę.

Gehn otworzył książkę na stronie tytułowej, zamoczył stalówkę pióra w atramencie i zaczął pisać.

Atrus patrzyła, jak na papierze pojawia się słowo „wyspa”; miał wrażenie, że pióro niemal wypala czarne linie w bieli kartki.

Gehn napisał jeszcze tuzin znaków, następnie uniósł pióro i spojrzał na Atrusa.

- Gotowe? – spytał Atrus, zdziwiony, że to już koniec. – Spodziewał się, że rozbłyszczą ognie sztuczne albo otworzą się niebiosa. – Stworzyłeś nowy wiek?

- Owszem – zaśmiał się Gehn. – On istnieje, ale... jest bardzo niezgrabny. Stworzenie nowego wieku wymaga dużego nakładu pracy. Trzeba trzymać się specjalnych wzorów, przestrzegać konkretnych praw. Jak powiedziałem, to nie jest tylko sztuka, ale także nauka, nauka precyzyjnego opisu.

Wskazał na książkę.

- Załedwie naszkicowałem najbardziej podstawowe elementy nowego świata. Teraz czeka nas olbrzymia praca. Należy opisać każdy aspekt wieku, dopasować każdy nowy element. To jeszcze nie wszystko.

Gehn wziął drugą, znacznie mniejszą książkę ze sterty i pokazał Atrusowi.

- Po stworzeniu wieku, trzeba będzie napisać książkę łączącą.

Atrus otworzył małą książkę, która składała się załedwie z kilku stron. Wszystkie były puste.

- Tak – ciągnął Gehn. – Ilekroć udajesz się do nowego wieku, musisz zabrać ze sobą książkę łączącą. W przeciwnym razie zostałbyś tam uwięziony bez możliwości powrotu.

Atrus wpatrywał się w ojca szeroko otwartymi oczami.

- Ale co właściwie znajduje się w takiej książce łączącej?

Gehn odebrał mu książkę.

- Każda książka łącząca odnosi się do jednej z większych książek opisujących. Można powiedzieć, że zawiera esencję tej większej książki, pewne zwroty i słowa, które spajają ją z tą konkretną książką i żadną inną. To jednak nie wszystko. Po to, by książka łącząca działała, musi także zawierać dokładny opis miejsca w tym konkretnym wieku, z którym chcesz się połączyć. Używa się w tym celu specjalnego symbolu D'ni – Garo-hevtee. Ponadto książka łącząca musi być napisana w wieku i miejscu, z którym ma łączyć. Można więc powiedzieć, że książka łącząca to roboczy substytut książki opisującej.

Po chwili zastanowienia Atrus zapytał:

- Czy może istnieć tylko jedna książka łącząca dla jednej książki opisującej?

- Bynajmniej – odparł Gehn, zachwycony bystrością syna. Odłożył cienką książkę na stertę i dodał: - Możesz napisać tyle książek łączących ile tylko chcesz. Zawsze jednak musisz napisać przynajmniej jedną. To jest pierwsza zasada, o której nie wolno ci zapomnieć.

- Ale co się stanie, jeśli zmienisz wiek? Co będzie, jeśli postanowisz napisać więcej niż jedną książkę opisującą? Czy książka łącząca przestanie działać?

- Nie. Jeśli zmieni się książkę opisującą, wówczas wszystkie książki łączące połączą się ze zmienionym światem.

Atrusowi zaświeciły się oczy, kiedy to sobie wyobraził. Dopiero teraz zdał sobie sprawę ze złożoności i potęgi pisma.

- To brzmi... zdumiewająco!

- Tak – odpowiedział Gehn, a jego boskie, nadludzko mądre oczy wpatrywały się w syna. – O tak, Atrusie. To jest zdumiewające.

Tej nocy Atrus postanowił, że przypomni ojcu, że już prawie nadszedł czas złożenia wizyty Annie.

Był ośmielony doskonałym nastrojem Gehna podczas kolacji. Odczekał, aż ojciec wypali fajkę i usadowił się na krześle w kącie kuchni, po czym poruszył drażliwy temat.

- Ojczy?

Gehn wyciągnął nogi i spojrzał na buty, opierając na kolanach fajkę żarzącą się łagodnym blaskiem.

- Tak?

- Kiedy wrócimy?

- Wrócimy? Dokąd? – Gehn spojrzał na syna leniwie.

- Do rozpadliny.

Ku zaskoczeniu chłopca, Gehn wybuchnął śmiechem.

- Tam? Chcesz tam wrócić?

- Tak – odparł cicho Atrus. – Powiedziałeś...

- Powiedziałem, że spróbuję. Powiedziałem...

Gehn wyprostował się, odłożył fajkę na bok i spojrzał na Atrusa.

- Powiedziałem tak, żeby uciszyć twoją babkę. Nigdy nie miałem zamiaru... -

Wzruszył ramionami i zaczął od początku. – Posłuchaj, Atrusie. Droga do rozpadliny zajęłaby nam cztery do pięciu dni, a powrót kolejne trzy lub cztery. I po co?

- A nie mógłbyś napisać książki do rozpadliny i sprowadzić jej tutaj?

- Jak chciałbyś się zabrać do pisania takiej książki? Ten świat został już stworzony.

- Czy nie możesz więc napisać książki łączącej?

Atrus zamilkł, ponieważ zdał sobie sprawę, że to niemożliwe. Chcąc napisać taką książkę łączącą, musiałby się znaleźć w rozpadlinie.

Gehn przyglądał się synowi. Kiedy zauważył, że zrozumiał, powiedział cicho:

- Może powinienem być ci powiedzieć, że nie możesz się połączyć z innym miejscem wieku, w którym się znajdujesz. To niemożliwe.

Atrus milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Ale mówiłeś, że mnie tam zabierzesz.

- Och, Atrusie, dorośnij wreszcie! Tam nic nie ma.

- Ale obiecałeś. – Atrus spuścił wzrok. – Powiedziałeś...

Gehn wstał.

- Po prostu nie mam na to czasu, a nawet gdybym miał, nie marnowałbym go na taką podróż. Tamto miejsce to dziura, Atrusie, i to w sensie dosłownym. Poza tym ta kobieta ma trujący wpływ. Czyżbyś jeszcze tego nie zrozumiał? Musiałem cię stamtąd zabrać.

- Mylisz się – powiedział cicho Atrus.

Jednak Gehn tylko potrząsnął głową i wskazał na krzesło.

- Usiądź. Opowiem ci pewną historię. Potem zdecydujesz, czy się myłę czy nie.

Atrus usiadł, wciąż gniewny i zirytowany, unikając wzroku ojca.

- Blisko trzydzieści lat temu, kiedy miałem zaledwie cztery lata, wybuchła wojna. Wywołał ją młody człowiek o imieniu Veovis. Był synem szlachcica i jedynym spadkobiercą wielkiego majątku. Po pewnym czasie zostałby członkiem rasy, prawodawcą. Nie zadowalało go jednak ani to, co posiadał, ani perspektywy, jakie miał na przyszłość. Veovis złamał prawo D'ni. Nadużył swojej uprzywilejowanej pozycji.

- W jaki sposób?

- Popęłnił ohydne, niewyobrażalne zbrodnie. Był jak nowotwór, który należało wyciąć z kultury D'ni. Wreszcie, schwytano go i, pomimo wstawiennictwa ojca Veovisa, postawiono przed trybunałem pięciu seniorów. W końcu seniorzy podjęli decyzję: Veovis miał zostać uwięziony w miejscu, z którego nie było ucieczki. Zanim jednak decyzja seniorów została wprowadzona w życie, kilku młodych przyjaciół Veovisa pomogło mu uciec z D'ni.

Na sześć miesięcy słuch o Veovisie zaginął i sądzono, że problem został rozwiązany. Potem jednak zaczęły krążyć nowe pogłoski. Mówiono, że Veovis przybrał inne imię i pojawił się w szynkach niższego miasta, gdzie siał ferment przeciwko warstwie panującej.

Początkowo nic z tym fantem nie zrobiono. Argumentowano, że to zwykłe plotki. Po pewnym czasie jednak zaczęły się mnożyć dziwne incydenty. W jednym z cechów zasztyletowano wyższego urzędnika państwowego. W jednej z głównych wytwórni atramentu wybuchła bomba. Zbezczeszczono księgę.

Atrus zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc, ale ojciec patrzył w dal, zatopiony we wspomnieniach.

- Po tym ostatnim zejściu zwołano posiedzenie rady. W końcu postanowiono działać, ale było już za późno. Veovis rzeczywiście przebywał w dolnym mieście. Co więcej, siał ferment wśród niższych warstw społecznych. Żaden z członków rządzącej rady nie miał pojęcia, jak głębokie było niezadowolenie ani jakiego odśloniętego nerwu dotknął Veovis. Zaledwie dwa dni po zwołaniu rady, w jednym z dolnych dzielnic wybuchły poważne zamieszki. Tego dnia, przed godziną policyjną cała dolna część miasta pogrążyła się w chaosie. Tłum ruszył ulicami, raniąc lub zabijając każdego, kto ośmielił się mu przeciwstawić.

Gehn przerwał i odwrócił się do Atrusa.

- Jak już mówiłem, w tym czasie byłem jeszcze dzieckiem. Mieszkałem w jednym z domów wielkiego cechu w górnej części miasta. Mój rodzinny dom stał na

urwistej, oddalonej o kilka mil skale, którą widziałem z okien refektarza. Pamiętam, że stałem przy oknie przez całe popołudnie. Z dołu docierały ryk tłumu i potworne krzyki umierających. Zastanawiałem się, czy to już koniec. To były straszne chwile, tym straszniejsze, że bałem się o swoją rodzinę. Nam, mieszkańcom domów cechu, nic oczywiście nie groziło. Na samym początku zamieszek rada zaryglowała bramy do górnej części miasta i potroiła strażę. Jednak wielu mieszkańców peryferyjnych posiadłości zginęło tego dnia. Padli ofiarą własnych służących, mężczyzn i kobiet, którym ufali całe życie.

Upłynęło sześć tygodni, zanim ostatnich buntowników okiełznano, a samego Veovisa schwytano podczas próby ucieczki przez dolny tunel. Tym razem na zebraniu seniorów zapadła jednogłośnie decyzja. Veovis musiał umrzeć. Postanowiono, że egzekucja odbędzie się na schodach Wielkiej Biblioteki.

Gehn odwrócił wzrok; dalszy ciąg opowieści najwyraźniej sprawiał mu ból.

- To był mądra decyzja – powiedział wreszcie. – zanim jednak przypieczętowano ją i ogłoszono jako prawo, przed radą stanął ostatni świadek, który błagał o litość dla młodego oskarżonego.

Ti'ana – pomyślał Atrus, przypominając sobie opowieść Anny.

- Tym świadkiem była kobieta o imieniu Ti'ana – powiedział Gehn.

Atrus otworzył usta, pragnąc dokończyć opowieść, pochwalić się przed ojcem swoją wiedzą, ale Gehn zdawał się go nie zauważać. Mówił dalej, pochłonięty opowieścią, a w jego głosie zabrzmiał nagle ton goryczy.

- Ti'ana cieszyła się wielkim szacunkiem seniorów, więc pozwolili jej mówić. Jej zdaniem niebezpieczeństwo minęło. Veovis nie zdołał zniszczyć D'ni. Co więcej, argumentowała, gdyby nie Veovis, jakiś innych wicherzyciel poderwałby tłumy, ponieważ niezadowolenie nie ograniczało się do jednego człowieka, ale dotyczyło całej klasy. W tych okolicznościach, ciągnęła Ti'ana, przekonując swoją elokwencją czcigodnych seniorów, rada powinna wrócić do swej poprzedniej decyzji.

Gehn dotarł do stóp schodów, zszedł na drugi poziom i spojrzawszy na syna, ciężko westchnął.

- Tak się też stało, Atrusie. Veovisa osadzono w więzieniu, więzieniu, z którego nie mógł uciec. – Gehn zatrzymał wzrok na twarzy syna. – To się wydarzyło trzy dni później. Sprawdzali go, rzecz jasna, rano i wieczorem, ale trzeciego dnia wieczorem strażnik, którego posłano, nie wrócił. Dwaj następni wrócili z wiadomością, że więzienie jest puste. Nie znaleźli ani Veovisa, ani strażnika. Powinni

się byli domyślić, że stało się coś bardzo złego, ale nie dostali jeszcze nauczki. Kiedy Veovis się nie pokazał, uznali, że wszystko jest w porządku, że uciekł i już nigdy nie wróci. Ale Veovis był mściwym młodym człowiekiem, który dwa razy w ciągu jednego roku widział, jak unicestwiono jego plany. Tylko głupiec mógł przypuszczać, że ktoś taki po prostu odejdzie, żeby lizać rany. Tylko głupiec...

Atrus mrugnął, zdziwiony nagłym gniewem w głosie ojca.

- Tak więc Veovis wrócił. Tym razem nie pojawił się w towarzystwie brudnej, bezładnej tłuszczy, ale stanął na czele małej, ale świetnie wyszkolonej grupki fanatyków, którzy mieli tylko jeden cel: zniszczyć D'ni. Widzisz, Ti'ana się myliła. Niebezpieczeństwo nie minęło, a Veovis nie pokazał jeszcze, na co go stać.

- Przecież nie mogła tego przewidzieć.

- Nie? – Gehn potrząsnął głową, a na jego twarzy odmalował się wyraz głębokiego zawodu. – Ta kobieta była głupią wichrzycielką, a mój ojciec był na tyle głupi, żeby jej słuchać.

- Twój ojciec?

- Tak – odparł Gehn, podchodząc do okna i wyglądając na krajobraz ruin. – A może ona ci tego nie powiedziała?

- Ona?

- Anna. Twoja babka.

- Nie... Nie rozumiem. Co ona ma z tym wspólnego?

- Nadal nie rozumiesz? – Gehn zaśmiał się ponuro.

- Czego?

Gehn odwrócił się i spojrzał surowo na syna.

- Tego, że to ono była Ti'aną. Anna. Takie imię nadał jej mój ojciec, a twój dziadek, kiedy ją poślubił.

- Nie. – Atrus wpatrywał się w ojca w stanie kompletnego szoku. – To niemożliwe. Powiedziałyby mi o tym.

- To prawda – rzekł z goryczą Gehn. – Jej słowa zniszczyły D'ni... Jej intrygi. Wszystko ułożyłoby się. Veovis zostałby stracony, groźba zażegnana, ale nie... musiała się wtrącić. Nie mogła się powstrzymać. Jak gdyby zjadła wszystkie rozumy! Nigdy nie chciała słuchać! Nigdy!

Atrus potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Czy kiedykolwiek opowiadała ci o mnie, Atrusie? Powiedz. Nie! Oczywiście, że nie. Dlatego zadaj sobie pytanie: o czym jeszcze ci nie powiedziała?

- Ależ ona nie mogła tego zrobić! – wykrzyknął, nie panując nad sobą. – Nie mogła!

- Nie? – Gehn przyglądał mu się przez chwilę, jak gdyby obserwował jakiś okaz pod mikroskopem. – Nie powinieneś pozwolić, żeby sentymenty cię zaślepiły, Atrusie. Świat, który zamieszkujemy, jest surowy, a sentymenty mogą cię zabić tak samo jak spadająca skała. Tej lekcji twoja babka nigdy się nie nauczyła. Dlatego nie mogę pozwolić, żebyś tam wrócił. Dla twojego własnego dobra.

- Twój ojciec?

- Tak – odparł Gehn, podchodząc do okna i wyglądając na krajobraz ruin. – A może ona ci tego nie powiedziała?

- Ona?

- Anna. Twoja babka.

- Nie... Nie rozumiem. Co ona ma z tym wspólnego?

- Nadal nie rozumiesz? – Gehn zaśmiał się ponuro.

- Czego?

Gehn odwrócił się i spojrzał surowo na syna.

- Tego, że to ona była Ti'aną. Anna. Takie imię nadał jej mój ojciec, a twój dziadek, kiedy ją poślubił.

- Nie. – Atrus wpatrywał się w ojca w stanie kompletnego szoku. – To niemożliwe. Powiedziałyby mi o tym.

- To prawda – rzekł z goryczą Gehn. – Jej słowa zniszczyły D'ni. Jej intrygi. Wszystko ułożyłoby się. Veovis zostałby stracony, groźba zażegnana, ale nie... musiała się wtrącić. Nie mogła się powstrzymać. Jak gdyby zjadła wszystkie rozumy! Nigdy nie chciała słuchać. Nigdy!

Atrus potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Czy kiedykolwiek opowiadała ci o mnie, Atrusie? Powiedz. Nie! Oczywiście, że nie. Dlatego zadaj sobie pytanie: o czym jeszcze ci nie powiedziała?

- Ależ ona nie mogła tego zrobić! – wykrzyknął, nie panując na sobą. – Nie mogła!

- Nie? – Gehn przyglądał mu się przez chwilę, jak gdyby obserwował jakiś okaz pod mikroskopem. – Nie powinieneś pozwolić, żeby sentymenty cię zaślepiły, Atrusie. Świat, który zamieszkujemy, jest surowy, a sentymenty mogą cię zabić tak samo jak spadająca skała. Tej lekcji twoja babka nigdy się nie nauczyła. Dlatego nie mogę pozwolić, żebyś tam wrócił. Dla twojego własnego dobra.

Atrus milczał przez chwilę, wpatrując się w swoje dłonie zaciśnięte na kolanach. Wreszcie przemówił cicho:

- Anna była dla mnie dobra. Opiekowała się mną, dbała, żebym nie głodował. Poza tym mnie uczyła.

- Uczyła cię? – Gehn zaśmiał się zjadliwie. – Czego cię uczyła? Jak przetrwać w dziurze w ziemi? Jak jeść kurz i marzyć o deszczu?

- Nie! – krzyknął Atrus. Czuł się pokrzywdzony, dezorientowany i zły jak nigdy dotąd, chociaż nie wiedział, na kogo. – Nauczyła mnie więcej niż ty!

Śmiech Gehna urwał się jak ucięty nożem. Podszedł do Atrusa i spojrzął na niego zimno i groźnie.

- Co powiedziałaś?

Atrus spuścił wzrok, onieśmielony fizyczną bliskością ojca.

- Powiedziałem, że nauczyła mnie więcej niż ty.

Gehn złapał chłopca pod brodę i zmusił go, żeby na niego spojrzął.

- Powiedz mi, chłopcze. Czego pożytecznego ta kobieta kiedykolwiek cię nauczyła?

Atrus strząsnął dłoń Gehna i cofnął głowę.

- Nauczyła mnie języka D'ni, ot co!

Gehn wybuchnął śmiechem, odrzucając głowę w tył.

- Chyba raczej nauczyła cię kłamać!

Atrus spojrzął ojcu prosto w oczy i powiedział powoli, spokojnie, płynnie w języku D'ni:

- Nauczyła mnie tego, co jest dobre i co należy cenić, prawd, których nie można obalić ani zmienić.

Szydery uśmiech zniknął z twarzy Gehna.

- Chcesz powiedzieć, że wiedziałeś? – spytał Gehn. – Przez cały ten czas? Siedziałeś tam i udawałeś, że nie wiesz? Szydziłeś ze mnie?

- Nie – zaczął Atrus, chcąc wytłumaczyć, ale Gehn nie słuchał.

Złapał chłopca obiema rękami, ściągnął z krzesła i potrząsnął nim.

- Ty kłamliwy, niewdzięczny chłopaku! Przydałoby ci się, gdyby zaprowadził cię do tej żalostnej dziury i pozwolił ci tam zgnieć! Ale ona tego by chciała, co? Dlatego tam nie wrócimy, ani teraz, ani nigdy!

- Ale musisz mnie tam zaprowadzić! – krzyknął Atrus, przerażony słowami ojca. – Anna będzie się niepokoić! Jeżeli nie usłyszy...

Gehn złapał Atrusa za kark, zaciągnął go jego pokoju, a potem zatrzasnął za nim drzwi i zamknął je na klucz.

- Poczekaj! – zawołał Atrus, podnosząc się z ziemi i rzucając się do drzwi. – Ojczy! Proszę... musisz mnie wysłuchać!

Gehn nie wracał przez pełne trzy dni. Kiedy w końcu się zjawił, oznajmił swoje przybycie głośnym waleniem w drzwi syna.

- Atrusie!

Atrus siedział w niszy sypialnej w dużej szafie. Miejsce to przypominało mu łóżko w rozpadlinie. Czytał książkę D'ni, trzymając w dłoni na wpół zjedzone jabłko. Na odgłos pukania poderwał się gwałtownie. Schował książkę i jabłko, szybko zamknął drzwi szafy, rzucił się na łóżko i wsunął się pod jedwabne prześcieradła.

- Atrusie! – Tym razem Gehn mówił w języku D'ni. – Obudziłeś się? Muszę z tobą pomówić.

Powinien kazać mu odejść, ale gniew, który wcześniej odczuwał, zdążył się ulotnić. Poza tym chciał wiedzieć, co ojciec miał na swoje usprawiedliwienie.

- Dobrze... - odkrzyknął, udając obojętność.

Usłyszał chrobotanie klucza w zamku, a po chwili Gehn wszedł do pokoju. Sprawiał wrażenie niezmiernie zmęczonego. Jasne oczy miał zaczerwienione od barku snu, a ubranie – to samo, które miał na sobie tamtego wieczoru, kiedy się pokłócili – brudne.

Atrus usiadł na łóżku, opierając się plecami o masywne, rzeźbione wezgłowie i spojrzał na ojca.

- Rozmyślałem – rzekł.

- Od tamtej pory mówimy tylko w języku D'ni – przerwał mu Gehn, podnosząc dłoń.

- Rozmyślałem – zaczął Atrus ponownie, tym razem w D'ni. – Próbowałem spojrzeć na tę sprawę z twojego punktu widzenia. Myślę, że cię rozumiem.

Gehn podszedł do łóżka, zaintrygowany.

- I do jakiego wniosku doszedłeś?

Po chwili wahania Atrus odparł:

- Myślę, że rozumiem, co czujesz do Anny, dlaczego tak bardzo jej nienawidzisz.

Gehn roześmiał się, zdziwiony, a jednocześnie na jego twarzy odmalował się dziwny ból.

- Nie, Atrusie, ja nie żywię wobec niej nienawiści. Gdyby to było takie proste, sytuacja byłaby jasna. Jednak obwiniam ją. Winię ją za to, co uczyniła D'ni, a także za to, że porzuciła tu mojego ojca, wiedząc, że umrze.

- Nie dostrzegam różnicy.

- Nie? – Gehn podszedł i stanął nad Atrusem. – Trudno wytłumaczyć, co odczuwam. Jest moją matką i musi mnie kochać. To jej obowiązek. Podczas ostatniej wizyty widziałem to w jej oczach. Tylko, że ona mnie nie lubi. Szczerze mówiąc, nigdy mnie nie lubiła. – Potrząsnął głową, a potem mówił dalej: - Tak samo rzecz się miała z Veovisem. Nigdy go nie lubiła. Uważała, że jest odrażający, źle wychowany i ma porywczy temperament. A jednak, kiedy przyszło co do czego, poczuła, że jej obowiązkiem jest kochać go, ocalić go przed nim samym.

Gehn westchnął ciężko.

- Była hipokrytką. Ta słabość zniszczyła rasę bogów!

- A jednak wy dwoje przeżyliście – powiedział cicho Atrus. – Ona cię ocaliła. Wyprowadziła cię z D'ni.

- Tak – odparł Gehn, zapatrzony w cienie w głębi pokoju. – Czasami zastanawiam się, dlaczego to zrobiła. Pytam siebie, czy również to nie było swego rodzaju słabością. Czy nie stałoby się lepiej dla nas obojga, gdybyśmy umarli tam i zakończyli czysto całą sprawę. A tak...

W długiej chwili milczenia, która nastąpiła, Atrus przyglądał się ojcu, po raz pierwszy widząc go wyraźnie. Czuł podziw dla ducha, jaki w nim płonął, dla determinacji, by odbudować i przywrócić kulturę D'ni. Wysiłek ojca zasługiwał na podziw, ale był daremny.

- Czy mogę odwiedzić Annę?

- Nie, Atrusie – odparł Gehn, nie podnosząc nawet wzroku. – Podjąłem decyzję. Byłoby to niszczące, a ja nie mogę sobie pozwolić na zniszczenie.

- Ale będzie się niepokoić, jeśli nie wrócę...

- Milcz, chłopcze! Powiedziałem nie, i na tym koniec! Poślę do twojej babki Rijusa z wiadomością, że masz się dobrze, i wyjaśnię, dlaczego nie możesz się z nią więcej widywać.

Atrus spuścił wzrok. Czuł, jak gdyby ojciec go uderzył. Nie widywać się z nią? Ta myśl przerażała go.

- Co się tyczy twojego kłamstwa – ciągnął Gehn, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z reakcji młodzieńca – muszę ci powiedzieć, że bardzo się na tobie zawiodłem, Atrusie. Mimo to puszczę twoje przewinienie w niepamięć. Na dłuższą metę może się ono okazać niezwykle korzystne. Dzięki niemu zaoszczędzę wiele czasu i ciężkiej pracy i będę mógł posunąć się naprzód szybciej, niż przypuszczałem. Niewykluczone nawet, że będziesz mógł zacząć pisać własną książkę.

- Książkę? – spytał Atrus podnosząc wzrok.

- Tak. Ale musisz mi coś obiecać. – Gehn stał nad nim z surowym, bezwzględny wyrazem twarzy. – Musisz mi obiecać, że nigdy, przenigdy nie zakwestionujesz mojego zdania ani nie będziesz nic knuł za moimi plecami. Chcę, byś miał co do tego całkowitą jasność, Atrusie. Jestem tu mistrzem, a moje słowo jest prawem.

Atrus wpatrywał się w ojca, wiedząc, że w tym momencie poznał go lepiej niż kiedykolwiek. Zrozumiał, że nie ma wyboru, pochylił głowę.

- Obiecuję.

- Dobrze. A teraz chodź coś zjeść. Pewnie umierasz z głodu.

11

Gdzie jesteśmy? – spytał Atrus, rozglądając się po jaskini, z którą się „połączyli”. Dopiero po chwili jego oczy przywykły do ciemności.

Gehn wyminął syna. Wspiął się na place i sięgnął do wąskiego zagłębienia w ścianie jaskini.

- To jest jeden z moich niedawno stworzonych światów – odparł, wyjmując cienkie pudełko. Znajdowała się w nim książka łącząca, dzięki której mieli wrócić do D’ni. Sprawdziwszy szybko, czy nikt jej nie uszkodził, wsunął książkę z powrotem do otworu w skale i spojrzał na Atrusa. – To jest mój trzydziesty siódmy wiek.

- Aha... - odparł Atrus, ponieważ nie przychodziło mu na myśl nic innego. Osobiście poświęciłby trochę więcej czasu i wysiłku na wymyślenie nazwy dla tego wieku – może coś mistycznego i romantycznego – ale Gehn miał do swoich twórców stosunek pragmatyczny.

Już od trzech lat towarzyszył ojcu w podróżach do wieków, a Gehn ani razu żadnego nie nazwał. Liczby, nic tylko liczby.

U wejścia do jaskini wąski tunel skręcał w lewo, wznosząc się stale w górę. Atrus zawiązał płaszcz pod szyją i ruszył za Gehnem, zastanawiając się, w jakim świecie się znaleźli.

Na górze panowała noc. Wyszli na trawiastą polanę, otoczoną z trzech stron nagimi skałami. W dole, pod ciemnym, niebiesko-czarnym niebem, na którym świeciły dwa małe księżycy – biały i czerwony – leżała wyspa. Pośrodku wyspy dostrzegł owalne jezioro.

Atrus, stał, chłonąc widok, pod wrażeniem kręgu niskich wzgórz, które tworzyły naturalną nieckę wokół jeziora. Samo jezioro, ciemne i nieruchome, odbijało bliźniacze księżycy. Rozciągające się w oddali morze migotało jasno.

Patrząc na morze, Atrus zaczął się jak zwykle zastanawiać, jakich słów użył ojciec, by uzyskać tę łagodną, rzeźbioną pochyłość wzgórz. A może stanowiła ona wytwór podziemnych skał? Czy to był wapień? Albo na przykład glina? A te drzewa po prawej – czy były naturalne, czy Gehn wpisał je w krajobraz?

Powietrze było słodkie i chłodne, pełne rozmaitych zapachów żywych organizmów.

- To jest bardzo piękne – powiedział wreszcie, patrząc na ojca, ale Gehn tylko chrząknął, obserwując swoje dzieło z wyniosłym lekceważeniem.

- Tworzyłem już znacznie lepsze dzieła niż to – powiedział, wspinając się na jedną ze skał i schodząc w dół po drugiej stronie. – Pod pewnymi względami to mój najmniej udany eksperyment. Próbowałem w nim zachować prostotę. Być może efekt okazał się zbyt prosty.

Atrus wspiął się na skałę i pospieszył za ojcem. W ciągu ostatnich trzech lat widział sporo wieków ojca – sam jeszcze nie zaczął ich tworzyć – ale nigdy nie przestało go zdumiewać, że zwykłe słowa mogą tworzyć tak wyraziste i namacalne światy.

Między skałami biegła w dół ścieżka, która tuzin kroków dalej wychodziła na nagie zbocze porośnięte trawą sięgającą do ud. W dole, w odległości około mili, na lewym skraju jeziora przycupnęły niskie, prostokątne budynki o dziwnym kształcie, jak gdyby zostały w połowie wykonane z kamienia. Było ich może czterdzieści; oświetlały je lampy wiszące nad drzwiami i na palach nad zatoką. Wszystkie chaty łączyły wiszące chodniki. Pod strzechami najbliższych chat majaczyła grupka ciemnych, wyprostowanych postaci.

- Ten wiek jest zamieszkały? – spytał Atrus, odwracając się do Gehna ze zdumieniem.

- Tak, ale nie spodziewaj się zbyt wiele, Atrusie. Tutejsi ludzie są niezwykle prości, żeby nie powiedzieć prostacy. Pędzą dość nędzny żywot, utrzymując się z rybołówstwa i prostych form rolnictwa. Co się tyczy kultury, cóż...

Gehn zaśmiał się lekceważąco. Mimo to Atrus poczuł dziwne podniecenie na myśl, że spotka tych ludzi. Chociaż Gehn od czasu do czasu sprowadzał ekipy pracowników z któregoś z wieków, jeszcze nigdy nie zabrał Atrusa do zamieszkanego wieku. Aż do dzisiaj.

Schodzili po zboczu porośniętym gęstą trawą. Początkowo Atrus sądził, że podejda do wyspiarzy nie zauważeni, ale kiedy znajdowali się około stu jardów od krańców wioski, rozległ się okrzyk. Ktoś ich spostrzegł. W dole zahuczało od głosów i mieszkańcy zaczęli się uwijać jak w ukropie.

Gehn dotknął ramienia syna i dał mu znak, by stanął.

- Czy grozi na niebezpieczeństwo? – spytał Atrus.

- Cierpliwości, Atusie – odparł Gehn kręcąc głową. – Jesteś tu po to, by obserwować, więc obserwuj.

Atrus zamilkł, przyglądając się tuzinowi wysokich, człekokształtnych postaci, które wspinały się do nich po zboczu, niosąc płonące pochodnie.

W odległości dziesięciu kroków od nich wieśniacy stanęli. Osunęli się na kolana i pochyliłi głowy, korząc się przed Gehnem. Najwyższy z grupy wstał, wystąpił do przodu z pochyloną głową, podał Gehnowi girlandę żółtych kwiatów i wypowiedział kilka słów w łamanym języku D'ni.

- Witaj, wielki mistrzu. Twoja siedziba jest gotowa.

W migotliwym świetle pochodni Atrus ujrzał, co miał na sobie wieśniak. Była to niezdarna, ręcznie tkana kopia płaszcza cechu!

- Dobrze – powiedział Gehn i pochylił głowę, by wieśniak mógł mu założyć girlandę na szyję. Potem wyprostował się i rozkazał: - Zbierz wieśniaków. Natychmiast chcę do nich przemówić.

- Mistrzu! – odparł akolita, zerkając z ciekawością na Atrusa.

- Prowadź! – rozkazał surowym głosem Gehn.

Ruszyli w dół wąską ścieżką, wzdłuż której ciągnęły się niskie, lecz przestronne chaty o stromych, krytych gontem dachach, których drewniane ściany wyrastały z potężnych, utoczonych głazów. Nad ich głowami kołysały się wiszące drewniane chodniki, a kiedy dotarli do jeziora, Atrus zobaczył, że ziemię pokryto tam deskami, a w skale wykuto stopnie prowadzące w dół. Zeszli do portu, którego jedną ścianę tworzyły zatopione w jeziorze setki długich pali, dzięki czemu powstała bariera. W porcie stał tuzin małych, ale zgrabnych kutrów z położonymi masztami i zwiniętymi żaglami.

Ze wszystkich stron schodzili się ludzie – mężczyźni, kobiety i dzieci. Błdzi, przysadzistej budowy, byli ubrani w ciemnobrązowe bluzy robocze. Ich jasne, nastroszone włosy przywodziły Atrusowi na myśl słomę.

Po drugiej stronie portu biegł wykuty w skale kanał, łączący jezioro z morzem. Nie był zbyt szeroki – w sam raz na jeden kuter – ale przerzucono nad nim solidny drewniany most.

Za kanałem ziemia znowu wznosiła się w górę, a na szczycie wąskiego grzbietu, za którym dalej ciągnęło się masywne zbocze wzgórza, widniał dom modlitwy, znacznie większy niż chaty w porcie. Kiedy przeszli przez most i zaczęli się

wspinać po zboczu, Atrus spostrzegł, że pospiesznie zapalano lampy i rozwieszano girlandy między drewnianymi palami przed domem modlitwy.

Wieśniacy postępowali za nimi w milczeniu, a ich pochodnie płonęły jasno w rozświetlonej księżycem nocy.

Kiedy Gehn dotarł do domu modlitwy, odwrócił się do tłumu, który liczył już kilkaset osób.

- Ludzie trzydziestego siódmego wieku – zaczął podniesionym głosem, a jego słowa odbijały się echem od okalających jezioro wzgórz. – Oto mój syn, Atrus. Postanowiłem, że spędzimy u was nieco czasu. Macie traktować go z takim samym szacunkiem, jakim darzycie mnie.

Atrus spojrzał na ojca zdziwiony. Słyszał to po raz pierwszy. Gehn mówił jednak dalej dudniącym głosem.

- Dacie mu wszystko, czego sobie zażyczy. Macie spełniać wszystkie jego prośby. Rozumiecie?

- Rozumiemy – odrzekło zgodnie dwieście głosów.

- To dobrze! – powiedział Gehn i władczym ruchem lewej dłoni zezwolił zebranym na odejście. Następnie zwrócił się do Atrusa.

- Chodź, Atrusie. Wejźmy do środka.

Atrus zawahał się, spojrzał w dół zbocza na rozchodzących się wieśniaków. Potem otulił się szczelnie płaszczem i wszedł za ojcem do chaty.

Wnętrze chaty okazało się szokująco znajome. Do złudzenia przypominało sale modlitwy, które widywał w wielkich domach w D'ni. Na trzech ścianach wisały symboliczne gobeliny: misternie tkane, barwne jedwabie, które, jak domyślił się Atrus, przyniesiono tutaj z D'ni. Dominującym przedmiotem w pomieszczeniu było jednak duże, drewniane biurko, podobne do biurka w gabinecie Gehna.

Spojrzał na ojca i zobaczył, że Gehn przygląda mu się z rozbawieniem.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego cię tu sprowadziłem?

Po chwili wahania Atrus skinął głową.

Gehn podszedł do biurka i usiadł, potem nachylił się i wziął ze sterty cienką książkę.

- Prawda jest taka, Atrusie, że sprowadziłem cię tutaj z kilku powodów, ale głównie po to, by odpowiedzieć ci na kilka pytań dotyczących tworzenia wieku, które stale mi zadajesz. Chciałem tchnąć życie w twoją wiedzę teoretyczną. W tym celu,

podczas pobytu tutaj, będziesz prowadził dziennik, w którym spiszesz wszystkie swoje spostrzeżenia dotyczącego tego wieku.

Podał Atrusowi książkę.

- Chciałem również, żebyś wszystkiego doświadczał osobiście, bez żadnych z góry wyrobionych sądów. Chciałem, żebyś na własne oczy zobaczył lęk, jaki wzbudzamy w mieszkańcach wieków.

- Lęk, ojcze?

- Tak, Atrusie, lęk. I tak też powinno być, czyż bowiem nie jesteśmy bogami? Czy to nie nam zawdzięczają życie, każdy oddech? Czy znaleźliby się tutaj, gdybym nie napisał ich na bieli kartki?

Po chwili przerwy Gehn ciągnął dalej:

- Chcę, żebyś tu pobył przez pewien czas i poobserwował ten wiek. Pomoże ci to w twoim własnym pisaniu. Zatrzymasz się u pewnej starej kobiety, której mąż umarł kilka lat temu. Masz odnosić się do niej uprzejmie, ale wyniośle. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Dobrze. – Gehn oparł się na krzesło. – Idź więc. Mój akolita czeka na zewnątrz. Zaprowadzi cię do domu, w którym się zatrzymasz.

Akolita szedł przed Atrusem w milczeniu, trzymając przed sobą ceremonialną pochodnię, ozdobioną drobnymi symbolami D'ni. Zaciekawieni wieśniacy klękali i pochylali głowy, wymieniając szeptem uwagi.

Kiedy dotarli do ścieżki przecinającej wioskę, akolita nie ruszył prosto do następnej groty, ale skręcił w lewo i zaczął się wspinać na wąskie schody między dwiema chatami o stromych dachach. Atrus ruszył za nim. Szli położoną wysoko ścieżką, która zdawała się prowadzić donikąd. Przed nimi wznosiło się tylko ciemne, oświetlone księżycem zbocze wzgórza.

Mężczyzna szedł dalej, powoli, uroczyście, jak gdyby prowadził wielką procesję.

Atrus spojrzął w tył na port, odszukał wzrokiem most, a za nim pogrążony w ciemności dom modlitwy. Za domem, widoczny dopiero teraz, gdy w środku zapalono lampy, stał długi, niski namiot. Atrus widział, jak ojciec wchodzi do namiotu, schyla się i znika za płócienną płachtą.

Odwrócił się. Przed nim, po lewej, tuż ponad garbem wzgórza, jaśniało światelko. W miarę jak wspinali się coraz wyżej, rosło, ukazując zarys chaty, która przycupnęła na grzbiecie wzgórza. Światło pochodziło z otwartych drzwi.

Kiedy się zbliżyli, w świetle pojawiła się postać, po czym znowu zlała się z ciemnością.

Stara kobieta.

Kiedy światło pochodni akolity padło na front domu, postać kobiety ukazała się ponownie. Podobnie jak większość jej krajanów, miała na sobie prosty, ciemnobrązowy kombinezon z szorstkiego materiału. Także jej włosy nie miały w sobie nic wyszukanego; grube szare kosmyki okalały jej pomarszczoną twarz niczym zaniedbana aureola. Była najstarszą osobą, jaką Atrus kiedykolwiek widział.

Odwróciła wzrok, niezręcznie schylił głowę, po czym cofnęła się, pozwalając mu wejść do chaty.

Po chwili wahania Atrus schylił się, wszedł pod niskie nadproże i znalazł się w czystym, ciepłym pomieszczeniu, wypełnionym silnym, świeżym aromatem ziół. Rozejrzał się wokół siebie i spostrzegł je momentalnie: wzdłuż ściany po prawej, ponad dwiema wąskimi półkami pełnymi naczyń kuchennych, na maleńkich drewnianych haczykach wisały łydźki ziół.

Podłoga była wyłożona heblowanymi deskami, a niski dach zbudowano z drewnianych belek i gontu. W połowie długości dachu wisiała prosta niebieska zasłona, skrywająca pozostałą część chaty przed wzrokiem Atrusa.

- Chcesz jeść? – spytała kobieta, która czuła się niezręcznie w obecności Atrusa. Język D'ni, którym się posługiwała, był jeszcze uboższy niż akolity.

- Dziękuję – odparł Atrus. – Właściwie nie jestem głodny.

- Aha... – Wyglądało na to, że jej kiwnięcie głową wyrażało raczej zdenerwowanie niż zgodę. Jej brązowe oczy wpatrywały się w Atrusa z niepokojem.

- Chcesz spać?

- Ja... – Prawdę mówiąc, wcale nie był zmęczony. Ostatecznie w D'ni była dopiero pora kolacji. Domyślił się jednak, że przez niego kobieta czuje się niezręcznie, co sprawiało, że i jemu było niezręcznie. – Tak – odparł po chwili. – Jeżeli zaprowadzisz mnie do łóżka.

Na twarzy kobiety pojawił się przelotny grymas, którego nie zrozumiał. Czyżby wyrażał żal? Wreszcie wzruszyła nieznacznie ramionami, podeszła do zasłony,

odchyliła ją trochę, po czym obejrzała się na Atrusa, wskazując mu swego rodzaju przegrodę stajni.

Podszedł bliżej, zjrzał do środka i zaśmiał się radośnie. Oto, między cienkimi drewnianymi ścianami jego pomieszczenia sypialnego, leżał prosty siennik.

- Jak w domu – powiedział cicho.

- Słucham, Panie? – Stara kobieta przyglądała mu się z zaciekawieniem.

Spojrzał na nią i zauważył, że jej oczy zwilgotniały.

- Kiedy w dzieciństwie mieszkałem z moją babcią, miałem materac podobny do tego.

- Jest niedobry? – spytała takim tonem, jakby Atrus mówił w obcym języku.

- Nie, nie... jest cudowny. – Spojrzał na kobietę, przepełniony uczuciem dziwnej wdzięczności. Potem, pod wpływem impulsu, przypominając sobie przyjemność, jaką babka czerpała zawsze z karmienia go, dodał: - Czy mogę zmienić zdanie? Mam na myśli jedzenie.

- Oczywiście! – wykrzyknęła stara kobieta, a jej twarz po raz pierwszy rozjaśnił uśmiech. – Przyniosę ci zupy i chleba, dobrze?

- To brzmi cudownie! – Atrus uśmiechnął się szeroko.

- W takim razie, proszę poczekać, Panie. Zaraz przyniosę.

Atrus odprowadził ją wzrokiem, a potem rozejrzał się wokół, wdychając przyjemny aromat ziół.

Uklęknął, złożył plecak i notes w kącie sypialni, po czym zdjął płaszcz i schował do plecaka. Kiedy wstał z klęczek, stara kobieta wróciła z drewnianą tacą. Stała na niej gliniana miska zupy, drewniana łyżka i pół małego bochenka brązowego chleba. Atrus przyjął ten posiłek z wdzięcznością i usiadł, kładąc tacę na kolanach. Uśmiechając się do kobiety, odłamał kawałek chleba i zamoczył w zupie.

Przez chwilę jadł w milczeniu, ciesząc się tym prostym posiłkiem. Kiedy skończył, podniósł wzrok na starą kobietę.

- Czy jedzenie było dobre? – spytała, a na jej pobrużdżonej twarzy pojawił się wyraz głębokiej troski.

- Cudowne! – Atrus uśmiechnął się szeroko. – Nigdy nie jadłem niczego równie pysznego!

Prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, co właściwie zjadł, ale nie skłamał. To była najlepsza zupa, jaką kiedykolwiek jadł, nie pomijając zup Anny.

Jego słowa rozświetliły twarz starej kobiety promieniem wiosennego słońca.

- Chcesz dokładkę?

- A mogę?

Było tak, jak gdyby tymi krótkimi słówkami wręczył kobiecie wszystkie skarby D'ni. Uśmiechnęła się promiennie, wyszła pospiesznie, by po chwili wrócić z drugą miską i drugą połówką bochenka.

- Proszę – powiedziała, stając nad nim i uśmiechając się szeroko, kiedy jadł. – Ty rośniesz, chłopcze! Musisz dużo jeść, co?

Atrus obudził się przed świtem i przez chwilę zastanawiał się, gdzie jest. Aromat ziół w tym małym, ciasnym pomieszczeniu był dziwnie niepokojący.

Usiadł, wsłuchując się w ciszę, potem wstał i pospiesznie, choć cicho wyszedł z chaty.

Obydwa księżycy zaszły i ziemia pogrążyła się w mroku; w porównaniu z nią niebo było niemal jasne, jak pustynne niebo nocą. Jednak patrząc w górę, Atrus wiedział, że nie znajduje się na ziemi. Gdzie był teraz Gwiazdozbiór Myśliwego? A Wielki Wóz? Czy znajdowały się gdzieś dalej, na tym bezkresnym, rozgwieżdżonym niebie, czy może zupełnie gdzie indziej?

To myśl nawiedzała go coraz częściej w ciągu ostatnich miesięcy. Niebezpieczna, niewypowiedziana myśl.

Im więcej dowiaduję się o pisaniu, tym bardziej kwestionuję pogląd ojca, że tworzymy światy, po których podóżujemy.

A jeśli nie tworzyli te światy, ile nawiązywali kontakt z już istniejącymi możliwościami?

Początkowo zlekceważył tę myśl jako głupią. Oczywiście, że tworzyli te światy. Tak musiało być! Jakże inaczej mogłyby przybierać tak precyzyjne i przewidywane kształty? Poza tym, po prostu nie było możliwe, by istniał nieskończony zasób rozmaitych światów, które tylko czekały, aż ktoś do nich dotrze. Im dłużej jednak o tym rozmyślał, tym bardziej kwestionował proste wytłumaczenie ojca.

Schodził po zboczu, aż dotarł do skały zwieszającej się nad jeziorem. Tam przykucnął, spoglądając na ciemną misę jeziora.

Teraz, kiedy księżycy zaszły, prawie nie sposób było dostrzec granicy między jeziorem a lądem. Atrus miał wrażenie, że zagląda w głąb wulkanu w bezksiężycową noc. Nic nie widział, ale wszystko mógł sobie wyobrazić. Taki właśnie był charakter

ciemności: nie chciała pozostać zwykłym brakiem. W przeciwieństwie do śniegu, który widział w jednym w wieków Gehna, ciemność przybierała rozmaite formy – tysiące form – ponieważ była zarówno płynna, jak i potężna.

Za plecami Atrusa, za górskim grzbietem, rodził się dzień. Powoli, bardzo powoli, światło wlewało się krwiście do misy jeziora, rzucając ostre cienie na przeciwległe wzgórze. Atrus patrzył zafascynowany, potem odwrócił się i zmrużył oczy. Spoza wzgórza wyłonił się jasny łuk.

Odwróciwszy się, zauważył coś w dole, na brzegu jeziora.

Początkowo sądził, że było to jakieś morskie stworzenie – może foka – ale kiedy się wyprostowało, zobaczył je wyraźnie.

Dziewczyna. To była dziewczyna.

Nagle spostrzegł, jak się schyla i wykonuje serię gwałtownych ruchów. Atrus zmarszczył czoło. Co, na Keratha, robiła ta dziewczyna? Nagle zrozumiał. Prała! Ona prała! Mały kopczyk obok niej to był kosz pełen brudnych ubrań!

Zaśmiał się, a w tej samej chwili ujrzał, jak dziewczyna drętwieje i ogląda się za siebie jak wystraszone zwierzę.

Chwyła kosz i popędziła pod górę. Jej drobna postać zarysowała się przelotnie na tle słońca, po czym zniknęła za wzgórzem. Atrus patrzył za nią, zaskoczony reakcją dziewczyny, potem wstał z klęczek. Słońce weszło do połowy. W jego świetle widział kryty gontem dach chaty, której długi ciemny cień tonął w mroku zbocza.

Atrus odwrócił się powoli, rozkładając ramiona i wdychając świeże powietrze. Postanowił, że wcześniej rozpocznie dzień. Pospiesznie ruszył w dół zbocza, zmierzając w stronę chaty.

12

Młody Panie?

Atrus odwrócił się na bok, zastanawiając się, gdzie się znajduje. Ziola. Zapach ziół. A, prawda. Chata starej kobiety. Znajdował się w trzydziestym siódmym wieku Gehna i był poranek.

Usiadł przecierając oczy, a potem spojrzął na starą kobietę, która stała pochylona w wejściu do sypialni.

- Wybacz, młody Panie – wydyszała – ale Wszechmocny Gehn chce Pana natychmiast widzieć.

Atrus skinął głową, wstał i przeciągnął się. Któraż to mogła być godzina? Jak długo spał? Miał wrażenie, że podczas pobytu w tym miejscu spał dłużej i głębszym snem. Może miał to związek z powietrzem.

Ziewnął, a potem, pamiętając o tym, że ojciec nie lubił, gdy ktoś kazał mu czekać, wyszedł z chaty.

Założył okulary i spojrzął w dół.

Brązowe zbocze było porośnięte futrem jak grzbiet zwierzęcia. Fałdy ziemi otaczającej jezioro mieniły się tyłoma odcieniami brązu i zieleni, że Atrus wstrzymał oddech. A faktura! Powoli wspiął się na grzbiet zbocza. Lewy stok najbliższego wzgórza porastały wysokie, ciemne drzewa, których korony wybuchały czarnymi liśćmi; za granicą drzew rozpościerał się jasnozielony trawnik. Atrus zaśmiał się.

- Dlaczego się śmiejesz, Panie?

Atrus odwrócił się, a na widok akolity uśmiech zniknął z jego twarzy. Nie zauważył go, kiedy wyszedł z chaty.

- Śmiałem się z powodu tamtego wzgórza. Przypomina mi... na wpół ogoloną głowę. Sposób, w jaki te drzewa kończą się prostą linią...

kapłan podszedł, spojrzął w dół i skinął głową, ale na jego twarzy nie pojawił się nawet cień rozbawienia. Obejrzał się na Atrusa, skłonił głowę i powiedział:

- Twój ojciec czeka na ciebie, Panie.

Atrus westchnął skrycie. Mijał czwarty dzień jego pobytu na wyspie, a akolita wciąż zachowywał dystans.

Wolnym krokiem ruszył w dół zbocza, milczący i zamyślony, omiatając wzrokiem falujące wzgórza wokół jeziora. Kiedy wieś pojawiła się w polu widzenia, przyglądał jej się przez chwilę, a potem znowu spojrzął na akolitę.

- Jak ci na imię?

- Na imię? – Mężczyzna zdawał się dziwnie onieśmielony tym pytaniem.

- Tak, na imię. Jak ci na imię?

- Nazywam się... Jeden.

- Jeden? – zaśmiał się cicho Atrus. – Chcesz powiedzieć, numer jeden.

Mężczyzna przytaknął, unikając wzroku Atrusa.

- Czy zawsze tak się nazywałeś?

Po chwili wahania akolita potrząsnął głową.

- Kiedy się urodziłem, dostałem imię Koena.

- Koena – powtórzył Atrus ruszając w dalszą drogę. Chłonał przyjemne kształty krytych gontem dachów, zadaszonych chodników, rozkoszny kontrast przejrzystego błękitu jeziora z zielenią i czerwienią wzgórz. – Ale mój ojciec nadał ci imię Jeden?

Koena skinął głową/

W kącikach ust Atrusa pojawił się nikły uśmiech. Naturalnie. Powinien był się domyślić. Obejrzał się i przez chwilę przyglądał się mężczyźnie, którego pociągła, dość surowa twarz budziła raczej sympatię. Bezlitosne światło dnia zdradzało szorstkość płaszcza i niezgrabność zdobiących go symboli.

- Czy od dawna jesteś pomocnikiem mego ojca?

- Od tysiąca dni.

Oznaczało to, że ten wiek istotnie był młody. Gehn stworzył go nie dawniej niż przed trzema laty. Ale co działo się wcześniej? Czy ten wiek istniał w jakiegokolwiek formie? Czy ci ludzie mieli wspomnienia z okresu poprzedzającego przybycie Wszechmogącego Gehna? A jeśli tak, to czy były to prawdziwe wspomnienia, czy również one zostały napisane?

Ze swoich studiów wiedział, że takich rzeczy nie sposób było napisać, to znaczy, nie można uczynić tego bezpośrednio. Kiedy jednak stwarzałeś wiek, wraz ze wszystkimi jego zawłościami, rzucał on cień przyczyny i skutku. Dzięki temu wiek, choć nowo powstały, posiadał swego rodzaju historię. Oczywiście nieprawdziwą

historię, bo jakżeż mógł ją mieć? Jednak mieszkańcom wieku wydawało się, że ją posiada. Przeszłość wydawała im się równie rzeczywista, jak jemu czy Gehnowi.

Tak przynajmniej twierdził Gehn. Atrus nie był już wcale taki pewien.

Dziwny krzyk, który rozległ się w pobliżu, sprawił, że Atrus drgnął, a potem zaczął się rozglądać za jego źródłem. W powietrzu rozległ się łopot, a po chwili u stóp chłopca przemknął cień. Atrus podniósł wzrok w samą porę, by ujrzeć dziwne, pulchne stworzenie, które śmignęło obok niego, jak gdyby płynęło w powietrzu.

Koena wpatrywał się w niego zdumiony.

- Panie? – spytał. – Czy nic ci nie jest?

- To! – wykrztusił Atrus, wskazując palcem. – To... zwierzę... co to jest?

- To? To jest ptak, Panie.

Atrus patrzył z otwartymi ustami, jak „ptak” okrąży jezioro, trzepocząc długimi kończynami. Nagle zanurkował w dół.

- Zdumiewające! – powiedział Atrus. – Nigdy czegoś podobnego nie widziałem!

Koena wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

Atrus potrząsnął głową. W innych wiekach widywał ptaki, ale nigdy podobne do tego. Ten przypominał raczej małego gryzonia i zdawał się za ciężki, by latać. Poza tym miał porośnięte futrem skrzydła.

Co on napisał? – zastanawiał się. Po co Gehn miałby tworzyć takie zwierzę? Czy rzeczywiście to zrobił? A jeśli nie uczynił tego rozmyślnie? Jeżeli stało się to przez przypadek?

Atrus odwrócił się i spojrzał na Koenę.

- Chodź – powiedział, zaintrygowany myślą, że ojciec mógłby celowo stworzyć takie zwierzę. – Zejdźmy na dół. Mój ojciec będzie zły, jeśli każemy mu czekać.

Gehn, który kończy śniadanie, siedział przy stole nakrytym grubym czerwonym obrusem obszytym złotymi frędzlami. Jadł ze złotej miski, obok której stał złoty kielich. Za Gehnem, na podwyższeniu, stał jedwabny proporzec, na którego białym tle wyszyto symbol D'ni oznaczający książkę. Atrus wszedł do namiotu, rozglądając się wokół siebie. Jego uwagę zwróciła obfitość luksusowych przedmiotów. W głębi namiotu stało masywne drewniane łóżko, najwyraźniej miejscowej roboty. Obok łóżka stał parawan do przebierania się, pomalowany na złoto, niebiesko i karminowo.

- Wzywaleś mnie, ojcze?

- O, Atrusie... - Gehn otarł usta jedwabną chustką i odrzucił ją na bok. – Pomyślałem, że powinniśmy kontynuować nasze lekcje.

Wziął syna za rękę i zaprowadził do stojącego w kącie niskiego stołu, na którym leżała rozpostarta mapa wyspy w dużej skali.

Atrus wyciągnął dłoń i dotknął lewego, dolnego rogu palcem wskazującym.

- Gdzie jest to miejsce?

- Zniknęło – odparł Gehn z dziwnym wyrazem twarzy.

- A to? – spytał Atrus, wskazując na inną, mniejszą wysepkę tuż za przesmykiem morskim.

- Zniknęło.

- W jaki sposób? – spytał chłopiec marszcząc czoło.

Gehn wzruszył ramionami.

- Ja... - Atrus potrząsnął głową. – Czy chcesz, żebym tego właśnie szukał? Rzeczy, które znikają?

- Nie, Atrusie. Chcę po prostu, żebyś obserwował.

Atrus przyglądał się ojcu przez chwilę, po czym spojrzał na mapę. Wydawało mu się, że wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów, wygląda dokładnie tak, jak zapamiętał z pierwszych przechadzek po wyspie.

Gehn podszedł do biurka, otworzył skórzaną skrzynkę, którą wziął ze sobą z D'ni, wyjął z niej cienki notes i wręczył Atrusowi.

- Masz.

Atrus otworzył notes, rzucił wzrokiem na kilka linijek i ponownie spojrzał na ojca.

- Co to jest?

- Masz tutaj kilka losowo wybranych zwrotów z książki o trzydziestym siódmym wieku. Chcę, Atrusie, żebyś ustalił, do których aspektów tego wieku się odnoszą oraz dlaczego powodują takie właśnie efekty.

- Chcesz, żebym analizował te zwroty?

- Nie, Atrusie. Chcę, żebyś pojął związek, jaki zachodzi między słowami napisanymi na stronie a złożonym bytem – fizycznym, żywym wiekiem – który z nich wynika. Widzisz, chociaż nasza sztuka jest precyzyjna, jej rezultaty są często zaskakujące z uwagi na złożoność sieci zależności, jakie zachodzą między rzeczami. Znaczenie pojedynczego zwrotu może zostać zmienione przez dodanie innych

zwrotów, często w takim stopniu, że początkowy opis nie ma żadnego związku z efektem końcowym. Dlatego właśnie D'ni mieli taki bezkompromisowy stosunek do sprzeczności. Sprzeczności potrafią zniszczyć wiek. Zbyt często powodują, że rozpada się pod wpływem prób pogodzenia sprzecznych ze sobą instrukcji.

Atrus skinął głową.

- Jednak jeśli to, co mówisz, jest prawdą, skąd mam wiedzieć, czy to, co obserwuję, odnosi się bezpośrednio do zwrotów w tej książce? A jeśli inne zwroty zniekształciły rezultat końcowy?

- Sam musisz to odkryć.

- Ale jeśli mam tylko te kilka zwrotów...

Gehn spojrzał na syna, po czym uniósł brew, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że ten problem powinien rozwiązać sam.

- Chcesz powiedzieć, że mam zgadywać?

- Nie zgadywać, Atrusie. Spekulować. Chcę, żebyś rozwikłał zagadkę tego świata. Spróbuj zrozumieć, z perspektywy słów, dlaczego powstały takie, a nie inne rzeczy. Z czasem zrozumiesz, że jest to równie ważne, jak uczenie się słów i zwrotów D'ni, które próbują opisywać te rzeczy. Znaczna część moich eksperymentów w ciągu ostatnich lat przebiegała w tym właśnie kierunku. Nauczyłem się niemało dzięki swoim obserwacjom, a ty, Atrusie także nauczysz się wiele.

- Tak, ojcze.

- Wobec tego idź. Jeśli chcesz, możesz wziąć tę mapę. Nie jest mi już potrzebna.

Atrus siedział na długiej łacie nad jeziorem, ze złożoną mapą na kolanach i otwartym notesem ojca leżącym obok na trawie. Ponieważ skrywała go wysoka do ud trawa, mógł go zobaczyć tylko ktoś pracujący na zboczach po przeciwnej stronie jeziora, teraz jednak było południe i wszyscy wieśniacy siedzieli w chatkach i jedli.

Zaczął od najprostszego z dwudziestu zwrotów, które ojciec dla niego przepisał, tego, który dotyczył składu tutejszej gleby. Z własnych studiów Atrus wiedział, jak wielkie znaczenie dla powstającego wieku miały skały i gleba, a zwłaszcza ta ostatnia. Dobra, żyzna gleba, pełna składników odżywczych i minerałów, umożliwiała bogate plony, które z kolei pozwalały mieszkańcom tego wieku spędzać mniej czasu na mozolnej uprawie ziemi. Miało to szczególne

znaczenie, ponieważ lud, który nie musiał poświęcać wszystkich godzin dnia na troszczenie się o pożywienie, mógł w szybkim tempie wykształcić kulturę. Atrus rozumiał bowiem, że kultura stanowi produkt nadmiaru.

Wspominał dni spędzone w rozpadlinie. Teraz rozumiał, że gdyby Anna urodziła się i wychowała w rozpadlinie, nie przeżyliby. Gdyby znała się tylko na uprawie ziemi, nigdy nie wystarczyłoby im pożywienia, ponieważ nigdy nie mieli dosyć nasion, wody, czegokolwiek. Mieli natomiast talent Anny jako malarki i rzeźbiarki. Ironia polegała na tym, że właśnie jej talent utrzymywał ich przy życiu. Dzięki niemu uzyskiwali niezbędną sól, nasiona, mąkę i opał oraz wszystkie te drobne przedmioty zbytku, dzięki którym ich życie było możliwe do zniesienia. Bez nich by umarli.

A jednak rozwinął się w tym suchym, nieprzyjaznym miejscu w sposób przekraczający wszelkie oczekiwania. Żyzna gleba umysłu Anna karmiła go, doprowadzając do stanu dojrzałości.

Dopiero teraz to zrozumiał. Po latach obwiniania babki po raz kolejny ujrzał to z całą wyrazistością.

Gleba. Wszystko sprowadzało się do gleby. Wzrost nie zaczynał się w blasku słońca, ale w ciemności, w maleńkich szczelinach, głęboko w ziemi.

Atrus uśmiechnął się, a potem zerknął na bok, ponownie odczytując zwrot D'ni. Teoretycznie tutejsza gleba powinna być żyzna, ale sam zaobserwował, że wpłynęły na nią inne czynniki. Wykazywała niezdrowy odczyn kwasowy.

Atrus zmarszczył brwi, żałując, że ojciec nie dał mu do czytania całej książki, a tylko losowo wybrane zwroty. Wiedział jednak, jak pilnie Gehn strzegł swego księgozbioru.

Gdy miał się położyć na plecach i przemyśleć cały problem, gdzieś za nim rozległ się cichy krzyk. Atrus odłożył mapę, wstał i rozejrzał się po łące.

Nic. W każdym razie niczego nie widział. Zrobił kilka kroków i zmarszczył brwi. Chyba mu się to nie wydawało?

Znowu, tym razem wyraźne wołanie o pomoc.

Pobiegł w kierunku głosu, ale nagle stanął. Tuż przed nim gęsta trawa kończyła się wąską szczeliną – szeroką na sześć, a długą na dwanaście stóp – której nie było, kiedy patrzył tam po raz ostatni.

Z najwyższą ostrożnością podszedł do krawędzi i spojrzął w ciemność. To była dziewczyna, ta sama, którą widział pierwszego ranka. Wpadła do szczeliny i ugrzęzła po kolana w ciemnej ziemi na dnie, jakieś osiem czy dziesięć stóp w dole.

- Wszystko w porządku – powiedział Atrus. – Nie martw się. Zaraz cię wyciągnę.

Odwrócił się, rozglądając się wokół siebie. Potrzebował sznura, gałęzi, czegokolwiek, co mógłby jej rzucić i wyciągnąć ją ze szczeliny. Kiedy tak stał i myślał, usłyszał odgłos osuwającej się ziemi. Obejrzał się i zobaczył, że osypała się na dziewczynę, pogarszając jej położenie.

Do skraju najbliższego zagajnika było pięćdziesiąt jardów. Zanim zdążyłby tam dobiec, ułamać gałąź i wrócić, dziewczyna mogłaby już być zasypana.

Istniał tylko jeden sposób.

Usiadł na skraju przepaści, sprawdził, czy go udźwignie, odwrócił się i zaczął się opuszczać w dół, szukając wzrokiem miejsc, w których mógłby oprzeć stopy.

- Wyciągnij rękę! – krzyknął. – Sięgnij w górę i złap się mojej stopy.

Poczuł, jak muska czubek jego buta. Za wysoko, wciąż był za wysoko. Ziemia, której się trzymał, wcale nie była bezpieczna, ale nie mógł zostawić dziewczyny w takim położeniu. Zsunął się w dół jeszcze o ułamek i poczuł, że chwyta go za kostkę.

- Dobrze! Teraz złap mnie drugą ręką.

Po dwóch sekundach druga dłoń chwyciła go za kostkę.

- Teraz trzymaj się mocno. Nie szamocz się. Jeśli zaczniesz się szamotać, oboje polecimy w dół!

Powoli, bardzo powoli, pociągnął się na rękach, potem odwrócił się, złapał dziewczynę za przeguby i wyciągnął ze szczeliny.

Drżąca, usiadła obok niego na trawie, próbując złapać oddech. Przestraszonym wzrokiem patrzyła na czarną jamę w ziemi, która o mały włos jej nie wciągnęła.

- Dobrze się czujesz? – spytał.

Zaczęła potakiwać, ale po chwili potrząsnęła głową.

Atrus przyglądał jej się przez pewien czas, potem wstał, poszedł na miejsce, gdzie zostawił mapę i notes, podniósł płaszcz, wrócił do dziewczyny i otulił ją.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, po czym znowu przeniosła wzrok na szczelinę.

- Co to jest? – spytała szeptem.

- Nie wiem – odparł, zmartwiony, przypominając sobie brakujące wyspy na mapie. Ale może mój ojciec wie, dodał w myślach.

Gehn nachylił się nad biurkiem, przyciągnął do siebie skrzynkę i otworzył ją kluczykiem, który nosił zawieszony na łańcuszku na szyi.

- Wrócę za kilka godzin – oznajmił, zerkając na Atrusa, który stał po drugiej stronie biurka z dziewczyną u boku. – Ona zostanie tu z akolitą aż do mojego powrotu. A ty masz nic nie mówić. Rozumiesz, Atrusie? Nie chcę, żeby wyspiarze wpadli przez to zdarzenie w panikę. Istnieje proste wytłumaczenie, a ja je znajdę.

Atrus pochylił głowę.

- Dobrze. – Gehn skinął stanowczo głową i zaczął pakować wszystkie książki i papiery.

- Ojczy?

- Tak, Atrusie?

- Dziś po południu planowałem wybrać się na łowiska. Umówiłem się już z jednym z rybaków. Czy mam to odwołać?

Po chwili wahania Gehn odpowiedział:

- Nie. Najlepiej jeśli będziesz się zachowywał tak, jakby nic się nie stało. Postaraj się jednak zbyt długo nie zabawić. Będziesz mi potrzebny, kiedy wrócę.

- Oczywiście, ojczy.

- Dobrze, a teraz pójdz po akolitę. – Spojrzał na dziewczynę. – A ty... usiądź tam w kącie. I zdejmij ten płaszcz. Tylko ci, w których żyłach płynie krew D'ni, mają prawo nosić taki płaszcz!

Po odjeździe ojca Atrus udał się prosto do portu. Kuter, na którym miał popłynąć, należał do starego rybaka o imieniu Tarkuk, pomarszczonego człowieczka o dziwnie długich palcach. Jego syn Birili, niski i muskularny młodzieniec, był bardzo małomówny. Kiedy Atrus wchodził na pokład, Birili obrzucił go spojrzeniem; potem ledwo zwracał na niego uwagę.

Wyłynęli kanałem na otwarte morze.

Poza zasięgiem ochronnej misy wzgórz bryza wiała po powierzchni wody, sprawiając, że kuter wznosił się i opadał na falach. Tarkuk stał na rufie, z długą,

zbrązowiałą od słońca dłonią na sterze, z małą glinianą fajeczką w drobnych żółtych zębach, a Birili postawił maszt i rozwinął żagiel.

Atrus patrzył zafascynowany, jak kwadrat materiału łapie wiatr i wydyma się, szarpiąc na szot, który Birili trzymał w dłoni. Kuter zrobił zwrot i powoli nabierał szybkości, łagodnie wznosząc się i opadając, w miarę jak opływali cypel wyspy.

Wychylił się za burtę i spojrzał w czystą, niemal przezroczystą wodę. W tak niewielkiej odległości od wyspy płaskie dno morskie wciąż było widoczne. Płatanina wodorostów nadawała mu wygląda ziemi porośniętej zaroślami.

Gdzieś tutaj znajdowała się dawniej druga wysepka – nic wielkiego, ale na tyle znacząca, by znaleźć się na oryginalnej mapie Gehna. Teraz nie zostało po niej ani śladu.

Co więc to oznaczało? Co takiego działo się w trzydziestym siódmym wieku?

Wciągnął nosem słone powietrze. Słyszał, że również jezioro było słone. Wieśniacy czerpali wodę ze źródeł wśród okolicznych wzgórz oraz z jedynej studni, która znajdowała się za namiotem Gehna.

W każdym razie robili to pod nieobecność Gehna.

Wyspa, która wciąż dominowała na horyzoncie, powoli zostawała w tyle. Atrus odwrócił się i spojrzał poza Birilego i wydęty maszt. Przed nimi rozciągał się bezkres morza, ale horyzont spowijała mgła.

- Co to jest? – spytał wskazując w tamtym kierunku.

- Co takiego? – odpowiedział pytaniem Tarkuk, po czym wychylił się, próbując wyrzec poza żagiel, jak gdyby coś unosiło się na samej wodzie.

- Ta mgła...

Starzec patrzył przez chwilę w dal, potem odwrócił głowę i splunął za burtę.

- To mgła. Tam kończy się morze.

- Ale przecież coś tam musi być, za tą mgłą – powiedział Atrus marszcząc brwi.

Tarkuk tylko odwrócił wzrok.

Atrus znowu zapatrzył się na horyzont. Teraz, kiedy się zbliżyli, widział, że mgła przypominała litą barierę, która okalała wyspę niczym okrągły mur.

Dziwne – pomyślał. – Wygląda na to, jakby morze faktycznie się tam kończyło.

Kiedy opłynęli cypel wyspy, ujrzeli inne kutry, zakotwiczone w odległości około mili od lądu. W sumie było ich siedem. Tworzyły wielką elipsę, kołysząc się łagodnie w ciepłym, przyjemnym powiewie.

Przyłączyli się do pozostałych, opuścili żagiel i zarzucili kotwicę w miejscu, które najwyraźniej należało do Tarkuka.

Każdy na swoim miejscu, pomyślał Atrus, zdumiewając się uległością i karnością tych ludzi.

Starzec odwrócił się, trzymając w dłoniach sieć.

- Czy masz ochotę na łowienie ryb, Panie? – spytał.

- Nie, dzięki, ja tylko popatrzę.

Tarkuk skinął głową do syna, odwrócił się i zgrabnym ruchem zarzucił sieć na powierzchnię morza, zatrzymując w dłoni pokrytą węzłami linę. Sieć podryfowała powoli w prawo, tworząc na wodzie wielką ósemkę. Kiedy lina się naprężyła, zaczął ją ciągnąć ku sobie. W tym momencie Birili zarzucił swoją sieć za drugą burtę, a jego chód i ruchy tak bardzo przypominały ojca, że Atrus zaśmiał się cicho.

Starzec przyciągnął sieć do burty. Nachylił się i zaczął wyciągać ją z wody na pokład.

Atrus pochylił się do przodu otwierając szeroko oczy. Brązowa sieć migotała lśniącem, wijącym się srebrem. Miotaly się w niej setki maleńkich srebrzystych rybek, nie większych od jego dłoni. Kiedy Tarkuk wyciągnął ostatni zwój na pokład, Birili z drugiej strony łodzi zaczął wyciągać swoją sieć.

Jakież to proste – pomyślał Atrus, patrząc, jak Tarkuk przysuwa do dziobu jeden z dużych prostokątnych koszy, klęka i zaczyna wrzucać do niego ryby.

Uważając, by nie przeszkodzić mu w pracy, Atrus podszedł do kosza, uklęknął i zajrzał do środka. Miał wrażenie, że zagląda do skrzyni pełnej srebra, tylko że to srebro żyło.

Wsunął rękę do kosza i zacisnął dłoń na jednym z wijących się kształtów, ale ryba mu się wyślizgnęła.

Przytknął palce do nosa, powąchał i zmarszczył brwi, ponieważ zapach był mu zupełnie nie znany. Potarł kciukiem o palce. Nie przypuszczał, że ryby okażą się takie śliskie.

Tarkuk przerwał pracę i przyglądał mu się z głębokim zaciekawieniem. Atrus napotkał jego wzrok i uśmiechnął się, ale do starca nie można było tak łatwo dotrzeć. Uniósł nieznacznie kącik ust, po czym opuścił wzrok i wrócił do pracy.

- Wygląda na to, że w tym kutrze jest dosyć ryb, żeby nakarmić całą wioskę! – powiedział Atrus.

- Tak myślisz? – Starzec wzruszył ramionami. – Po odcięciu głowy i odjęciu skóry z ośmi nie zostaje wiele mięsa. Potrzeba kilku tuzinów ryb, żeby przygotować przyzwoity posiłek. Używamy ich także do innych rzeczy. Korzystamy z ich tłuszczu, z którego wyrabiamy olej do lamp.

- A co z ubraniami? – spytał Atrus.

- Szyjemy je z płótna.

- Z płótna?

- Na wyspie rośnie pewna roślina. Zbieramy ją, suszymy, a następnie tkamy z niej materiał.

Atrus widział tę roślinę na wyspie, ale jej nie znał. Teraz kolejny fragment układanki trafił na swoje miejsce. Ryby, z których oleistego tłuszczu wytwarzano paliwo. Roślina, z której można było tkać płótno. Gdyby zamieścić te rzeczy w książce, ludzie mogliby egzystować w miejscu takim jak to.

Poczuł podziw dla Gehna. Świat, który stworzył, był z pewnością prosty, ale także zmyślny, bardzo zmyślny.

- Czy możemy popłynąć dalej?

- Dalej? – spytał ze zdumieniem starzec.

- Tak... tam, do mgły.

Tarkuk spojrział na niego surowo.

- Dlaczego?

- Ponieważ chciałbym ją zobaczyć – odparł Atrus, po raz pierwszy lekko poirytowany odpowiedzią starca.

Zauważył, że Birili przestawał wciągać sieć, odwrócił się i przyglądał mu się z napięciem.

- Prądy są tam zbyt porywiste – oświadczył Tarkuk takim tonem, jak gdyby ten argument kładł kres dyskusji.

- Nonsens – odparł Atrus, który pojął nagle, na czym polegał problem. Wieśniacy bali się mgły. Odczuwali wobec niej przesądny lęk.

Patrzył, jak Tarkuk i jego syn szybko kończą wciągać sieci. Kiedy kosze zostały zamknięte, a sieci zrolowane na dziobie, Birili z kamienną twarzą wyciągnął kotwicę i ponownie wciągnął żagiel na maszt, aż wypełnił się wiatrem.

Kiedy przepływali między innymi kutrami, Atrus zauważył zaskoczony wyraz twarzy pozostałych rybaków.

Ignorując świdrujący wzrok Tarkuka, podszedł do burty i zanurzył dłoń w wodzie, zwracając uwagę na to, jak bardzo była ciepła. Bryza ustała, ale może wciąż było wzburzone. Fale wydawały się tym większe, im bardziej oddalali się od wyspy.

Ściana mgły zbliżała się coraz bardziej.

Ponownie zanurzył dłoń, ale szybko cofnął ją, zaskoczony.

Woda była lodowata!

Atrus spojrział w ciemną toń. Nie widział dna, o ile w ogóle się tam znajdowało. Nagle przeszył go strach, że wypłynęli poza pewnego rodzaju szelf i teraz mieli pod sobą co najmniej milę wody.

To śmieszne – pomyślał, po czym odwrócił się do Birilego, który stał z luźnym szotem w dłoni.

Atrus spojrział na żagiel i zmarszczył brwi. Wiatr ustał zupełnie. Teoretycznie powinni zwalniać, ale kuter płynął szybciej niż kiedykolwiek.

Prądy – pomyślał i nagle pojął, co się działo. Obejrzał się na starego rybaka. Tarkuk wraz z synem klęczeli z zamkniętymi oczami na dnie kutra, najwyraźniej pogrążeni w modlitwie. Kuter płynął teraz sam, we władzy siły, która ciągnęła go z zawrotną szybkością.

Ściana mgły zbliżała się powoli, wypełniając niebo przed nimi. Zrobiło się zimno, a woda zdawała się bulgotać i wrzeć. Znaleźli się przy wielkiej ścianie bieli, pędząc po wodzie równoległe do niej.

Atrus złapał starca za ramię.

- Posłuchaj mnie, Tarkuku! Musimy coś zrobić!

Tarkuk spojrział na Atrusa, jakby go nie poznawał.

- Zrobić coś?

- Tak! – krzyknął Atrus. Rozejrzał się wokół siebie i spostrzegł wiosła leżące na dnie łodzi. – Pospiesz się! Jeśli wspólnie zaczniemy wiosłować, może się wyrwiemy!

Tarkuk powoli pokręcił głową, ale Atrus nie pozwolił mu ponownie osunąć się w otchłań lęku. Złapał go za ramiona i potrząsnął z całej siły.

- Dalej! Rozkazuję ci! Wiosłuj!

Tarkuk oprzytomiał, napotkał wzrok Atrusa i skłonił głowę.

- Wedle rozkazu.

Tarkuk wstał niepewnie i głośnym, szczekliwym głosem wydał rozkazy synowi. Początkowo Birili się opierał, jak gdyby już pogodził się z faktem, że utonie. Po chwili jednak wstał, wziął wiosło i zajął miejsce.

- Pozwól – powiedział Atrus siadając obok niego. – Pomogę ci.

W przeszłości często popychał łódź ojca wiosłem rufowym, potrafił więc wiosłować. Wiedział też, że jeśli wszyscy nie wezmą się do pracy, nie zapanują nad łodzią.

- Dalej! – krzyknął, by dodać rybakom otuchy. – Wiosłujcie, jeśli wam życie miłe!

Napierali na wiosła, walcząc z prądem, próbując skierować kuter z powrotem do wyspy. Przez chwilę zdawało się, że prąd jest zbyt silny, a wszystkie ich wysiłki spełzną na niczym, ale nagle zaczęli się oddalać od mgły.

Z napiętymi mięśniami pchali kuter cał za całem po ciemnej powierzchni wody, a potężna ściana bieli zostawała powoli w tyle. W końcu, zdyszani z wysiłku, rozluźnili się i obejrzelili się za siebie.

Atrus pokręcił głową, by rozprostować szyję, a potem spojrzał prosto w niebo. Bolały go wszystkie mięśnie, ale mimo to przepełniało go uczucie triumfu.

- Dobra robota! – powiedział rozglądając się wokół siebie ze śmiechem. Jednak Tarkuk i jego syn stali ze spuszczonego wzrokiem pogrążeni w dziwnym, niesamowitym milczeniu.

- Co się stało? – spytał po chwili i dotknął ramienia starego rybaka. Tarkuk szarpnął się jak oparzony.

Atrus zamrugnął, nic nie pojmując. Co się tu działo? Co takiego przeoczył? To prawda, popełnił błąd, ale przecież przeżyli. Przecież zmusił ich do tego, żeby przeżyli! Zmusił ich do wiosłowania, kiedy się poddali.

Potrząsnął starcem za ramię.

- Co się stało? Odpowiedz! Muszę wiedzieć!

Tarkuk rzucił mu przelotne spojrzenie i znowu spuścił wzrok.

- Oszukaliśmy Biel.

- Oszukaliśmy...? – Atrus zaśmiał się zaskoczony. – Co masz na myśli?

Jednak stary rybak nie chciał powiedzieć ani słowa więcej. Birili powoli wstał, poprawił żagiel i skierował kuter w stronę wyspy.

Żeglowali z powrotem w milczeniu.

Kiedy wyszli na ląd i wstąpili na schody, Atrus znów próbował rozmawiać z Tarkukiem, ale stary rybak zdawał się go nie poznawać.

Atrus potrząsnął głową, całkowicie zdezorientowany. Co tu się wydarzyło? Co takiego przeoczył?

Nie wiedział, ale postanowił, że się dowie. Dowie się jeszcze przed powrotem ojca.

Atrus szybko przeszedł przez most, świadom gromadzących się chmur, a potem wbiegł po zboczu do namiotu ojca.

Zdziwiony jego nagłym nadejściem Koena wstał pospiesznie i złożył mały pokłon, wciąż nie mają pewności, jak powinien się odnosić do syna Gehna.

- Czy wszystko jest w porządku, młody Panie?

Dziewczyna siedziała w pobliżu na ziemi, wpatrując się w Atrusa.

- Nie – odparł Atrus, minął Koena i usiadł na krześle ojca.

- Panie? – spytał Koena podchodząc bliżej. – Czy pojawiło się więcej szczelin w ziemi?

- Nie, ale jest coś, co masz mi wyjaśnić.

- Panie?

Po chwili wahania Atrus powiedział:

- Coś się wydarzyło.

- Wydarzyło?

- Tak, kiedy wypłynąłem kutrem na morze. Stary rybak mówił coś o oszukaniu Bieli.

- Byłeś tam? – spytał Koena i wstrzymał oddech.

- Gdzie? – Atrus wiedział, o czym mówił akolita, ale chciał to usłyszeć z jego ust.

- Przy Ścianie Mgły.

- Popłynęliśmy ciemnym prądem – potwierdził Atrus. – Potem wróciliśmy na wiosłach.

- Nie – wyszeptał Koena.

- Co się stało? – spytał Atrus. – Co takiego przeoczyłem? Czego nie rozumiem?

Koena zawahał się, wpatrując się błagalnie w Atrusa.

- Powiedz – nalegał Atrus. – Bo w przeciwnym razie poproszę ojca, żeby to z ciebie wyciągnął!

Akolita westchnął, po czym odpowiedział niechętnie.

- Ta Biel... była naszą Panią, zanim pojawił się twój ojciec.

Zamilkł, a w oddali dał się słyszeć grzmot.

Atrus także milczał przez chwilę, chłonąc tę nową informację, wreszcie spojrzał ponownie na Koenę.

- A mój ojciec nic o tym nie wie?

- Nic.

- A stary rybak i jego syn... Co się z nimi stanie?

Koena spuścił wzrok. Najwyraźniej nie chciał powiedzieć ani słowa więcej.

- Proszę, musisz mi powiedzieć. To bardzo ważne – naciskał Atrus.

- Oni umrą – odparł akolita wzruszając ramionami. – Jest to równie pewne jak to, że zginęliby, gdybyś ich tam zostawił.

Atrus potrząsnął głową. Teraz, kiedy zrozumiał, odczuwał tępy gniew z powodu tych zabobonnych bzdur. Właśnie ten gniew dodał mu odwagi i podyktował dalsze działanie.

- Posłuchaj – powiedział, naśladowując ton ojca. – Sprowadź wieśniaków. Każ im się zebrać przed chatą mojego ojca. Nadszedł czas, żebym z nimi porozmawiał.

Niebo szybko ciemniało, kiedy Atrus wszedł na schody domy modlitwy i zwrócił się do czekającego tłumu. Padał lekki deszcz. Zebrali się wszyscy, wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci z wyspy, z wyjątkiem Tarkuka i Birilego. Atrus przełknął nerwowo ślinę, wznosił ręce tak, jak to robił ojciec, i zaczął mówić, starając się, by jego głos – nie tak potężny czy głęboki jak ojca – zabrzmiał równie donośnie.

- Dziś po południu popłynęliśmy do Ściany Mgły. Pożeglowaliśmy ciemnym prądem i wróciliśmy.

Wśród tłumu rozległy się głośnie pomruki niezadowolenia. Ludzie patrzyli po sobie, mocno zakłopotani.

- Doszły mnie słuchy, że jakoby oszukaliśmy Biel i właśnie z tego powodu was tutaj wezwałem.

Przerwał i rozejrzał się wokół siebie, mając nadzieję na to, że to, co zamierzał powiedzieć, nie sprawi kłopotów ojcu.

- Rozumiem wasze lęki – ciągnął. – Stanowię jednak żywy dowód na to, że moc Bieli słabnie. Czyż bowiem nie pożeglowałem do Ściany Mgły i z powrotem? Czy Biel mnie zabrała? Nie i nigdy to nie nastąpi. Co więcej, po powrocie mojego ojca, Wszechmocnego Gehna, on i ja wyprawimy się poza Ścianę Mgły.

Tłum wydał zbiorowy okrzyk niedowierzania i zaskoczenia.

- To niemożliwe – powiedział Koena, przemawiając w imieniu wszystkich zebranych.

- Nie wierzysz mi? – spytał Atrus schodząc ze schodów i stając przed sługą ojca.

Koena zamilkł i spuścił głowę. W górze rozległ się cichy grzmot. Niebo zasnuły gęste chmury, pogrążając otoczoną wzgórzami nieckę w głębokim cieniu.

Atrus spojrział w złowrogie niebo i powiedział:

- Wszystko będzie dobrze.

Gruchnął głośny grzmot. Spośród chmur wystrzeliła błyskawica i uderzyła biało-niebieską strzałą w szczyt wzgórza za domem modlitwy. Atrus wpatrywał się zafascynowany w powidok błyskawicy, a kiedy rozejrzał się wokół siebie, spostrzegł, że wszyscy ludzie rzucili się na ziemię z przerażeniem.

- To nic takiego – powiedział, przekrzykując narastające pomruki niezadowolenia. – To zwykła burza z piorunami!

Wtedy strzeliła druga, oślepiająca błyskawica, a jedno z drzew po drugiej stronie jeziora zakwitło ogniem.

- Biel się gniewa! – krzyknął ktoś w tłumie. – Widzisz, jak cię szuka?!

Atrus odwrócił się gniewnie, wiedząc, że musi natychmiast stłumić rodzący się opór.

- Bzdura! – krzyknął. – To tylko burza!

Jednak nikt go nie słuchał. Wyspiarze rwali włosy z głów i zawodzili, jak gdyby miało na nich spaść coś potwornego.

Kiedy trzecie wyładowanie przeszło powietrze, Atrus ujrzał w świetle błyskawicy sylwetkę ojca, który schodził ścieżką między chatami w stronę mostu.

13

Atrus stał ze spuszczoną głową przed ojcem, a deszcz bębnił o płótno namiotu. Przerażeni wyspiarze rozbiegli się po chatkach, ale Gehn nie był w nastroju do uspokajania ich czy podnoszenia na duchu. Pochylił się na krześle i patrzył na syna srogim wzrokiem, ściskając mocno krawędź biurka.

- Mówisz, że pojawiły się kłopoty. Co je spowodowało?

- Chciałem zobaczyć Ścianę Mgły. Pożeglowałem do niej.

- I znalazłeś ciemny prąd?

Atrus podniósł wzrok, zdziwiony, że ojciec o tym wiedział. Skinął głową i zdał ojcu relację ze wszystkiego, co wydarzyło się pod jego nieobecność. Kiedy skończył, Gehn spojrzał na niego w zamyśleniu, puścił biurko i oparł się na krześle.

- To niefortunna sprawa, ale wydaje się, że eksperyment się nie powiódł. Ten świat nie jest stabilny.

- W jakim sensie?

- Ta wyspa leży na swego rodzaju potężnym skalnym postumencie. Dookoła rozciąga się ocean, głęboki i bardzo zimny.

Atrus zmarszczył brwi.

- Ale przecież woda jest tu ciepła, a jezioro słodkie.

- Słodka woda wydobywa się ze szczeliny, która znajduje się głęboko pod ziemią. Zachodzi tam proces geotermiczny, ten sam, który tworzy Ścianę Mgły. Gorąca woda miesza się tam z zimnymi prądami oceanicznymi. – Gehn pokiwał głową w zamyśleniu. – Jak możesz sobie wyobrazić, to jest wyspa, pod każdym możliwym względem. Tutejsza społeczność jest całkowicie odcięta od reszty świata, a mimo to jest w stanie przetrwać.

- Ale teraz sprawy przybrały zły obrót.

- Otóż to. Powoli, ale nieodwracalnie ten wiek chyli się ku upadkowi. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, a jednak tak jest. Robiłem wszystko, żeby znaleźć rozwiązanie, ale obawiam się, że jeśli nie przepiszemy tego wieku na nowo, rozkład będzie się pogłębiał.

- A szczeliny w ziemi, ojczy? Co je powoduje?

Gehn potrząsnął głową.

- Musi być jakaś wada w podziemnych formacjach skalnych. Być może to właśnie ona spowodowała zatonięcie dwóch wysepek.

- Czy możesz temu zaradzić?

- Z pewnością mógłbym to zrobić. Ostatecznie to tylko mała szczelina. Jeżeli się pogłębi, zajmę się tym. Teraz mamy na głowie inne problemy, jak na przykład tę tak zwaną Biel. Na początek zajmiemy się nią, a potem innymi sprawami.

Gehn uklęknął przy szczelinie na łące, mrużąc oczy w deszczu.

Spędził kilka godzin w D'ni, szukając odpowiednich słów w starodawnej księdze, ale z jakiegoś niepojętego powodu okazały się one bezskuteczne.

Gehn wstał, przeczesał palcami zmoczone deszczem włosy, a potem kopnął grudę ziemi, by wyładować frustrację. Czuł instynktownie, że ma do czynienia z jakimś prostym problemem. Szczelina musiała mieć związek z podziemnymi formacjami skalnymi, ale nie wiedział dokładnie, co to było. Najgorsze było to, że ilekroć sądził, że już jest u celu, zachodziło coś, co dowodziło, że się mylił.

Gdyby tylko zostało to gdzieś zapisane. Tak, ale mistrzowie cechowi byli na to zbyt sprytni. Tajemnice przekazywano drogą ustną z pokolenia na pokolenie. Nie istniała książka, która zawierałaby te formuły. Dlatego stale musiał szukać starych ksiąg, rozglądać się za wskazówkami, za tymi cudownymi, delikatnymi zwrotami, które w najbardziej odpowiedni sposób opisywały ten czy inny efekt. Nigdy jednak nie udało mu się znaleźć wytłumaczenia, dlaczego jeden zwrot działał, a inny nie.

Gehn sapnął z irytacją, potem odwrócił się i dopiero teraz spostrzegł akolitę, który stał dziesięć kroków od niego w przemoczonym płaszczu, z ciemnymi włosami przylepionymi do głowy.

- Czego chcesz, człowieku?

- Ja... Zastanawiałem się, czy chciałbyś coś zjeść, mistrzu.

Jeść? Gehn machnął niecierpliwie ręką. Jak ten człowiek mógł myśleć o jedzeniu w takiej chwili?

Gehn odwrócił się i spojrzał na przerwę między wzgórzami. Gdyby tylko zdołał usunąć Ścianę Mgły...

Nagle zaśmiał się cicho. Oczywiście! Przez cały czas miał rozwiązanie przed oczami! Ocean. Wystarczy, że ogrzeje ocean.

- Jeden!

Akolita odwrócił się i spojrzał w górę na Gehna.

- Tak, mistrzu?

- Powiedz Atrusowi, że wrócę za godzinę. Tymczasem każ wieśniakom przygotować w porcie uroczystość. Będą mieli święto, o jakim im się nie sniło.

Atrus stał obok mostu. Patrzył, jak wyspiarze krzątają się wokół swoich spraw, podczas, gdy on łamał sobie głowę nad słowami ojca.

Decyzja Gehna, by nie stabilizować tego wieku, nie dawała Atrusowi spokoju. Czuł się w pewnym sensie odpowiedzialny za tych ludzi. To nie oni ponosili winę za wady w strukturze wieku. Jeżeli istotnie zachodził stały proces rozpadu, to właśnie na Gehna i Atrusa, jako na panów tego wieku, spadał obowiązek naprawienia sytuacji.

Atrus westchnął i zrobił kilka kroków w przód, świadom głębokich zmian, jakie zaszły wśród wyspiarzy w ciągu tych kilku ostatnich godzin. Wcześniej byli dla niego mili, ale teraz, kiedy rozstawiali stoły na kozłach i przygotowywali jedzenie, panował wśród nich nastrój irytacji, nawet wrogości, który sprawiał, że Atrus czuł się niezręcznie.

Gdyby tylko mógł coś zrobić...

Nagle stanął jak wryty, odwrócił się i spojrzał w górę, w stronę chaty starej kobiety. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, dzięki któremu mógłby zarówno pomóc tym ludziom, jak i kontynuować naukę pisma D'ni.

A gdyby osiedlił się tutaj, nie na K'veer? Gdyby przekonał ojca, by pozwolił mu nadal obserwować ten świat, nie przez kilka dni, ale miesiące, a może nawet lat? Gehn mógłby nakłonić wyspiarzy do dobudowania do chaty dodatkowego pomieszczenia, którego Atrus mógłby używać jako laboratorium.

Tak, ale czy Gehn wyraziłby na to zgodę?

Atrus wyjął mapę i zaczął ją studiować, wodząc palcem wokół jeziora. Istniał sposób na przekonanie ojca, że to był dobry pomysł, ale wiązał się on z ryzykiem. Będzie musiał pokazać Gehnowi, nad czym pracował od kilku miesięcy.

Westchnął głęboko. No tak, a jeśli ojcu nie spodoba się to, co robię? A jeśli uzna to za dowód, że jeszcze nie jestem gotowy?

W istocie Atrus zamierzał odczekać znacznie dłużej przed pokazaniem Gehnowi wieku, który pisał w książce do ćwiczeń. Chciał mieć pewność, że wszystko zrozumie, zanim zabierze się do pisania właściwej książki, ale jeśli oznaczało to porzucenie tego wieku, porzucenie Koeny, dziewczyny i starej kobiety, która się nim opiekowała, to chyba gra nie była warta świeczki.

Odłożył mapę na bok i wstał, dotykając górnej wargi koniuszkiem języka.

A co zrobiłaby Anna?

Odpowiedź narzucała się sama. Anna zostałaby i próbowałaby pomóc, nawet jeśli wiązałoby się to z poświęceniem własnych planów.

Niech więc tak będzie. Pozostawało tylko przekonać ojca.

Gehn wrócił tego wieczoru zgodnie z obietnicą. Pojawił się na szczycie wzgórza w chwili, gdy słońca zachodziło za jego plecami. Stał na tle krwistej tarczy, podniósł rękę i zawołał do zgromadzonych wyspiarzy, a jego głos rozbrzmiał donośnie nad cichym jeziorem:

- Popatrzcie! – Wskazał na przerwę między wzgórzami. – Ściana Mgły opadła! Biel zniknęła!

Wyspiarze podeszli bliżej i z otwartymi ustami wpatrywali się w miejsce, gdzie odtąd wznosiła się Ściana Mgły. W pomarańczowym świetle zachodu rozpościerała się przed ich oczami perspektywa bezkresnego oceanu. Odwrócili się, w tłumie rozległy się głośnie pomruki strachu, a w końcu, jak jeden mąż, padli na kolana, patrząc na Gehna, których schodził do nich ze zbocza.

Atrus, który patrzył na to wszystko ze schodów domu modlitwy, zmarszczył brwi. W ciągu pierwszych kilku godzin nieobecności ojca zaczął się niepokoić, teraz jednak zrozumiał. Gehn dopisał nowy fragment do księgi trzydziestego siódmego wieku, dzięki czemu Ściana Mgły zniknęła.

Schodząc do ojca do portu, gdzie przygotowywano uroczystość, Atrus poczuł skurcz żołądka. Postanowił, że tego wieczoru spyta go, czy mógłby zostać na wyspie, chciał bowiem jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę. Pamiętał jednak ostatnią okazję, kiedy prosił o coś ojca – wtedy, gdy chciał wrócić do rozpadliny, by odwiedzić Annę – i bał się, że Gehn odmówi.

A jeśli odmówi?

Atrus westchnął i wstąpił na most. Jeżeli Gehn odmówi, będzie się z tym musiał pogodzić. W żadnym wypadku nie mógł się przeciwstawić ojcu w tak istotnej kwestii. Zresztą wystarczyło, by Gehn zakazał mu dostępu do książki.

Nikt nie zauważył pojawienia się Atrusa w porcie. Oczy wszystkich były skierowane na zbocze, po którym schodził Gehn, wspaniale odziany w aksamit i skórę.

Kiedy Gehn wyszedł na otwartą przestrzeń, Koena wystąpił z tłumu, żeby go powitać. Skłonił się nisko, po czym rozsypał u stóp Gehna garść drobnych żółtych płatków.

Gehn powiódł wokół siebie chłodnym, władcym wzrokiem. Gdy dostrzegł między stołami Atrusa, wezwał go ruchem ręki.

- Ojczy? – spytał cicho, zwracając uwagę na dziwny wyraz oczu Gehna, ale ten nie dał sobie przeszkodzić. Ponownie odwrócił się do tłumu i podniósł rękę.

- Od tej pory nie chcę słyszeć o Mgle ani o Bieli. Same te słowa są zakazane! A teraz jedźmy. Świątujmy nowy początek.

Atrus wpatrywał się w plecy ojca, ciekawe, co Gehn chciał przez to powiedzieć; zastanawiał się, czy istotnie był to nowy początek.

Kiedy wyspiarze mijali go, by zająć miejsca przy stołach i rozpocząć wieczorną ucztę, Atrus zauważył, że zerkali lękliwie na Gehna. Najwyraźniej ledwo mogli uwierzyć w cud, którego byli świadkami.

Kiedy w końcu udali się na spoczynek, było późno, bardzo późno. Ścieląc łóżko w kącie namiotu, Atrus widział ojca chodzącego tam i z powrotem za parawanem. Blask żarzącej się fajki przebijał przez grube jedwabne ścianki. Od wystąpienia Gehna przed wyspiarzami Atrus zamienił z ojcem zaledwie kilka słów; chciał zadać mu mnóstwo pytań, ale czuł, że nie czas na to. Padał zresztą ze zmęczenia, a żadna ze spraw, którą pragnął poruszyć, nie była tak niecierpiąca zwłoki, by nie mogła poczekać do rana. Nawet kwestia zostania na wyspie.

Układał się do snu, twarzą do ściany namiotu, kiedy poczuł zapach fajki Gehna. Odwrócił się i ujrzał stojącego nad łóżkiem ojca.

- Jutro musimy stąd odejść.

- Odejść?

- Mam ważne sprawy do załatwienia.

Atrus wahał się, a potem usiadł, wpatrując się w ojca w półmroku.

- Chciałem cię o coś zapytać.

- W takim razie pytaj.

- Pomyślałem, że mógłbym ci pomóc... no wiesz, gdybym poczynił pewne długofalowe obserwacje na wyspie. Przyszło mi na myśl, że wyspiarze mogliby zbudować dla mnie chatę. Mógłbym przenieść swoje rzeczy z K'veer i nakłonić ich, żeby zbudowali dodatkowe pomieszczenie na moje eksperymenty.

- Nie.

- Nie? Ale...

- Żadnych ale, Atrusie – uciął Gehn. – Pomysł, żebyś został na Myst, sam, bez nadzoru, nie wchodzi w grę. Kłóci się to z moimi planami.

- Ale gdybyśmy zrozumieli, dlaczego sprawy przybrały zły obrót...

- Nakazuję ci porzucić ten plan, Atrusie. Mam ważniejsze sprawy na głowie niż ten błahy wiek.

- Po co w takim razie kazałeś mi się uczyć tych wszystkich zwrotów? Dlaczego usunąłeś Ścianę Mgły, jeżeli zamierzasz porzucić ten wiek?

- Sugerujesz, że znasz moje powody, Atrusie?

- Nie, ale czuję, że twój pierwszy pomysł był słuszny. Gdybyśmy mogli zrozumieć, co się tutaj dzieje, moglibyśmy zapobiec powstawaniu takich zakłóceń w innych miejscach.

Usłyszał, jak ojciec bierze gwałtowny wdech. Pochylił się do przodu. Ledwo dostrzegał ojca w panującym mroku. Biały księżyc jeszcze nie zaszedł, ale jego światło ledwo przenikało przez grube płótno. Jedyne źródłem światła w namiocie była fajka Gehna, która rzucała łagodny niebieskawy blask na jego podbródek, usta i nos.

- Ojczy?

Gehn odwrócił nieznacznie głowę, ale nie odpowiedział.

Atrus zamilkł i czekał. Po chwili ojciec znowu podszedł do łóżka.

- To, co mówisz, ma pewną wartość, Atrusie. Początkowo faktycznie takie miałem zamiary. Nawet gdyby ten wiek ulegał dalszemu rozpadowi, warto byłoby zbadać charakter tego rozpadu. Pomysł zbudowania tu specjalnej chaty dla celów doświadczalnych jest dobry, pod warunkiem, że pozostawione tu książki i dzienniki nie wpadłyby w niepowołane ręce. Mimo to nie mogę cię tu zostawić samego, Atrusie. To zbyt niebezpieczne. Poza tym musisz kontynuować naukę, a ja muszę odwiedzać

inne wieki. Nie mogę stale przyjeżdżać tutaj. Nie, zostaniesz na K'veer, ale nadal będziemy odwiedzać ten wiek od czasu do czasu, a wtedy możesz kontynuować szczegółowe obserwacje.

Atrus liczył na coś więcej, ale uznał, że dobre i to. Potwierdziły się jego domysły. Gehn zamierzał zostawić ten wiek własnemu losowi. Teraz przynajmniej Atrus będzie miał okazję uczynić tu trochę dobrego. Gdyby zdołał odkryć przyczynę zakłóceń, ojciec zacząłby mu może ufać i dałby mu większą swobodę.

To wszystko jednak pozostawało kwestią przyszłości. Kładąc głowę na poduszce, usypiany zapachem fajki Gehna, Atrus przypomniał sobie wyraz zdumienia i strachu na twarzach wyspiarzy, kiedy wpatrywali się w bezkresny ocean. Zapadając w sen, doznał kolejnego przebłysku intuicji.

Ojciec ogrzał ocean...

14

Gehn patrzył z odległości kilku kroków, jak Atrus wbija łopatę głęboko w trawiastą powierzchnię łąki, potem napiera na drzewce i wybiera torf, odsłaniając żyzną glebę.

Atrus odrzucił łopatę i klęknął przy otworze. Wyjął z kieszeni ciemnoniebieski materiał, położył na ziemi i zaczął wyjmować niezbędne przyrządy: szpatułki i wkraplacze, biurety i pipety oraz cztery małe zakręcane słoiczki zawierające różnobarwne preparaty chemiczne. Te ostatnie wyjmował jeden po drugim z szerokiego skórzanego pasa.

Na koniec wyjął cienką czarną skrzynkę z wewnętrznej kieszeni płaszcza, wydobył z niej cztery długie szklane probówki i położył obok lśniących srebrnych przyrządów. Wreszcie spojrzał na Gehna, a jego okulary zamigotały w słońcu.

- Jestem gotów, ojcze.

Gehn uniósł nieco podbródek. Matowe szkła okularów chroniły jego oczy przed jasnym słońcem.

- Wobec tego zobaczmy, co z tego wynikło.

Atrus zabrał się do pracy. Szpatułką nałożył odrobinę ziemi do każdej z probówek. Podniósł pierwszy słoik i zdjął z niego zakrętkę. Nabrał nieco bursztynowego płynu pipetą, dodał do ziemi w pierwszej probówce i wymieszał.

Podniósł probówkę do światła i przyjrzał się zawartości. Pokiwał głową i zakorkował probówkę.

Następnie dodał szpatułkę jasnoniebieskiego proszku do ziemi w drugiej probówce i wymieszał dokładnie oba składniki.

Powtórzył te procedurę jeszcze dwukrotnie, aż wszystkie cztery probówki leżały zakorkowane na materiale. Zadowolony z siebie Atrus spojrzał na Gehna.

- Myślę, że się udało.

- Myślisz?

Atrus spojrzał na probówki.

- Jestem prawie pewien, że się udało. Reakcje pokrywają się z moimi oczekiwaniami, ale chciałbym mieć całkowitą pewność. Chciałbym przeprowadzić dalsze testy w chacie.

Gehn skinął głową, potem odwrócił się, otulając się płaszczem i rzucił na odchodnym:

- Wobec tego zobaczymy się tam za chwilę.

Atrus odprowadził ojca wzrokiem, a potem zabrał się do pakowania przyrządów. Spodziewał się ze strony Gehna czegoś więcej, gestu czy słowa świadczącego o tym, że był zadowolony z osiągnięć syna, ale jak zwykle nic podobnego nie nastąpiło.

Podniósł wzrok i zobaczył, że dziewczyna, Salar, przygląda mu się z drugiej strony łąki. Atrus uśmiechnął się do siebie. Czuł do niej sympatię, trochę jak do młodszej siostry, choć nie była najlepszą towarzyszką. Właściwie nie mógł z nią rozmawiać, w każdym razie nie w taki sposób jak z Anną.

Odepchnął od siebie tę myśl, postanawiając, że nie podda się nastrojowi przygnębienia; przynajmniej nie dzisiaj. Dziś bowiem, o ile dalsze testy potwierdzą jego przypuszczenia, osiągnął wielką rzecz.

Zapiął skrzynkę z pobranymi próbkami, wsunął przyrządy za pas i uśmiechnął się.

W zasadzie Gehn powinien być z niego niezmiernie dumny. Atrus znalazł przecież pierwszorzędne rozwiązanie. Gehn jednak był Gehnem; dystans, jaki zachowywał, stanowił część jego inteligencji.

Minął cały tydzień, zanim ojciec raczył przeczytać krótką formułkę, którą Atrus dopisał do księgi wieku trzydziestego siódmego. Wzruszając ramionami, Atrus wstał i sprawdził, czy niczego nie zapomniał. Uśmiechnął się przelotnie do Salar i ruszył w drogę powrotną.

Zgodnie z jego sugestią, obok chaty starej kobiety zbudowali drugą, w której urządzili pomieszczenie na doświadczenia. Gehn czekał tam na niego z przygotowanymi przyrządami.

- Daj mi próbki – powiedział, wyciągając rękę do Atrusa. – Przeprowadzę własne testy.

- Ojczy... - Pochylił głowę, kryjąc rozczarowanie, po czym wręczył Gehnowi cieką skrzynkę.

Teraz przynajmniej Gehn traktował go poważnie. Kiedy Atrus zaproponował to po raz pierwszy, ojciec wyśmiał ten pomysł:

Szukałem takiej formuły przez dwadzieścia lat! Chcesz powiedzieć, że znalazłeś rozwiązanie problemu?

Nie było to do końca prawdą. Atrus nie znalazł formuły w książce, ale wyprowadził ją sam z podstawowych zasad po blisko ośmiu miesiącach badań. Jednak Gehn nie chciał słuchać wyjaśnień. Interesowało go tylko to, czy formuła działa czy nie.

Patrzył więc, jak Gehn bierze odrobinę każdej z próbek, rozkłada na odrębnych szkiełkach i zaczyna badać pierwszą za pomocą dużego mikroskopu w złotej oprawie, który przyniósł z D'ni.

Przez pełne napięcia kilka minut Gehn prawie się nie poruszał, obracał tylko skalibrowanymi pokrętłami, wreszcie oderwał oko od soczewki i spojrzał na Atrusa.

- Te bakterie są inne.

- Nie wszystkie.

Gehn przyglądał mu się w milczeniu, licząc na to, że powie więcej, a kiedy się to nie stało, sięgnął po szkiełko z drugą próbką.

Atrus patrzył na ojca z dumnym uśmiechem. Dodanie mieszanki różnych bakterii stanowiło ostatnie pociągnięcie, dzięki któremu całość zaczęła działać. Przed wieloma laty, w rozpadlinie, zastosował znacznie prostsze, czysto chemiczne rozwiązanie tego samego problemu i poniósł klęskę. Tym razem spróbował ogarnąć całość, uwzględniając zarówno aspekt chemiczny, jak i bakteriologiczny, i odniósł sukces.

Nie było to rozwiązanie wszystkich kłopotów. Kiedy przedstawiał je ojcu, uważał, by w żaden sposób nie krytykować wieku. Był to jednak jakiś początek. Gdyby Gehn nabrał do niego większego zaufania, Atrus mógłby wprowadzić dalsze zmiany.

Pragnął zobaczyć księgę wieku trzydziestego siódmego, by potwierdzić swoje przypuszczenia i przedyskutować je z ojcem, ale wiedział, jak czuły był na tym punkcie Gehn.

Westchnął głęboko, przypominając sobie długie godziny spędzone na badaniach. Dopóki nie zaczął analizować składu gleby, nie pojmować całej złożoności problemu. Teraz jednak widział to wyraźnie. Należało budować światy od dołu, rozpoczynając od tego, co znajdowało się pod glebą.

Gehn chrząknął, spojrzał na Atrusa i nieznacznie skinął głową.

- To jest dobre. Musisz mi pokazać książkę, w której to znalazłeś. Może są w niej rzeczy, które nam się przydadzą.

Atrus spuścił wzrok. Może Gehn zapomni. Może coś innego zaprzątnie jego uwagę. W najgorszym razie powie ojcu, że książka uległa wypadkowi.

- Dobrze – powiedział Gehn wyjmując szkiełko i zaczynając pakować mikroskop. – Sprzątnijmy tu i wracajmy do D'ni. Myślę, że nasza praca tutaj dobiegła końca.

- Końca?

Gehn przytaknął i zatrasnął skrzynkę z mikroskopem.

- Myślę, że powinniśmy zostawić ten wiek własnemu losowi na tydzień lub dwa i zobaczyć, co się wydarzy. Wszystkie efekty uboczne powinny się do tego czasu ujawnić.

- Efekty uboczne?

Gehn zniecierpliwiał się.

- Chodź, Atrusie. Spakuj swoje rzeczy. Za godzinę chcę być w domu.

Minęły dwa dni od ich powrotu z wieku trzydziestego siódmego, a w ciągu tego czasu Atrus ani razu nie widział ojca.

Wiedział oczywiście, gdzie Gehn przebywał, ponieważ natychmiast po powrocie popędził po schodach do gabinetu i zamknął się tam. Nie schodził nawet na posiłki.

Teraz, gdy kolejny dzień dobiegał końca, Atrus nadal nie miał pojęcia, do czego zmierzał Gehn.

Podszedł do stojącego w kącie biurka, wziął swój dziennik i wyszedł na balkon. Otworzył zeszyt na jednej z najwcześniejszych notatek, którą wpisał, kiedy miał dziewięć lat:

Anna mówi, że rozpadlina jest „środowiskiem” i że „środowisko” składa się z wielu różnych elementów, które na siebie oddziałują. Mówi, że chociaż niektórych z tych rzeczy – na przykład słońca – nie ma w samej rozpadlinie, to musimy je uwzględniać, kiedy zastanawiamy

się nad sposobem funkcjonowania rozpadliny. Zbyt wiele słońca, a rośliny zginą, mało, a nie wyrosną. Zapytałem ją, jak w ogóle udaje nam się tu przeżyć?

Atrus usiadł na balustradzie, spojrzął na wielką skałę i rozpościerające się za nią miasto i westchnął. Kiedy wspominał minione lata, zdumiewało go, że przeżyli. Dopiero teraz pojął, jaki to cud.

Przeszedłem długą drogę – pomyślał – ale wciąż nie posiadam nawet połowy jej mądrości.

Atrus odwrócił się, by wejść do chaty i napisać kilka linijek, kiedy spostrzegł Rijusa, który przyglądał mu się ze środka pokoju.

Już dawno przyzwyczyił się do milczenia sługi i jego nagłego pojawiania się w pokojach. Wciąż jednak ciekawiło go, co ten człowiek wiedział, jakie znał tajemnice. Jakie to było uczucie – mieszkać w świecie słów, do którego nie miało się dostępu?

Atrus wszedł do pokoju, odłożył dziennik i spojrzął na sługę.

- Czy masz dla mnie jakąś wiadomość, Rijusie?

Rijus pochylił głowę i wręczył mu notatkę.

Nareszcie, pomyślał Atrus, wiedząc, że ojciec wzywa go do siebie. O co może chodzić?

Rozłożył kartkę i rzucił okiem na misterne pismo. Wiadomość był lapidarna:

„W moim gabinecie. Natychmiast”.

Odprawił Rijusa ruchem głowy. Wsunął dziennik do skrzynki, zamknął klamerkę na klucz i pospiesznie wyszedł z chaty.

Gehn czekał w gabinecie za biurkiem. Przy jego łokciu stała sterta książek, a dalszych pięć leżało rozłożonych na blacie.

Atrus drgnął ze zdumienia. To były jego książki!

- O, Atrusie – powiedział Gehn podnosząc wzrok, po czym powrócił do pisania w otwartej książce. – Podejdź i usiądź naprzeciwko mnie.

Atrus usiadł posłusznie i patrzył, jak ojciec kończy pisać zdanie, po czym odkłada pióro do kałamarza.

Gehn podniósł wzrok i wskazał głową na książki.

- Jak widzisz, przeczytałem twoje książki do ćwiczeń i wybrałem pięć, które, jak sądzę, mają pewną wartość.

Atrus czekał w napięciu.

- Chciałbym, żebyś wybrał jedną. – Gehn przesunął dłonią po pięciu książkach.
– Na razie są to tylko słowa na papierze. Teraz jednak daję ci szansę wcielenia jednej z tych książek w życie.

Atrus zamrugnął z niedowierzaniem.

- Tak. Daję ci pustą książkę, Kortee'nea. Wybierzesz jedną z tych pięciu książek i przepiszesz ją starannie do Kortee'nea.

Oto nadeszła chwila, o której marzył, a on nie był przygotowany.

- No więc? – spytał Gehn, marszcząc brwi. – Którą wybierasz?

Atrus nachylił się, by zobaczyć, które książki wybrał ojciec. Obecność dwóch pozycji zdziwiła go, ale jego główna książka także tam była. Atrus postukał w nią i powiedział:

- Tę.

- Dobry wybór – pochwalił Gehn. Odwrócił się na krześle, wziął ze sterty dużą książkę w skórzanej oprawie i podał synowi.

Atrus wziął ją, czując, jak zasycha mu w ustach, a serce łomocze w piersi. Książka! Ojciec dał mu książkę!

- Musisz bardzo uważać, Atrusie. Wszelkie błędy, jakie popełnisz podczas przepisywania, znajdą swoje odbicie w wieku. Musisz sprawdzić każde słowo, każdy przepisany zwrot. Kiedy sprawdzisz, sprawdź jeszcze raz. Jeżeli mimo wszystko popełnisz błąd, pamiętaj, żeby przynieść książkę do mnie.

- Tak jest, ojcze – odparł pochylając głowę.

- Dobrze. Weź teraz zeszyt i zabierz się do pracy. I jeszcze jedno.

- Tak, ojcze?

- Możesz dodać tę formułę, która ostatnio odkryłeś. Formułę dotyczącą gleby. Ostatecznie nie zaszkodzi twojemu wiekowi.

Gehn rozłożył książkę na biurku przed Atrusem i otworzył na pustym pudełku opisującym po prawej stronie. Aż do chwili połączenia się wiekiem strona ta miała pozostać pusta – albo prawie pusta, ponieważ wirowały na niej drobiny przypominające burzę śnieżną. Kiedy tylko Atrus wyłoni się w nowym wieku, jego obraz ukaże się na tej stronie książki niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Mam pójść pierwszy? – spytał Gehn patrząc na syna. – Czy wolisz, bym tobie oddał ten zaszczyt?

Chociaż Atrus łączył się z wiekami już wiele razy – tak często, że stało się to niemal rutyną – tym razem bał się. Bał się, ponieważ to był jego wiek.

- No więc? – ponaglił Gehn, kiedy chłopiec nie odpowiedział.

- Pójdę pierwszy – powiedział, wziął głęboki uspokajający wdech i położył prawą dłoń na pustej stronie.

Rozległ się trzask, jak gdyby przez jego dłoń przebiegł słaby prąd elektryczny. Atrus miał wrażenie, jakby strona książki wsysała jego dłoń, potem dostał mdłości, zakręciło mu się w głowie i poczuł, że zapada się w rozrastającą się biel papieru.

W tym momencie doznał znajomego wrażenia przesunięcia, jakie towarzyszy połączeniu. Przez jedną krótką chwilę czuł, jak gdyby się topił. Potem, z raptownością, która nigdy nie przestała go szokować, do środka wlała się czerń, wypełniając w końcu wszystko.

Kiedy wreszcie poddał się tej czerni, stwierdził, że znajduje się znowu w swoim ciele. Stoi na zimnej ziemi w nisko sklepionej grocie.

Atrus poczuł ulgę i odsunął się na bok, gdyż wiedział, że ojciec łączy się tuż za nim.

Gehn mógł pojawić się lada chwila, ponieważ powietrze stało się płynne. Działo się tak zawsze, kiedy ktoś się łączył. To wrażenie płynności przypominało skazę, zwężenie samego oka.

Dziwne. Atrus zmarszczył brwi i zrobił krok w stronę miejsca, które dopiero co opuścił. W tym momencie w powietrzu zaszła zmiana i, niczym bańka wyciśnięta z nicości, pojawił się ojciec.

Gehn rozejrzał się wokół siebie, krytycznie przyglądając się ścianom.

- Dobrze – powiedział cicho, biorąc głęboki wdech. – Powietrze pachnie bardzo świeżo.

Atrus nie spuszczał wzroku z ojca, świadom, że jest osądzany, poddawany swego rodzaju próbie.

- Przypuszczam, że masz książkę łączącą.

Atrus otworzył szeroko usta. Był tak podniecony, że na śmierć o niej zapomniał. Zdążył się tak przyzwyczaić do podróżowania po wiekach, w których książki łączące były już na miejscu, że zapomniał.

Jęknął, a krew odpłynęła mu z twarzy. W tym momencie Gehn podsunął mu książkę łączącą pod nos.

- Ty zapomniałeś, ale ja na szczęście nie.

Atrus zamknął oczy i zadrżał na myśl, że mógł ich tu uwięzić na zawsze.

- Przepraszam... - zaczął, ale Gehn uciszył go szybkim ruchem ręki.

- Nie mów mi, jak bardzo jest ci przykro, Atrusie. Przeprosiny są tu nie na miejscu. Przeprosiny są dobre dla głupców i idiotów, którzy nie są w stanie trzeźwo myśleć. Miałem o tobie wyższe mniemanie, ale twoje karygodne niedbalstwo jest oznaką niedojrzałości. Miałeś pamiętać o jednej podstawowej sprawie i zapomniałeś! – Gehn sapnął z irytacją, a potem trzasnął Atrusa książką po głowie. – Co by się stało, gdybym nie zabrał twojej książki łączącej? – spytał podniesionym głosem. – Co wtedy? Gdzie byśmy byli?

Tutaj – pomyślał Atrus. – Na zawsze tutaj.

Gehn wepchnął mu książkę do rąk i skierował się do wyjścia. Atrus stał przez chwilę niezdecydowany, po czym ruszył za ojcem.

- Cóż – powiedział Gehn zwalniając, żeby Atrus mógł go dogonić. – Lepiej pokaż mi, co napisałeś.

Wyprowadził ojca z grotu wąskim kamiennym korytarzem, który bardzo odbiegał od jego wyobrażeń, do odkrytej, zalanej słońcem niecki. Po jednej stronie znajdowało się jezioro otoczone soczystą roślinnością i kilkoma skałami o jasnych kolorach, a w głębi piętrzyły się warstwy skalne.

Gehn opuścił okulary na oczy i wyszedł na słońce. Przez dłuższą chwilę milczał, jak gdyby nie podobało mu się to, co widział, ale w końcu powiedział tonem zdziwienia:

- To jest dobre, Atrusie. Najwyraźniej odpowiednio dobrałeś różne składniki. Doskonale się uzupełniają. – Odwrócił się spojrzał na stojącego w cieniu Atrusa. – Z których książek korzystałeś?

Gehn sądził, że Atrus wprowadził rozmaite elementy wieku ze starodawnych ksiąg, tak jak to robił sam. Jednak ten wiek był wyłącznym dziełem chłopca. Największy kłopot sprawiło mu znalezienie właściwych słów D'ni, by wyrazić to, co chciał. Dlatego właśnie proces tworzenia zajął mu tyle czasu. Dlatego musiał uzbroić się w cierpliwość.

- Ja... nie pamiętam – powiedział w końcu. – Korzystałem z wielu książek.

- Nieważne – odparł Gehn, zerknął przelotnie na syna i ruszył w dalszą drogę.

Mijając jezioro, Gehn stanął, rozejrzał się wokół siebie i zaczął się wspinać na schodzy. Atrus ściągnął okulary i pospieszył za ojcem. Dziwiło go to, że Gehn w

żaden inny sposób nie skomentował jego dzieła. Czyżby to wszystko z niczym mu się nie kojarzyło? Czy nie widział, co Atrus usiłował tu odtworzyć?

To była rozpadlina. Oczywiście uproszczona, bez oryginalnych zabudowań, ale jej kształt i budulec zostały na tyle wiernie odtworzone, na ile pozwoliła mu pamięć.

W połowie schodów stanął i odwrócił się, szukając na dnie rozpadliny pewnego szczegółu, który zamieścił w książce. Przez chwilę nie mógł go znaleźć, aż nagle drgnął z zachwytu. Oto, w głębokim cieniu rozpadliny, rosły delikatne niebieskie kwiatki.

Uśmiechnął się szeroko i zaczął się wspinać. Wybranie właściwego rodzaju gleby i dobór minerałów kosztowało go wiele czasu i wysiłku, ale odniósł sukces!

Gehn czekał na syna na szczycie. Pocierając dłonią podbródek, lustrował wzrokiem rozpadlinę. Atrus przyłączył się do niego i po raz pierwszy przyjrzał się wiekowi, który stworzył.

Był to pofałdowany krajobraz wzgórz i dolin, bujnych pastwisk i gęstych, ciemnych borów. Rzeki wiły się srebrzyście przez ten zielony raj, wpadając do niebieskich jezior. W oddali wznosiły się góry, ośnieżone i majestatyczne, a u ich stóp rozpościerało się niebieskozielone morze.

Ponad tym wszystkim rozciągał się błękitne, bezchmurne niebo, na którym świeciło duże, żółte słońce, do złudzenia przypominające słońce ziemskie. Atrus stał przez chwilę, zafascynowany, wsłuchany w spokojny śpiew ptaków. W pierwszej chwili nawet nie zwrócił na to uwagi, ale nagle zrobił półobrót, otwierając szeroko oczy.

Ptaki? Nie napisałem nic o ptakach!

- Powinieneś być śmieiej eksperymentować – powiedział ojciec podchodząc do niego.

Atrus spojrział na ojca zdziwiony tym komentarzem, który zdawał się pozostawać w całkowitej sprzeczności ze stylem pisarskim Gehna.

- Mógłbyś na przykład opisać inne słońce – mówił Gehn wskazując na niebo. – Albo stworzyć te góry z innego rodzaju skał.

- Ale...

- Następnym razem powinieneś odejść nieco od konwencji. Dzięki temu twoje światy nie będą takie stateczne.

Atrus spuścił wzrok, zgnębiony komentarzem ojca. A co z widokiem, który się przed nim rozpościerał? Czyż nie był cudowny? A tutejsze powietrze i gleba – to chyba dobrze, że były takie zdrowe? Och, wiedział, że ten wiek jest prosty, ale zamierzał posuwać się naprzód krok po kroku. Poza tym, ten świat się nie rozpadnie...

- W każdym razie nie musisz zachowywać tego wieku – dodał Gehn. – Teraz, kiedy już wiem, że umiesz pisać, dam ci inne książki, z którymi będziesz mógł eksperymentować. Gdy wreszcie stworzysz wiek, z którego będę zadowolony, pozwolę ci go nazwać wiekiem pierwszym.

- Ale ja już nazwałem ten wiek.

- Nazwałeś go? – Gehn zaśmiał się lekceważąco. – Trochę się pospieszyłeś. Rozumiem, gdyby żyli tu ludzie, ale...

- Nazwałem go Poczęcie.

Gehn przyglądał mu się przez chwilę, po czym się odwrócił. Zerwał liść z krzewu, roztarł w palcach w rękawiczce, powąchał i odrzucił.

- Dobrze. Myślę, że czas wracać.

Atrus, który zamierzał ruszyć dalej w dół zbocza, odwrócił się do ojca.

- Wracać?

- Tak – odparł Gehn rzucając mu przelotne spojrzenie.

- Ale myślałem... - Atrus z trudem przełknął ślinę. – Myślałem, że zwiedzimy trochę ten wiek. Chciałem pobrać próbki gleby i schwytać jedno ze stworzeń, żeby je zbadać. Chciałem...

- Słyszałeś, co powiedziałem, Atrusie. Chodź! Jeżeli musisz, możesz tu wrócić innym razem, ale teraz muszę wracać. Czeka mnie mnóstwo przygotowań przed Korfah V'ja.

- Korfah V'ja? – powtórzył Atrus, który nigdy wcześniej nie słyszał tej nazwy.

- Jutro w południe, w trzydziestym siódmym wieku – rzucił przez ramię Gehn i ruszył do wyjścia.

Kiedy znaleźli się z powrotem w bibliotece D'ni, Gehn zamknął książkę Atrusa, wsunął pod ramię i ruszył w stronę schodów wiodących do gabinetu.

- Pospiesz się – ponaglił Atrusa. – Musimy się przygotować.

Od ostatniej wizyty Atrusa w gabinecie nie zaszły chyba żadne zmiany. Panował tu może jeszcze większy bałagan. Pod ścianami piętrzyły się coraz wyższe sterty książek. Płaszcz Gehna wisiał na oparciu krzesła pod kominkiem.

Atrus zamrugął, widząc oczami wyobraźni, jak ojciec pracuje tu do późnych godzin nocnych, a płomienie rzucają na ściany tańczące cienie.

- Usiądź – powiedział Gehn wskazując na krzesło po drugiej stronie biurka. – Przed świtem czeka na wiele pracy.

Atrus usiadł, patrząc, jak ojciec odkłada książkę na stertę, potem ściąga okulary i chowa do szuflady.

- Ojczy?

- Tak, Atrusie?

- Co to jest Korfah V'ja?

Ledwo na niego spojrzawszy, Gehn sięgnął po książkę, a potem położył obok niej pióro i kałamarz.

- To jest ceremonia poświęcona nowemu bogowi – odparł, po czym usiadł i otworzył książkę.

Nie była pusta. Ze swego miejsca Atrus dostrzegł, że dwa ostatnie fragmenty tekstu dopisano bardzo niedawno.

- Nie wiem...

- Oczywiście, że wiesz – przerwał mu Gehn. Odkręcił kałamarz i spojrzał na syna. – Teraz jesteś prawdziwym D'ni, Atrusie. Pisarzem, który stworzył wiek. Ten fakt należy uczcić. Poza tym, nie powinniśmy się za bardzo spoufalać z mieszkańcami naszych światów. Trzeba im przypominać o naszej boskości, a czy istnieje lepszy sposób niż ceremonia?

- Tak, ale...

- Przygotowuję na tę okazję coś wyjątkowego.

Gehn wahał się przez chwilę z półprzymkniętymi oczami, myślał, wreszcie zanurzył pióro w kałamarzu.

- Co robisz, ojczy?

- Nanaszę zmiany.

- Zmiany?

- Niewielkie – odparł Gehn kiwając głową. – Tak drobne, że nawet ich nie zauważysz.

- Czy w takim razie... - Atrus wskazał na biurko. – To jest księga wieku trzydziestego siódmego?

- Tak.

Atrus poczuł, jak zdejmuje go lodowaty chłód. Sądził, że Gehn zakończył nanoszenie zmian. Myślał, że tamten wiek jest już ustalony.

- Ojczy?

- Co takiego, Atrusie? – spytał Gehn zerkając na syna z roztargnieniem.

- Mówiłeś, że powinienem być mniej konwencjonalny w swoim pisaniu. Co dokładnie miałeś na myśli? Czy powinienem podejmować większe ryzyko?

Gehn podniósł wzrok i odłożył pióro na biurko.

- Nie tyle ryzyko, ile... Cóż, Atrusie, pozwól, że powiem bez ogródek: pisanie zajmuje ci za dużo czasu, o wiele za dużo. W tych zeszytach prawie nic nie ma! – Wskazał na stojącą obok stertę. – Kiedy dałem ci pięć do wyboru, wiedziałem, który wybierzesz, ponieważ tylko on zawierał coś na kształt właściwego wieku!

Gehn wstał i nachylił się nad biurkiem.

- Do diabła, chłopczy, powinieneś już stworzyć z tuzin wieków! Powinieneś był trochę poeksperymentować, wypróbować kilka rzeczy, żeby sprawdzić, co działa, a co nie. Trzymanie się wypróbowanych wzorów jest dobre dla skrybów, ale nie dla nas, Atrusie! Nie dla nas!

Atrus wpatrywał się w ojca, oszołomiony jawnymi sprzecznościami w jego słowach. Czy ojciec chciał szybkich światów, czy też światów stabilnych? A może chodziło mu o coś zgoła innego?

Gehn sapnął z irytacją.

- Jeżeli będziesz pracował w tym tempie, na nic mi się nie przydasz. Potrzebuję wieków, tuzinów, setek wieków. Czy nie rozumiesz, że na tym właśnie polega nasze zadanie? Na tworzeniu i zaludnianiu wieków. Na wypełnianiu pustki światami, które możemy posiadać, którymi możemy zarządzać, aby kultura D'ni znowu rozkwitła. Aby moi wnukowie zostali panami miliona światów!

Gehn stał tak jeszcze przez chwilę, kręcąc z rozczarowaniem głową.

- Lepiej idź już do swego pokoju. Przyślę po ciebie Rijusa. Przyniesie ci ubranie, które masz włożyć na ceremonię.

Coś było nie w porządku. Wyczuli to, kiedy tylko wstąpili pod ciemne, zachmurzone niebo trzydziestego siódmego wieku. Ciepły, niezdrowy wiatr owiewał ich twarze jak dmuchawa, a oprócz zwykłego, mocnego zasolenia wyczuwało się w nim obecność innych, gorzkich składników.

Atrus zerknął na ojca i zobaczył, jak Gehn krzywi się, a potem dotyka językiem podniebienia, jak gdyby chciał lepiej posmakować niezdrowe powietrze.

- Co to jest?

Gehn koncentrował uwagę jeszcze przez chwilę, po czym ignorując pytanie Atrusa ruszył przed siebie. Nim jednak przeszedł tuzin kroków, stanął jak wryty.

Atrus stanął obok ojca na szczycie wzgórza i rozejrzał się wokół nie wierząc własnym oczom.

Jezioro wyparowało, a dno pokryło się siatką ciemnych pęknięć. Dwa tuziny kutrów rybackich leżało na burtach w wyschniętym na wiór błocie.

Atrus odwrócił się i spojrzał na ocean. Pomiędzy wzgórzami, gdzie dawniej kończył się kanał, a zaczynał ocean, ujrzał stopień z litej, suchej skały, pokrytej wyschniętymi wodorostami i skorupiakami.

Jak kraina wyschniętych krzewów, pomyślał i przypomniał sobie, że po raz pierwszy ta myśl przyszła mu do głowy podczas połowu z Tarkukiem i jego synem.

A poza przegrodą... nic, tylko powietrze.

Wiatr przyniósł gromki odgłos jęków i zwodzenia. Atrus odwrócił się, szukając źródła hałasu w wiosce, ale była opuszczona. Nagle spostrzegł ludzi po drugiej stronie mostu, przed domem modlitwy. Zebrali się wszyscy, kuląc się ze strachu, patrząc na wylupione oko jeziora i na czarne, wrogie niebo. Tylko Koena chodził między wieśniakami. Schylał się, by zamienić z którymś parę słów albo położyć komuś dłoń na ramieniu.

- Co tu się stało? – zawołał przerażony Atrus odwracając się do ojca.

Gehn powoli pokręcił głową z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Wszystko było w porządku – powiedział cicho. – Naprawiliśmy ten świat. Tamte formuły... Nic im nie brakowało.

A jednak coś było nie tak. Jakaś siła opróżniła jezioro. Musiała istnieć jakaś przyczyna, ponieważ takie rzeczy nie działy się same z siebie.

Atrus przypomniał sobie nagle pewien zwrot. Ojciec ogrzał ocean. Czyżby z tej, na pozór drobnej, zmiany wynikała sprzeczność? A może, wprowadzając ją, Gehn naruszył jakiś inny, zasadniczy element tego wieku? Może przekrzywił oś planety, by

zbliżyć ją do słońca i w ten sposób ogrzać wodę? A może chodziło o coś jeszcze innego? Czyżby Gehn manipulował płytami tektonicznymi pod oceanem? Może osłabił dno, które w końcu zapadło się pod ciśnieniem wody, wywołując obniżenie poziomu? Albo po prostu wziął z jakiejś księgi D'ni formułę dotyczącą ciepłego oceanu i wyrwał ją z kontekstu, nie zważając na szerszy aspekt?

Atrus nie mógł znaleźć odpowiedzi na te pytania bez zajrzenia do księgi wieku trzydziestego siódmego, ale Gehn kategorycznie zabraniał mu dostępu do swego księgozbioru.

Nad ich głowami gromadziły się czarne burzowe chmury. Z oddali dobiegł ich grzmot.

Gehn rozejrzył się wokół surowym wzrokiem, po czym powoli ruszył w dół zbocza do wioski.

Wielki mistrzu, musisz nam pomóc! Musisz!

- Muszę? – Gehn obejrzał się pogardliwie na klęczącego człowieka. – Kto powiedział, że muszę?

Od ich przybycia minęła godzina. Gehn siedział przy biurku w wielkim namiocie, z fajką w dłoniach.

Jego pierwszym posunięciem było odesłanie wieśniaków do chat z zakazem wyściubiania nosa. Potem przyszedł tutaj i zapalił fajkę. Od tamtej pory ani drgnął. Siedział i marszczył brwi pogrążony w posępnych rozmyślaniach.

Koena przyszedł błagać mistrza. Choć bał się sprzeciwić rozkazom Gehna, jeszcze bardziej bał się zostawić sprawy ich własnemu losowi. Jego świat umierał, a jedynym człowiekiem, który mógł go ocalić, był Wszechmocny Gehn.

Atrus, który stał tuż za Koena, poczuł ogromny podziw dla kapłana.

- Wybacz, mistrzu – zaczął znowu Koena, nie śmiając spojrzeć Gehnowi w oczy. – Czyżbyśmy cię rozgniewali? Czy to jest nasza kara? Jeśli tak, powiedz, jak możemy się poprawić. Ale błagam, ratuj nas. Zaklinam cię, mistrzu, przywróć nam morze i napełnij jezioro!

Gehn trzasnął fajką o biurko i wstał.

- Dość!

Wziął długi wdech, potem obszedł biurko i stanął nad skulonym Koena.

- Masz rację – powiedział zimnym, władczym głosem. – To jest kara. Zademontrowałem wam swoją potęgę.

Gehn przerwał, a potem odwrócił się od kapłana i zaczął chodzić po pokoju.

- Uznałem za konieczne pokazać wam, co może się stać, gdyby kiedykolwiek przyszło wam do głowy sprzeciwienie się moim rozkazom.

W ciszy, jaka nastąpiła, Atrus wpatrywał się w ojca z otwartymi ustami.

Gehn powoli obszedł namiot, mijając Atrusa jak powietrze.

- Czy ukończono przygotowania? – spytał nagle Koenę.

- Mistrzu? – Klęczący mężczyzna zdobył się zaledwie na szybkie spojrzenie na pana.

- Przygotowania do ceremonii – wyjaśnij Gehn takim tonem, jakby przemawiał do dziecka.

Koena zamrugał, po czym skinął głową.

- Tak, mistrzu. Wszystko jest gotowe.

- Wobec tego ceremonia odbędzie się za godzinę. Zbierzesz wyspiarzy na zboczu przed świątynią.

- Świątynią? – W końcu Koena zrozumiał. Gehn miał na myśli dom modlitwy. Mimo to kapłan stał jak zaczarowany.

- No więc? – spytał Gehn, ponownie odwracając się do sługi. – Czy nie powinienes zająć się przygotowaniami?

- Mistrzu? – Twarz Koeny straciła nagle wszelki wyraz. Sprawiał wrażenie oniemiałego, zszokowanego.

- Powiedziałem: idź. Zbierz wieśniaków i przygotujcie się do ceremonii. Nie mam ochoty czekać.

- Ale mistrzu... - Koena cofnął się o kilka kroków. – Nie pomożesz nam? Jezioro...

- Ruszaj! – wrzasnął Gehn z twarzą pociemniałą z wściekłości. Wsunął dłoń pod płaszcz i wyciągnął długi sztylet. – Natychmiast! Zanim rozplątam cię jak rybę!

Koena poderwał głowę, zerkając z przestachem na ostry jak brzytwa sztylet. Wreszcie skłonił się i niemal wybiegł z namiotu.

- Ojczy? – powiedział Atrus podchodząc do Gehna.

Gehn jednak nie słuchał. Patrzył posępnie na płachtę namiotu, za którą zniknął Koena. Wykrzywił usta, jakby połknął coś kwaśnego. Spojrzał na Atrusa tak,

jakby patrzył na książkę czy jakiś inny przedmiot. W końcu schował sztylet do pochwy i wrócił do biurka.

Wsunął fajkę do ust, oparł głowę na wezgielciu krzesła i zamknął oczy.

- Ojczy?

Jednak Geln pozostał głuchy na wszelkie słowa. Ściągnął usta i wypuścił w górę długą smużkę dymu.

Za godzinę. Korfał V'ja – ceremonia koronacji nowego boga – miała się odbyć za godzinę.

Koena zebrał wszystkich dwustu wyspiarzy i kazał im klęknąć z pochylonymi głowami na stoku przed domem modlitwy. Pięć wielkich pochodni płonęło na wysokich palach, osadzonych w ziemi między ludźmi a domem. Płomienie chwiały się i migotały na wietrze. Głębokie cienie tańczyły w hipnotycznym świetle niczym zły duch, szukający w tłumie duszy, którą mógłby nękać.

Ludzie milczeli, kuląc się pod kłębowiskiem ciemnych, groźnych chmur, a każdemu pomrukowi z nieba towarzyszył lękliwy jęk tłumu.

Na wcześniej ustalony sygnał Koena odwrócił się, wznosił ręce i wezwał boga do zejścia. W tej samej chwili Geln wyłonił się z mroku między drewnianymi filarami. Miał na sobie długi jasny płaszcz ze złotej przędzy, podszyty czarnym jedwabiem, a na siwych włosach dziwną, pięciokątną złotą aureolę, która migotała w blasku pochodni.

- Ludzie trzydziestego siódmego wieku – zaczął, przekrzykując odgłos burzy. – Oddajcie cześć waszemu nowemu mistrzowi, Wszchemogącemu Atrusowi.

Przełamując wewnętrzny opór, Atrus zszedł po schodach i stanął obok ojca. Jego płaszcz i aureola bardzo przypominały te, które włożył Geln, z tą różnicą, że płaszcz chłopca był czerwony. Tkanina lśniła przejrzystością, jakby uszyto ją z miliona maleńkich rubinów.

Zdjęci lękliwie ludzie dotknęli czołami ziemi, mrużąc słowa, które akolita kazał im wcześniej przygotować.

- Wszchemogący Atrus jest naszym mistrzem. Błogosławi nas swoją obecnością.

Geln rozpromienił się, po czym zawołał do dwóch ludzi, którzy jeszcze nie wyszli ze świątyni:

- Wystąp, orszaku!

Powoli, z wielkim namaszczeniem, dwaj pomocnicy wybrani spośród rybaków wyszli ze świątyni. Nieśli na atłasowej poduszce olśniewający wisior z drogocennych metali, czerwonych kamieni szlachetnych i delikatnej porcelany.

Koena podszedł do dwóch mężczyzn i przesunął dłońmi po wisiorze, w geście błogosławieństwa, który wcześniej pokazał mu Gehn. Potem cofnął się i spojrzał na Atrusa, który odwrócił się do niego twarzą.

- Oto Wszchemmogący Atrus! – zawołał Gehn, a jego głos poniósł się echem po czarnym, pustym jeziorze.

Kiedy Koena podniósł wisior i założył go Atrusowi na szyję tak, by nie stracić aureoli, Gehn wskazał na niebo.

Rozległ się grzmot i przez niebo przebiegła błyskawica. Atrus zauważył, że na twarzy ojca pojawił się wyraz zdziwienia. Zdarzenie to musiało być czystym zbiegiem okoliczności. Jednak w tej samej chwili twarz Gehna uległa zmianie. Spojrzał dumnie na tłum, a w jego oczach zapłonęła niepoohamowana inteligencja.

- Oto deszcz!

Wtedy, jak gdyby istotnie na jego rozkaz, niebiosa się otworzyły i ulewa runęła z taką siłą, że każda kropla zdawała się odbijać od ziemi.

Ziemia zadrżała.

Atrus patrzył zdumiony na zbocze, gdzie dwieście twarzy zwracało się ku górze z lękiem, a cenna woda lała się na nich litą ścianą.

Koena spojrzał na mistrza, jak gdyby chciał spytać, czy ma kontynuować, ale Gehn wydawał się nie zrażony ulewą. Można było odnieść wrażenie, że ją zaplanował.

- Służebnica... Gdzie jest służebnica?

Koena odwrócił się i wskazał na Salar, która ścisnęła w dłoniach wieniec z kwiatów, identyczny z tym, który wieśniacy wręczyli Gehnowi i Atrusowi, kiedy po raz pierwszy przybyli do wieku. Jednak Salar nie mogła się ruszyć. Stała jak skamieniała, wpatrując się w niebo przerażonym wzrokiem.

Gehn zszedł po schodach, chwycił dziewczynę za ramię i zaczął ją ciągnąć po błotnistym zboczu do syczących pochodni i świątyni.

Zdjęty odrazą z powodu sposobu, w jaki ojciec obszedł się z dziewczyną, Atrus wystąpił do przodu.

- Ojcze, puść ją!

Gehn zbliżył się do syna i spojrzał na niego tak srogo, że Atrus musiał spuścić wzrok. Wtedy ojciec rzucił dziewczynę pod jego nogi.

- Wieniec! – warknął! – Wręcz Wszechmogącemu Atrusowi wieniec!

Atrus pragnął podnieść dziewczynę z ziemi, ale ojciec przykuł go wzrokiem do miejsca.

Deszcze padał nieprzerwanie.

Salar powoli uklękał. Wieniec, który wciąż trzymała luźno w jednej dłoni, był poplamiony błotem i podarty w kilku miejscach. Dziewczyna podniosła przestraszone, załzawione oczy.

- Wszechmogący Atrusie... - zaczęła, ale burza zagłuszyła jej głos.

- Głośniej, dziewczyno! – ryknął Gehn. – Chcemy cię słyszeć!

- Wszechmogący Atrusie... - zaczęła znowu, walcząc z drzeniem głosu.

Niebo rozjaśniła błyskawica, rozległ się potężny grzmot. Młoda dziewczyna krzyknęła i upuściła wieniec.

- Na Keratha! – krzyknął niecierpliwie Gehn, potem oparł but na ramieniu dziewczyny, odepchnął ją na bok i schylił się po zniszczony wieniec. Przyglądał mu się przez chwilę, po czym odrzucił go z grymasem obrzydzenia.

- Każ im się rozejść – powiedział do Koena. – Ceremonia jest skończona!

Koena jednak nie słuchał. Patrzył na jezioro, gdzie cenna woda spływała w szczeliny. Deszcz padał i padał, ale nadaremnie. Musiałby padać przez tysiąc lat, żeby wypełnić jezioro, ponieważ jezioro spłynęło do morza, morze do oceanu, a ocean... ocean znajdował się teraz o sto lub więcej metrów poniżej wielkiego występu skalnego, który niegdyś stanowiło dno morskie.

- Mistrzu, musisz na uratować! – zawołał Koena do Gehna. – Błagam cię, mistrzu!

Ale Gehn, który zobaczył to samo co Koena, odwrócił się na pięcie. Odrzucił koronę, rozpiął płaszcz pod szyją, pozwalając mu osunąć się na ziemię, wszedł do namiotu, skąd wyłonił się po chwili z plecakiem, do którego szybko wsunął fajkę.

- Chodź – powiedział do Atrusa, przyzywając go ruchem ręki. – Ceremonia jest skończona.

Atrus wpatrywał się w niego przez chwilę, wreszcie odrzucił wisior i pobiegł za Gehnem. Złapał go za ramię, obrócił i krzyknął mu prosto w twarz:

- Musimy wrócić i wprowadzić zmiany! Teraz, póki nie jest za późno!

- Za późno? Już jest za późno! Spójrz na ten wiek! Mówiłem, że jest niestabilny!

- Nie! – zawołał Atrus z desperacją. – Możesz go zmienić. Możesz wymazać zmiany, które naniósłeś, i wszystko naprawić. Sam mówiłeś, że możesz to zrobić. W końcu jesteś bogiem, prawda?

Wydawało się, że ten ostatni argument trafił Gehnowi do przekonania. Skinął nieznacznie głową, po czym wyminął syna, przebiegł przez most i zaczął się wspinać po mokrym zboczu w stronę jaskini. Atrus pospieszył za ojcem.

15

Od godziny Gehn siedział za biurkiem w milczeniu, głuchy na błagania Atrusa; wpatrywał się w dal pustym wzrokiem i ssał fajkę.

- Musisz coś zrobić – nalegał Artus. – Musisz! Oni tam giną!

Nic. Ojcu nie drgnęła nawet brew.

Atrus skrzywił się z bólu, wyobrażając sobie cierpienia mieszkańców wieku trzydziestego siódmego. Próbował nie myśleć o starej kobiecie i dziewczynie, ale okazało się to niemożliwe.

Spojrzał na Gehna. Po raz pierwszy dostrzegł ten rys charakteru ojca: jego brak zdecydowania, tę ohydłą obojętność.

- Czy nie pomożesz im, ojczy? Nie pomożesz?

Cisza.

W chłopcu nastąpiła nagła przemiana. Podszedł do biurka i sięgnął po książkę.

- Jeżeli tego nie zrobisz, to pozwól mi...

Gehn ścisnął rękę Atrusa jak w imadle i spojrzał mu surowo w oczy.

- Ty?

Było to pierwsze słowo, jakie Gehn wymówił od bardzo, bardzo dawna.

Atrus wyswobodził rękę.

- Oni tam umierają – powtórzył chyba po raz tysięczny. – Musimy im pomóc.

Możemy wprowadzić zmiany.

- Zmiany? – zaśmiał się ponuro Gehn.

- Naprawić szkody.

Gehn patrzył mu przez chwilę w oczy, po czym odwrócił wzrok.

Oczami wyobraźni Atrus zobaczył znowu, jak woda spływa z potężnej płyty skalnej, która podnosi się na poduszce rozżarzonej do czerwoności lawy.

- A więc o to chodzi? – spytał Atrus, patrząc groźnie na ojca. – Nie potrafisz tego naprawić?

Gehn wyprostował się i spojrzał na syna, a w jego oczach pojawił się ślad dawnej arogancji.

- Czy ja coś takiego powiedziałem?

Patrzył na Atrusa jeszcze przez chwilę, potem otworzył księgę wieku trzydziestego siódmego, zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął wykreślać końcowe fragmenty książki za pomocą symbolu przeczenia.

- Proszę – powiedział oddając księgę Atrusowi. – Naprawiłem szkody.

Atrus wpatrywał się w księgę oniemiały.

- Chcesz się przekonać osobiście? – spytał Gehn.

- Mogę? – zapytał trwożliwie Atrus.

- Chyba tego właśnie chciałeś, prawda?

Atrus skinął głową.

- W takim razie, idź. Postaraj się jednak zbyt długo nie zabawić. Już i tak straciłem za dużo czasu na tych niewdzięczników!

Powietrze w jaskini było wilgotne, ale nie bardziej niż podczas poprzednich wizyt. Zniknęła ohydna woń siarki. Sama normalność otoczenia podniosła Atrusa na duchu.

Proszę – usłyszał głos ojca, wręczającego mu księgę – naprawiłem szkody.

Zaraz się przekona.

Atrus wypęłzył z jaskini, stanął na głazie ponad zboczem i wciągnął w płuca czyste, słodkie powietrze.

To była prawda! Gehn naprawił szkody. W jeziorze była woda, a zbocza porastała bujna trawa. Słyszał śpiew ptaków i szmer wiatru w pobliskich drzewach. Leżąca w dole wioska sprawiała wrażenie spokojnej. Wyspiarze krzatali się wokół codziennych spraw.

Atrus zaśmiał się i zeskoczył z głazu. Pragnął zapytać Salar, co dokładnie się tu wydarzyło pod jego nieobecność. Ominął wzniesienie i stanął jak wryty, zbity z tropu widokiem, jaki się przed nim rozpościerał.

Pobiegł na szczyt wzgórza i dysząc spojrział na port. Kutry stały zacumowane w ścisłym półkolu, tak jak przedtem, most także był na swoim miejscu... ale poza nim?

Atrus wstrzymał oddech; jego teoria się potwierdziła. Dom modlitwy zniknął, podobnie jak namiot, a na ich miejscu pojawiło się skupisko chat, podobnych do tych po bliższej stronie mostu.

Słyszając za sobą jakiś dźwięk, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Koena, zdziwiony, że kapłan ma na sobie zwykłe wiejskie ubranie.

- Koeno?

Mężczyzna spiął się i zacisnął dłoń na grubej drewnianej pałce. Na jego twarzy malował się strach.

- Co się stało? – spytał Atrus zdziwiony.

- *Usshua umma immuni?* – zapytał Koena z jawną wrogością.

Atrus zamrugnął zdezorientowany. Co to był za język? Nagle, pojmując, że grozi mu niebezpieczeństwo, podniósł dłonie na znak, że nie żywi wrogich zamiarów.

- To ja, Atrus. Nie poznajesz mnie, Koeno?

- *Usshua illila umawa?* – pytał przestraszony wyspiarz wymachując pałką.

Atrus potrząsnął głową. Co się tu działo? Dlaczego wszystko było takie odmienione? Instynktownie ruszył z powrotem do jaskini, ale po chwili stanął w obawie, że nie znajdzie tam książki łączącej. Niespokojnie pomacał kieszeń i rozluźnił się. Książka łącząca była na miejscu.

Koena wciąż mu się przyglądał, mrużąc oczy. Rzecz jasna, nie było to Koena, a przynajmniej nie Koena, którego znał, ponieważ Gehn nigdy nie odwiedził tego miejsca, by uczynić go swoim akolitą. Mnie też tu nigdy nie było – pomyślał Atrus. To nie był trzydziesty siódmy wiek, przynajmniej nie ten sam wiek, który ojciec stworzył i w którym Atrus żył. Był to zupełnie inny świat. Z jednej strony przeraźliwie podobny do tamtego, a z drugiej całkowicie odmienny.

Poczuł zawrót głowy, jak gdyby ziemia usunęła mu się spod nóg. Znajduję się w zupełnie innym wszechświecie, w innym wieku, który ojciec powołał do życia w wyniku manipulacji.

Był to wiek, w którym Atrus znał wszystkich, a jego nie znał nikt. Skinął głową, pojmując, co się wydarzyło. Skreślenia, jakie ojciec naniósł w księdze, sprowadziły ich w dół pnia wielkiego drzewa możliwości i skierowały na zupełnie inną gałąź.

Atrus po raz ostatni rzucił okiem na wiek. Wiedząc, że nie jest tu osobą pożądaną, odwrócił się i pobiegł z powrotem do jaskini, aby zniknąć wraz z książką łączącą.

Pod nieobecność Atrusa Gehn rozpałił ogień i osunął się na krzesło przy kominku. Tam znalazł go Atrus. Fajka leżała obok na podłodze, a Gehn siedział w odrętwieniu, z otwartymi ustami.

Nie spał, a jeśli tak, to był to niespokojny sen, ponieważ poruszał powiekami, od czasu do czasu mamrotał i wydawał cichy jęk.

Na jego widok Atrus ogarnął gniew. Poczł się zdradzony. Gehn obiecał mu, że naprawi wiek, ale tego nie zrobił. Tamten świat, prawdziwy trzydziesty siódmy wiek, uległ zniszczeniu, a w każdym razie połączenie z nim. Winę za to wszystko ponosił Gehn, ponieważ nie rozumiał, co właściwie robi. Atrus stanął nad ojcem, czując wobec niego przemożną pogardę.

- Obudź się! – krzyknął potrząsając Genem. – Muszę z tobą pomówić!

Przez chwilę sądził, że nie zdołał go obudzić, kiedy jednak zamierzał znowu nim potrząsnąć, Gehn odepchnął jego dłoń.

- Zostaw mnie w spokoju – burknął. – Wracaj do swego pokoju, chłopcze, i daj mi spokój!

- Nie! – odparł z uporem Atrus. – Nie odejdę, dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy.

Lewa powieka Gehna uniosła się nieznacznie, w kątku ust pojawił się szyderczy uśmieszek.

- Wyjaśnimy?

- Musimy porozmawiać – powiedział Atrus postanawiając, że tym razem nie pozwoli się zagadać ani zbyć.

- Porozmawiać? O czym niby mielibyśmy rozmawiać, ty i ja?

- Chcę porozmawiać o sztuce. O tym, czym naprawdę jest sztuka.

Gehn przyglądał mu się przez chwilę pogardliwie, potem wyprostował się na krześle i sięgnął po fajkę.

- Idź się przespać, chłopcze, i przestań gadać bzdury. Co ty wiesz o sztuce?

- Wiem dostatecznie dużo, by mieć pewność, że się mylisz, ojczce. Twoje światy są niestabilne, ponieważ nigdy nie rozumiałeś, co właściwie robisz!

Atrus tylko domyślał się, że większość światów ojca była niestabilna, ale tą uwagą najwyraźniej trafił w sedno, ponieważ Gehn pochylił się do przodu i zbladł jak płótno.

- Mylisz się! – syknął Gehn. – Jesteś tylko chłopcem. Co ty wiesz?

- Wiem, że nie pojmujesz całości!

Gehn ryknął z rozbawienia.

- A ty uważasz, że znasz wszystkie odpowiedzi, co chłopcze?

Atrus nachylił się nad stołem, postanawiając, że zbije ojca z pantafelku.

- Znam niektóre z nich, ale nie są to odpowiedzi, które chciałbyś usłyszeć. Wolisz nadal postępować tak jak dotychczas: błąkać się po omacku po wiekach, przepisywać ten zwrot z jednej książki, tamtej z innej, z nadzieją, że w ten sposób przypadkiem natrafisz na prawdę.

Podczas gdy mówił, Gehn zacisnął dłonie na poręczach krzesła. Teraz zerwał się i wybuchnął. Atrus zatoczył się w tył, a Gehn zaczął mu wrzeszczeć prosto w twarz.

- Jak śmiesz mnie krytykować?! Mnie, który nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz! Którego sprowadziłem cię tu z tej zapomnianej przez Boga dziury w ziemi i dałem ci wykształcenie! Jak śmiesz nawet myśleć, że znasz wszystkie odpowiedzi?!

Trącił Atrusa w pierś.

- Od jak dawna się tym zajmujesz, chłopcze? Od trzech lat? Trzech i pół? A od jak dawna ja studiuję sztukę? Od trzydziestu lat! Od czwartego roku życia. – Gehn prychnął zdegustowany. – Myślisz, że skoro udało ci się stworzyć jeden marny wiek, to znaczy, że wiesz już wszystko, ale mylisz się chłopcze! Nie znasz nawet podstaw. Proszę...

Gehn odwrócił się i podszedł do biurka. Ku swemu przerażeniu Atrus ujrzał, że ojciec podnosi jego książkę i otwiera ją. Przez chwilę czytał po cichu.

- Ten zwrot... zobacz, ile w nim niepotrzebnych ozdobników... tak pisze nowicjusz. Tym słowem brak siły, brak oszczędności wyrazu. – Zanurzył pióro w kałamarzu.

Atrus patrzył w przerażeniu, wiedząc, co zaraz nastąpi, a mimo to nie wierząc, że ojciec ośmielił się ingerować w jego wiek.

Jednak Gehn nie zwracał na niego uwagi. Usiadł za biurkiem, przyciągnął do siebie książkę i zaczął eliminować poszczególne symbole za pomocą znaku przeczenia. Upraszczał zwroty, których cyzelowanie zajęło Atrusowi tyle czasu, a które – wiedział to ze starodawnych tekstów D'ni – w doskonały sposób opisywały rzeczy, które chciał umieścić w swoim świecie.

- Proszę... - błagał Atrus. – Te wszystkie słowa mają swój powód. One muszą tu być!

- W której książce to znalazłeś? – spytał Gehn, wykreślając kolejny zwrot. – Tę bzdurę o niebieskich kwiatkach?

- To nie było w książce...

- Śmieszne! – prychnął Gehn, ledwo kryjąc pogardę. – To po prostu frywolne bzdety! Tu jest stanowczo za dużo kwiecistych szczegółów!

To powiedziawszy, Gehn wykreślił cały fragment dotyczący kwiatów.

- Nie! – krzyknął Atrus robiąc krok w stronę biurka.

Gehn spiorunował go wzrokiem.

- Milcz chłopcze i pozwól mi się skoncentrować! – powiedział surowo.

Atrus opuścił głowę i jęknął, ale Gehn najwyraźniej nie zwracał uwagi na ból syna. Przewrócił stronę i zaśmiał się cicho, jak gdyby znalazł coś tak głupiego i komicznego, że zasługiwało jedynie na pogardę.

- A to... - powiedział, ponownie zanurzył pióro w kałamarzu i wykreślił kolejny, starannie wykaligrafowany znak. – To na nic, chłopcze. Ten opis... jest zbędny!

- Proszę... - szepnął Atrus, podchodząc do ojca. – Zostaw tę książkę. Ojczy, błagam...

Ale Gehna nic nie mogło powstrzymać.

- O nie, to także na nic się nie przyda. To musi zniknąć. Przecież...

Gehn podniósł nagle wzrok, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Rozumiesz mnie teraz?

- Ojczy? – spytał Atrus, z trudem przelękając ślinę.

Oczy Gehna patrzyły zimno, tak zimno jak nigdy dotąd.

- Jedną rzecz musisz zrozumieć, Atrusie, a mianowicie to, że nie rozumiesz.

W każdym razie jeszcze nie. Nie znasz odpowiedzi. Możesz uważać, że znasz, ale się mylisz. Nie zgłębisz tajemnic D'ni w ciągu jednej nocy. To jest po prostu niemożliwe.

Atrus zamilkł pod srogim wzrokiem ojca.

Gehn westchnął i ciągnął dalej:

- Źle cię oceniłem, Atrusie, prawda? Masz coś z babki... pewną krnąbrność.

Lubisz się wtrącać w nie swoje sprawy.

Atrus chciał coś powiedzieć, ale Gehn powstrzymał go ruchem ręki.

- Pozwól mi skończyć!

Atrus przełknął ślinę i powiedział to, co zamierzał, nie zważając, czy rozgniewa Gehna czy nie.

- Mówiłeś, że naprawiłeś trzydziesty siódmy wiek.

- Owszem – odparł z uśmiechem Gehn.

Atrus potrząsnął głową.

- Tak...? – Gehn spokojnie napotkał jego wzrok.

- Chodzi mi o to, że nie jest już ten sam. Och, jezioro jest takie samo i wieś, nawet wygląd ludzi. Ale wszystko się zmieniło. Ludzie mnie nie znają.

- Naprawiłem ten wiek – powtórzył Gehn, kręcąc głową.

- Ale moi przyjaciele, Salar, Koena...

Gehn wpatrywał się przez chwilę w okładkę książki, potem podniósł ją i odwrócił się do kominka.

Atrus zrobił krok w stronę ojca.

- Pozwól mi naprawić ten wiek. Pozwól mi pomóc tym ludziom.

Gehn rzucił mu pogardliwe spojrzenie, po czym uczynił kolejny krok w stronę kominka.

- Ojczy?

Pod prawym okiem Gehna drgnął mięsień.

- Ta książka jest wadliwa.

- Nie! – Atrus chciał rzucić się i powstrzymać ojca, w razie potrzeby wyrwać mu książkę, ale dzieliło ich biurko. Zresztą było już za późno. Gehn wrzucił książkę do ognia i patrzył, jak stroniczki trzaskają, powoli zwijają się na krawędziach, czernieją; znaki płoną i rozsypują się popiół, w nicłość.

Atrus patrzył w ogień przerażony. Za późno. Most pomiędzy światami został zniszczony.

W niebieskim świetle lampy wszystkie sprzęty w cichej komnacie sprawiały wrażenie pokrytych lodem – każde krzesło i kredens, masywne drewniane łóżko, biurko. Dla kontrastu, cienie były czarne, ale nie po prostu czarne. Była to intensywna, pusta czerń nieistnienia.

Niewprawnemu oku mogło się wydać, że nic w tym pokoju nie było rzeczywiste, że każdy przedmiot, uwięziony w tym zimnym, nieczułym blasku, był niematerialnym wytworem jakiegoś mrocznego, złośliwego bóstwa, które pod wpływem kaprysu mogło wydrzeć strony z książki, w której to wszystko było napisane, po czym, z boską obojętnością, skazać na wygnanie do strefy cienia.

Tak, bóstwo mogło wygnać wszystko z wyjątkiem młodzieńca, który siedział na krześle pośrodku pokoju, a światło odbijało się na jego bladej, smutnej twarzy.

Atrus wrócił powoli do siebie i rozejrzył się wokół. Ostatnie kilka godzin wypełniała pustka; nie miał pojęcia, gdzie przebywał i co robił. Wiedział tylko, że oto znowu siedział w swoim pokoju, przy świetle lampy, a na biurku leżał otwarty dziennik. Spojrzył na słowa, które napisał po lewej stronie.

„Mój ojciec jest szalony”.

Zadrżał. Nie mógł uwierzyć, że ojciec to zrobił. Jednak wspomnienie wyrzyło się w jego umyśle. Kiedy zamykał oczy, widział, jak strony powoli się zwęgłają, płomień podnosi delikatnie każdą z nich, jak gdyby ogień czytał słowa przed pochłonięciem ich na zawsze.

Chyba, że to wspomnienie jest nieprawdziwe, a ja sam jestem jednym z „tworów” ojca...

Wiedział jednak ponad wszelką wątpliwość, że tak nie było. Doświadczenie, jakie stało się jego udziałem w trzydziestym siódmym wieku, dowiodło tego dobitnie. Gehn nie było bogiem. Nie. Był tylko człowiekiem, słabym i głupim człowiekiem, nieodpowiedzialnym i próżnym. Przy całej tej gadaninie o przywróceniu świetności D'ni zapomniał, co czyniło mieszkańców D'ni tak niezwykłymi. Co sprawiło, że ich imperium przetrwało tyle lat. Nie zawdzięczali tego swojej potędze ani faktowi, że kiedyś rządzą milionem światów. Przyczyna leżała w ich opanowaniu, w ich zdumiewającej pokorze.

Gehn twierdził, że on, Atrus nic nie wiedział, ale mylił się. Atrus czytał historię D'ni i dowiedział się o długiej walce starszyny D'ni o stłumienie barbarzyńskiej strony własnej natury, o zaszczepienie w ludziach takich cnót, jak cierpliwość, oddanie i pokora. Udawało im się to przez blisko sześćdziesiąt tysięcy lat. Aż do czasów Veovisa.

Cóż miał więc teraz uczynić? Jakie miał możliwości? Czy powinien wrócić do Anny i rozpadliny? A może należało znaleźć jakąś kryjówkę w mieście?

Tak czy inaczej, odczuwał niepokój. W ciągu minionego roku znacznie urósł, niemal dorównywał fizycznie ojcu, ale Gehn nadal napełniał go lękiem.

Jednak musiał to zrobić. Nie mógł tak po prostu uciec z podkulonym ogonem. Gdyby tak postąpił, na zawsze pozostałby w cieniu ojca.

Poszedł na górę, zbrojąc się przed gniewem ojca, przed tym szyderczym śmiechem, który sprawiał, że znowu czuł się małym chłopcem.

Nie był już jednak chłopcem. Wiek chłopięcy zostawił za sobą. Postanowił, że zmusi Gehna do uznania tego faktu przynajmniej raz, zanim opuści jego dom.

Atrus stanął w drzwiach, zdziwiony, że pokój był tak słabo oświetlony. Ogień w kominku zgasł, lampa na biurku ledwo się paliła. Nigdzie ani śladu Gehna.

Odwrócił się, zdjął lampę znad schodów i wszedł do gabinetu.

Książki walały się wszędzie, jak gdyby porzrzucone w napadzie szału. A biurko...

Atrus postawił lampę i zaczął gorączkowo przeszukiwać książki na biurku, ale nigdzie nie mógł znaleźć swojej. Odwrócił się i spojrzał niespokojnie na kominek obawiając się najgorszego. O mały włos nie potknął się o ojca.

Gehn leżał na podłodze za biurkiem. Był tak nieruchomy, że Atrus sądził przez chwilę, że umarł. Nagle zauważył nieznaczny ruch prawej dłoni Gehna i zrozumiał, że to nie była śmierć, ale jej imitacja, swego rodzaju letarg spowodowany nadmiernym upodobaniem do fajki.

Sama fajka leżała z boku, a ognista kulka żarzyła się słabo w cybuchu. Atrus kucnął, podniósł ją, powąchał i zmarszczył nos z niesmakiem.

Już miał wyjść, kiedy tuż obok wyciągniętej ręki ojca dostrzegł notes w brązowej skórzanej oprawie, do którego Gehn miał zwyczaj zaglądać. Przez sekundę czy dwie wahał się, ale ciekawość wzięła górę, więc chwycił notes i podniósł do światła.

Wziął głęboki, uspokajający wdech, otworzył notes na pierwszej stronie i przeczytał:

KSIĘGA ATRUSA...

Zmarszczył czoło. To był z pewnością jakiś błąd. Tytuł miał brzmieć... Nagle zrozumiał. Nie chodziło o niego. Pismo nie było jego ani też Gehna. Notes należał do jego dziadka. Nie Atrusa, syna Gehna, ale Atrusa, ojca Gehna.

Przez chwilę czytał dalej, ale nagle oderwał wzrok od notesu. Zrozumiał, że ostatnia więź łącząca go z ojcem została przerwana. Powoli usiadł na krześle Gehna, pokiwał głową i zaśmiał się gorzko.

Oto podziwiał ojca, wyniósł go niemal na piedestał za jego odwagę, za cierpliwość, z jaką wyszukiwał drogę prowadzącą przez ciemne tunele z powrotem do D'ni. A przez cały ten czas droga była wyraźnie wyznaczona w notesie dziadka. To nie Gehn podjął ryzyko, ale ojciec Gehna.

Atrus zamknął notes, odepchnął go, potem odwrócił się i spojrzał na postać rozciągniętą na podłodze u jego stóp.

- Dlaczego nie byłeś takim ojcem, jakiego pragnąłem? – zapytał cicho, przeszyty bólem rozczarowania. – Dlaczego musiałeś być takim... małym człowiekiem?

Gehn jęknął i poruszył się nieznacznie, ale się nie zbudził.

Atrus oparł się na krzesło; z piersi wyrwało mu się długie westchnienie. Jeszcze przez chwilę przyglądał się rozciągniętej postaci Gehna, potem przeniósł wzrok na lampę i ponownie przysunął do siebie notes.

16

Gehn obudził się z migreną, a ciało bolało go w tylu miejscach, że przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie stracił przytomności i nie upadł. Nie byłby to pierwszy raz. Jednak po raz pierwszy tak sobie pofolgował w trakcie pobytu Atrusa na K'veer. Przeklął się za to, że nie zamknął drzwi, zanim zapalił drugą fajkę.

Wstał jęcząc cicho. Owszem, był obolały, ale nic nie złamał.

- Nic się nie stało – powiedział idąc do drzwi. Oparłszy się o ścianę na półpiętrze, spojrzał w dół schodów mrużąc obolałe, zwężone oczy.

- Atrusie? Gdzie jesteś, Atrusie?

Jednak biblioteka świeciła pustkami. Zszedł na dół, przeszedł przez pustą komnatę, nagle ogarnięty złym przeczuciem.

Coś się stało. Coś...

Stanął, przypominając sobie wydarzenia minionego wieczoru. Chłopiec. Pokłócił się z chłopcem.

Szybkim krokiem przemierzył otwartą przestrzeń między biblioteką a górnym poziomem, otworzył drzwi, przebiegł przez ciemną komnatę, aż zatrzymał się przed ocienioną wnęką w głębi.

- Atrusie? – Odczekał chwilę, po czym zawołał znowu: - Atrusie?

Cisza. Wielka posiadłość była pusta.

Może chłopiec śpi...

Zbiegł na dół i wpadł do pokoju syna bez pukania.

- Atrusie?

Łóżko było puste. Odwrócił się, spojrzał na wielką rzeźbioną szafę w kącie, podszedł i otworzył. Nie. Nie było tam Atrusa, ani żadnej z jego rzeczy.

Gehn zamrugął z niedowierzaniem.

Popędził z powrotem do gabinetu i przeszukał zagracone biurko, ale notes zniknął. Z drugiej szuflady po prawej wyjął metalową skrzynkę, położył na biurku, a następnie otworzył kluczem z pęku, który nosił na szyi.

Wyjął z pudełka pojedynczą kartkę, złożył na pół i krzyknął w dół nie oświetlonych schodów:

- Rijusie! Rijusie! Gdzie się podziewasz, człowieku?

Nie czekając na niemowę, Gehn zbiegł na dół. Na ostatnim zakręcie schodów zwolnił, a potem stanął. Potwierdziły się jego podejrzenia: przystań była pusta, łódź zniknęła.

Gehn oparł się o kamienny mur pozwalając, by głowa opadła mu do przodu.

- Do diabła z tym chłopakiem! Do diabła z jego niewdzięcznością!

Gehn podniósł głowę, bo pulsujący ból w skroniach sprawił, że na chwilę zawirowało mu przed oczami. Kiedy przyszedł do siebie, zobaczył, że Rijus stał na zakręcie schodów tuż ponad nim.

- Chłopiec uciekł – powiedział Gehn. Zabrał łódź. Musimy go dogonić.

Osilek-niemowa wahał się przez chwilę chłonąc słowa pana. Potem zszedł po schodach, minął Gehna i zniknął w jaskini. Tam, w cieniu pod ścianą, piętrzyła się sterta pudeł. Rijus odsunął je, odsłaniając stare, nie pomalowane drzwi. Rozejrzał się, po czym zdjął ze ściany stary hak do łodzi. Umieściwszy hak pod drzwiami, naprał na niego całym ciałem. Drzwi trzasnęły i ustąpiły.

Gehn wstał i podszedł do wnęki.

W wilgotnej ciemności Rijus zdejmował z czegoś stary płócienny pokrowiec. Gehn zamrugał z niedowierzaniem. To była starodawna łódź D'ni.

Skąd wiedziałeś? – myślał, patrząc na niemowę.

Ignorując pulsujący ból głowy, Gehn wszedł do środka i pomógł Rijusowi wyciągnąć starodawną łódź na przystań.

Była dziwnie długa i elegancka, bardziej przypominała kanoe niż tratwę. Kiedy jej dotknął, stwierdził, że wykonano ją z trwałego, ale zdumiewająco lekkiego kamienia.

Gehn potrząsnął głową, zdumiony faktem, że nigdy nawet nie podejrzewał istnienia tej łodzi. Zastanawiał się, o ilu jeszcze rzeczach w posiadłości nie wiedział.

Patrzył, jak Rijus przywiązuje liny, po czym ściąga starodawną łódź na wodę za pomocą kołowrotu.

Atrus podniósł lampę, studiował stronę jeszcze przez chwilę, potem zamknął notes i schował do kieszeni tuniki.

W lewo, na następnym rozwidleniu musi skręcić w lewo. Stamtąd wąski tunel prowadził do małej romboidalnej groty, z niską półką skalną po prawej, w głębi której znajdował się szereg wapiennych progów wiodących na schody.

Z podniesioną lampą szedł dalej lekko zakręcającym tunelem, słysząc odgłos własnych kroków.

Ileż to już razy stawał i nasłuchiwał, pewien, że jest ścigany? Ileś razy słyszał tylko ciszę otaczających go skał?

Nagle tunel rozszerzył się, wbiegając pod żebrowane sklepienie skalne, gdzie rozwidlał się na dwa tunele. Przynajmniej to zgadzało się z diagramem w notesie. Atrus skręcił w lewo i przyspieszył kroku. Serce znowu łomotało mu w piersiach.

Jeżeli dotrze do romboidalnej groty, odpocznie trochę i złapie oddech.

A jeśli nie?

Już dwukrotnie musiał wracać po własnych śladach, ale tym razem oznaczałoby to długą, mozolną drogę powrotną do tuneli, na co nie miał najmniejszej ochoty.

Kłopot polegał na tym, że tu na dole miało się za dużo czasu na myślenie. Gdyby tylko mógł iść bezmyślnie, jak automat, wszystko byłoby w porządku, on jednak wyobrażał sobie najróżniejsze rzeczy.

Najgorszy był widok rozpadliny, opuszczonej i zasypanej piachem.

Minęły blisko cztery lata, odkąd widział ją po raz ostatni. Cztery lata, odkąd słyszał głos Anny.

Usłyszał ją teraz.

Co widzisz, Atrusie?

Widzę skałę, babciu. I tunele. I ciemność. Wszędzie, gdzie spojrzę: ciemność.

Jej głos jednak nie powrócił. Słyszał tylko odgłos własnych kroków, który niósł się echem przed nim i za nim, wypełniając ciemność poza zasięgiem lampy.

Atrus ponownie zajrzał do notesu, przewrócił stronę, potem przewrócił ją z powrotem i zmarszczył brwi. Nagle drgnął; pomacał między stronami, wyczuł resztkę wydartej kartki i jęknął.

Powiódł wzrokiem wokół siebie, próbując sobie przypomnieć, którą drogą szedł przed laty. Czy zszedł w głąb jaskini, czy wspiął się do góry?

Błędny wybór oznaczał klęskę.

A gdyby wybrał właściwie?

Wówczas, sądząc po stronach w notesie, ten sam wybór czekał go jeszcze pięć, może sześć razy, zanim nabierze pewności, że wrócił na szlak. Zanim dotrze do bezpiecznego azylu następnej kartki.

Przełknął gorzką ślinę, zastanawiając się, kiedy ojciec wyrwał kartkę z notesu, po czym podniósł wzrok.

- A więc pomyślałeś sobie, że udasz się w podróż?

Atrus zamarł, odwrócił się powoli i stanął tuż przed ojcem. Natychmiast zauważył, że Gehn owinął buty materiałem.

- Pomyślałem, że nadszedł czas, żebym dotrzymał obietnicy, którą złożyłem babci.

- Obietnicy? – zaśmiał się posępnie Gehn. – A co z obietnicą daną mnie? Zresztą wydaje mi się, że masz coś, co do mnie należy, i zamierzam to odzyskać.

- W takim razie będziesz musiał mi to odebrać.

- Rozumiem. – Gehn zrobił półobrót i dał znak Rijusowi, który wyłonił się z cienia.

Na widok niemowy chłopiec pojął, że nie ma szans. Gdyby miał do czynienia tylko z ojcem, może by go przechytrył, ale siłę niemowy znał aż nazbyt dobrze. Widział na własne oczy, jak Rijus podnosił głazy – głazy, których Atrus nie mógł nawet ruszyć z miejsca – i odrzucał je z drogi.

Atrus podjął błyskawiczną decyzję. Wyjął z kieszeni notes, rzucił go wysoko w powietrze, odrzucił lampę, wspiał się na skałę jak małpa i zniknął w tunelu.

Usłyszał gniewny, pełen zawodu krzyk ojca i zrozumiał, że Gehn nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Gehn sądził, że Atrus ulegnie bez słowa, jak to czynił w przeszłości. Jednak przeszłość była przeszłością. Wiedział, że nie może zostać z tym człowiekiem, nawet gdyby miał zabłądzić w podziemnych otchłaniach.

Szedł szybko, macając prawą ręką ścianę tunelu. Nagle tunel urwał się. Atrus runął w dół, koziółkując, aż zatrzymał się gwałtownie uderzając o skałę.

Przez chwilę leżał oniemiały, wsłuchując się w okrzyki ojca.

- Atrusie! Atrusie! Wracaj tu, chłopcze!

Jęknął i usiadł. Przez chwilę mrugał w ciemności, próbując znaleźć właściwy kierunek, aż nagle dostrzegł w górze po prawej wyraźne światło lampy.

Musiał iść w ciemność.

Wstał i powlókł się dalej, oddalając się jak najszybciej od zbliżającego się światła.

Nagle doznał olśnienia. W cudowny sposób przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Zamknawszy oczy, widział to wyraźnie. Tuż przed nim ścieżka skręcała w prawo i wspinała się w górę. Wychodziła na szeroki stopień skalny, a za nim rozpościerała się wąska przepaść, której krawędzie spinał mały sznurowy mostek. Gdyby udało mu się do niego dotrzeć, mógł mieć szansę. Może zdołałby zniszczyć mostek i uniemożliwić im dalszy pościg.

Czując słaby powiew, Atrus stanął i odwrócił się. Po omacku znalazł wejście. Zgodnie z jego przewidywaniem, tunel piął się stromo w górę, musiał więc wspinać się na czworakach z opuszczoną głową. W oddali dostrzegł słabe światło, a kiedy wypęłzył z tunelu, zobaczył, że znajduje się dokładnie tam, gdzie chciał.

Tyle że stopień oświetlała stojąca z boku lampa, a dalej...

Atrus jęknął. Po raz kolejny ojciec go przechytrzył. Po raz kolejny Gehn śmiał się ostatni.

Mostek sznurowy zniknął, a ze skały sterczały cztery nagie metalowe sworznie.

Podszedł do krawędzi i spojrzał w przepaść. Była zbyt głęboka i szeroka na skok. Ale czy na pewno?

Atrus odwrócił się, słysząc hałas w głębi tunelu. Światło nasilało się z każdą sekundą. Lada moment go dogonią.

Odwrócił się i znowu spojrzał w przepaść. Teraz albo nigdy. Cofnął się, wziął głęboki wdech, rozpędził się i skoczył.

- Atrusie!

Uderzył piersią w krawędź skały, aż skurczył się z bólu. Zaczął się osuwać, ale zdążył uchwycić się jednego ze sworzni.

Okręcił się, uderzył ramieniem o skałę, czując, że ręka niemal wrywa mu się z barku. Siły opuszczały go; czuł, jak spocona dłoń powoli ześlizguje się po metalu.

W tym momencie przemknął nad nim jakiś cień. Usłyszał ciche stęknienie, a potem ktoś chwycił go za rękę i powoli zaczął wyciągać z przepaści.

Zdziwiony siłą uchwytu, Atrus podniósł głowę, spodziewając się ujrzeć Rijusa, ale napotkał wzrok Gehna, w którego bladych oczach płonął posępny gniew.

- Aaach, chłopcze! – powiedział, bezlitośnie wpijając palce w ciało Atrusa i cal po calu wyciągając go z otchłani. – Czy naprawdę sądziłeś, że zdołasz mnie przechytrzyć?

Po wyjściu ojca Atrus przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ocienione drzwi. Był jeszcze w szoku.

Wreszcie odwrócił się i spojrzał na biurko, stojące na środku wielkiego, wysokiego pokoju. Leżała tam księga piątego wieku.

Pułapka – pomyślał. – Liczy na to, że przejdę przez te drzwi. A kiedy to zrobię...

Ponownie usłyszał trzaśnięcie drzwiami, za którymi zamknął go ojciec.

Wyszedł spod wielkiego łuku, a różowe światło lampy nadawało jego twarzy pozornie zdrowy wygląd. Posadzka pokoju była wyłożona czarnymi i białymi kafłami – koła wpisane w kwadraty – a widniejąca na środku mozaika przedstawiała Ri'nerefa, najślawniejszego z wielkich mistrzów cechu. Jego okolona siwą brodą twarz patrzyła posępnie, niemal melancholijnie z oddali wieków.

Kamień, niegdyś wypolerowany i piękny, pokrywała teraz pajęczyna poczerniałych ze starości pęknięć.

Więzienie – pomyślał Atrus, domyślając się prawdziwego charakteru tego pomieszczenia.

Kamień, z którego zbudowano pokój, nie był czarnym kamieniem wulkanicznym, jaki występował w całym domu. Miał matowoszarą, metaliczną barwę, pokrywała go siatka misternych wzorów przypominająca koronkę; masywne sklepienie dachu podpierały potężne bulwiaste filary. Atrus widział ten sam gatunek kamienia w większości najbardziej wiekowych budowli w mieście i zdał sobie sprawę, że znajduje się przypuszczalnie w najstarszej części domu.

Ile może mieć lat? – zastanawiał się. – Dziesięć, dwadzieścia tysięcy? A może jeszcze więcej? Trudno było stwierdzić. D'ni budowali z myślą o wieczności, nie wiedząc, że ich dni są policzone.

W północnym koncie komnaty, pod masywnym łukiem, widniały zamknięte drzwi, a krwistoczerwone filary stały po obu stronach niczym strażnicy.

Przypomniawszy sobie, co ojciec mówił o słabości D'ni do tajemnych przejść, drzwi w ścianach i tuneli biegnących w skale, zaczął szukać.

Powoli, cierpliwie, posuwał się od łuku do łuku, starannie przeszukiwał obszerne alkowy, badając palcami każdy cal kamienia.

Strawił na tej czynności blisko dwie godziny i choć nie znalazł tajnych drzwi czy przejść, trud nie poszedł na marne. W podłodze w jednej z mrocznych wnęk znalazł, do połowy tkwiącą w nie wykończonym kamieniu, przecinarkę do kamieni z czasów D'ni. Duża, stara maszyna przypominała potężnego, przykulonego pająka i chociaż źródło napędu już dawno się wyczerpało, to jedno z ostrzy było jak nowe.

Przecinarka mocno tkwiła w skale. Atrus sądził, że będzie musiał ją tam zostawić, ale po półgodzinnym kołysaniu zdołał ją uwolnić.

Podniósł ciężką maszynę i pokiwał głową. Drzwi wykonano z litego metalu, więc próba wyważenia ich, nawet przecinarką, nie mogła się powieść. Gdyby jednak zdołał nadkruszyć skałę po obu stronach, może wcale nie musiałby ich wyważać.

Natychmiast zabrał się do pracy. Zdjął koszulę, owinął nią korpus przecinarki, klęknął w cieniu pod drzwiami i przypuścił atak na kamień w dole.

Nie widział dokładnie, co robi, ale po dziesięciu minutach przerwał, odłożył przecinarkę na bok i sprawdził palcami.

Nie było to zbyt duże wyżłobienie – właściwie zdołał odłupać tylko kilka odłamków twardego jak żelazo kamienia – ale nad tym małym, nierównym wgłębieniem kamień pękł.

Przesunął palcem wskazującym po szczelinie i uśmiechnął się szeroko. Miała ponad stopę długości.

Atrus odwrócił się i spojrzął na biurko. Stała tam lampa, a obok niej leżały ogniste kulki. Podbiegł do biurka, zabrał je i wrócił do drzwi. Postawiwszy lampę z boku, ponownie zabrał się do pracy, każdym ciosem poszerzając szczelinę w kamieniu.

Kilka pierwszych uderzeń niczego nie zmieniło. Wreszcie z głośnym trzaskiem szczelina znacznie się poszerzyła.

Atrus uśmiechnął się i ponownie uniósł przecinarkę z zamiarem powiększenia otworu, ale w tym momencie skała nad jego głową zaskrzypiała.

Podniósł wzrok. W świetle lampy spostrzegł, że dach pęka tuż nad jego głową. Posypał się deszcz odłamków skalnych, a szczeliny poszerzały się w mgnieniu oka.

Atrus chwycił lampę i odskoczył do tyłu. W samą porę, ponieważ dwa filary zapadły się do wewnątrz, a wielki fragment dachu runął z głośnym trzaskiem.

Atrus leżał na plecach w odległości około tuzina kroków od sterty kamieni. Unoszący się w powietrzu pył sprawił, że zaniósł się gwałtownym kaszlem. Kiedy pył powoli opadł, ujrzał, że drzwi zostały całkowicie zablokowane. Cofnął się i wstał, kichając i trąc oczy. Teraz się doigrał! Utknął tu na dobre!

Znowu zakaszłał i odsunął się jeszcze dalej od drzwi. Oczy zaszyły mu łzami.

Tak, był uwięziony, ale ta sytuacja miała jeden plus. Jeżeli on nie mógł wyjść, to znaczyło, że Gehn nie mógł wejść.

Atrus odwrócił się, spojrzał na księgę piątego wieku i ponownie spróbował ocenić sytuację.

Czego właściwie chciał Gehn? Dlaczego, jeżeli było to więzienie, podsunął mu sposób ucieczki – książkę? Dlaczego dostarczył mu pióro i atrament? I czemu zaopatrzył go w książkę łączącą, która umożliwiała mu powrót z piątego wieku do tego pokoju?

Pułapka – pomyślał znowu. Teraz jednak nie był już taki pewien. Może ojciec dał mu tę książkę po prostu po to, by Atrus nie umarł z głodu.

Zaintrygowany tą myślą, podszedł do biurka i spojrzał na księgę piątego wieku. Na samym środku okładki znajdował się okrągły metalowy medalion przymocowany do skóry pięcioma małąkami pinezkami. Nad porcelanową podstawą z wygrawerowanym misternym kwiecistym wzorem umieszczono metalowy przepołowiony kwadrat, oznaczający w języku D'ni cyfrę pięć.

Atrus otworzył książkę i spojrzał na stronę opisującą.

Z oddali wiek sprawiał wrażenie przyjemnego, spokojnego miejsca, gęsto zalesionej wyspy.

Tak, ale gdzie tkwi haczyk?

Musiał bowiem istnieć jakiś haczyk, co do tego Atrus nie miał już wątpliwości. Jeżeli nauczył się czegokolwiek tego dnia, to tego, że Gehn nigdy nie postępował bezinteresownie.

Uplłynęło wiele godzin, zanim wreszcie postanowił zapuścić się w piąty wiek Gehna. Zdecydował jednak, że najpierw przeczyta książkę, ponieważ jeśli to było więzienie, powinien przynajmniej wiedzieć, w jakim wieku spędzi resztę swoich dni.

Przez kilka godzin siedział, powoli przerzucając kartki; zwracał uwagę na wszystkie skazy, wszystkie ewentualne sprzeczności, jakie mogły wynikać ze stylu pisarskiego Gehna. Z całą jaskrawością widział na każdej stronie ograniczenia wizji ojca, niczym szpetny gobelin zszyty z kawałków pierwszorzędnego jedwabiu. Całe dzieło było krótkowzroczne i niespójne, a przy tym, paradoksalnie, całkiem zmyślne. Zdumiewające.

Ostatecznie jednak uwagę Atrusa przykuła jedna rzecz, pojedynczy element, który sprawił, że wstrzymał oddech i zapragnął go zobaczyć na własne oczy.

Drzewo.

Atrus oparł się na krześle, zdumiony elegancją, oszczędnością zwrotów D'ni opisujących drzewo. Potem nachylił się, przesunął palcem po znakach i poczuł, jak przenika go dreszcz czystej rozkoszy estetycznej.

Drzewo. Olbrzymie drzewo, którego gałęzie przebijały niebo!

Atrus uśmiechnął się do tej myśli i czytał dalej, zapamiętując szczegóły tego świata, umieszczając je w umyśle jak symbole na mapie.

A jeśli to istotnie pułapka?

Rozejrzał się po obszernej, ponurej komnacie. Nawet jeśli książka była pułapką, to przynajmniej znowu zobaczy słońce. Poczucie wiatr na skórze, deszcz na ramionach i twarzy, usłyszy słodki śpiew ptaków.

Przez chwilę patrzył w ziemię, z twarzą wykrzywioną bólem na wspomnienie Salar i starej kobiety. Przypomniał sobie, co się stało z ich światem.

Nigdy więcej – przysiągł sobie, podniósł książkę łączącą, po czym otworzył księgę piątego wieku na stronie opisującej.

Nie wahając się ani chwili dłużej, Atrus położył dłoń na ilustracji. Momentalnie poczuł, jak strona się rozrasta...

Znalazł się w gęstwinie wysokiej, kosmatej trawy, która rosła wokół dziwnie wybrzuszonego jeziora. Wpatrywał się w nie zafascynowany wypukłym lustrem wody. Nagle usłyszał głosy, więc błyskawicznie wspiał się na rzadko zadrzewione zbocze. Potem zbiegł wąską piaszczystą ścieżką pod nawis skalny i prosto na kamienistą plażę. Lazurowy ocean obmywał łagodnie brzeg, liżąc gładkie, stożkowate skały, które obrębiały plażę niczym zęby wielkiej zanurzonej w wodzie bestii.

Stanął, żeby zaczerpnąć tchu, wsłuchany w łagodny chłupot oceanu.

Odwrócił się, szukając bezpiecznej kryjówki dla książki łączącej. Niemal natychmiast jego wzrok padł na piaskowcową skarpe pod nawisem, pokrytą setką drobnych otworów.

Podszedł do skarpy i wybrał jeden z większych otworów, położonych znacznie powyżej poziomu przyływu. Rozejrzał się wokół i przekonany, że nikt go nie podgląda, wspiął się na skarpe, wsuwając stopy w otwory. Wcisnął się całym ciałem w wąską przestrzeń, przeczołgał się kawałek, położył książkę łączącą na suchym występie i docisnął kamieniem, żeby się nie wyślizgnęła.

Zadowolony, wycofał się, zeskoczył na piasek i wytarł dłonie o płaszcz.

Wcześniej zauważył stromą ścieżkę, która biegła wokół zatoki. Ruszył teraz w jej stronę, powoli przeciskając się przez głazy. Przez chwilę skrywał go cień, występ skalny zasłaniał mu niebo, ale potem ścieżka skręciła nieznacznie, w skale ukazał się rozstęp i Atrus wyszedł na pochyłą łąkę.

Wiał zdumiewająco silny wiatr. Porywiste podmuchy kładły wysokie źdźbła trawy i szarpały mu płaszcz. Atrus otulił się szczelniej i ruszył dalej z opuszczoną głową. Ujrawszy, jak cień kończy się tuż przed nim poszarpaną linią, podniósł wzrok.

Powoli, bardzo powoli, odwrócił się w prawo i otworzył usta ze zdumienia. Odchylił głowę, żeby ogarnąć je całe.

Drzewo.

Zdawało się spoczywać na skalnym cyplu. Korzenie, niczym filary olbrzymiej kamiennej świątyni, zbiegały po skarpie i przebijały kamienistą plażę; potężne sploty korzeni, jak śliskie grzbiety tuzina węży morskich, wyciągniętych w ocean.

Pień drzewa miał nie mniej monumentalne rozmiary. Nie był wprawdzie tak wysoki, jak Atrus sobie wyobrażał, ale sam jego obwód wystarczał, by czuł się przy nim nie tylko mały, ale po prostu pozbawiony znaczenia.

Jak sam czas – pomyślał Atrus powoli wspinając się wzrokiem po gałęziach. Nagle zdał sobie sprawę, że teraz łatwo mógłby zostać zauważony. Podbiegł więc do skały wznoszącej się na wprost niego.

W skale wykuto stopnie, które ginęły wśród drzew. W górze, na polanie zalanej światłem słońca sączącego się przez wierzchołki drzew, stała duża drewniana chata.

Atrus podszedł do chaty, a serce zabiło mu mocniej, ponieważ od razu ją rozpoznał. Przypominała dom modlitwy – świątynię Gehna – w trzydziestym siódmym wieku. Właściwie była identyczna.

Atrus domyślił się, w której części wyspy się znajduje. Ujrzał to w swym umyśle jak na mapie.

Zagłębił się w chłodnym wnętrzu, minął pomalowane drewniane słupy i znalazł się w pomieszczeniu urządzonym z najwyższym przepychem. Ściany zdobiły cudowne gobeliny, rzeźby i proporce na srebrnych tyczkach.

W głębi pomieszczenia stał masywny tron. Wyglądał tak, jakby został odlany z jednego kawałka lśniącego złota. Kiedy Atrus podszedł bliżej, stwierdził, że nie było to złoto, ale przepiękny płowy kamień, jakiego nigdy wcześniej nie widział, nawet w D'ni. Zatrzymał się na moment, żeby go zbadać. Przesunął palcami po gładkiej, chłodnej powierzchni poręczy, zastanawiając się, w jakiej starodawnej księdze Gehn znalazł wzór czy zwrot, który pozwolił mu stworzyć tak cudowny materiał.

Za tronem stał duży parawan z cytrynowego jedwabiu, na którym wyszyto sylwetkę człowieka. Wysoko sklepione czoło i okulary nie pozostawiały wątpliwości. To był Gehn.

Atrus pokiwał głową na widok tego dowodu obecności Gehna. W ilu jeszcze światach jego ojciec wznosił podobne świątynie? W ilu jeszcze wiekach ten człowiek był bogiem?

Wiedząc, co tu znajdzie – przypomniał to sobie wyraźnie z księgi piątego wieku – podszedł i zajrzał za parawan. W ciemnej wnęce dostrzegł wąskie schody prowadzące w dół.

Zszedł w ciemność.

Niskie drzwi, wykute niezgrabnie w skale, prowadziły do długiej, lecz wąskiej jaskini. Pamiętał z lektury, że ściany w głębi były pokryte tysiącami drobnych otworów, podobnych do tych, które znaczyły skarpe.

Jest tam! – uzmysłowił sobie, zaglądając w półmrok. – Tam leży książka łącząca Gehna!

Już miał się odwrócić, przejść przez świątynię i zbadać otaczający ją las, kiedy przypomniał sobie, że jaskinia dokądś prowadziła. Nie pamiętał dokąd – był to jeden z fragmentów księgi piątego wieku, w których styl Gehna stawał się niejasny. Przypominał sobie jednak wyraźnie, że miało to istotne znaczenie.

Ruszył dalej. Ciepłe, duszne powietrze sprawiało, że zaczął się pocić, lecz jaskinia bezsprzecznie dokądś prowadziła. Może sobie to tylko wyobrażał, ale wraz ze stałym ocieplaniem się powietrza w tunelu pojawiło się słabe niebieskie światło, dzięki któremu widział drogę na parę stóp przed sobą. Światło nasilało się. Wreszcie znalazł się w drugiej, mniejszej jaskini, wypełnionej tym samym migotliwym niebieskim blaskiem.

W drugiej jaskini panował niemiłosierny upał, para wznosiła się z wielkiego otworu wentylacyjnego w podłodze, ale Atrus patrzył w górę, na sklepienie. Nad jego głową rozpościerał się najbardziej zdumiewający widok, jaki można sobie wyobrazić. Pośrodku płaskiej szarej skały sklepienia widniał duży, mniej więcej okrągły otwór o średnicy ośmiu czy dziesięciu stóp. W otworze było podwieszane nad jaskinią jeziorko. Jego łagodnie migocząca powierzchnia znajdowała się na równym poziomie ze skałą. Obok stała metalowa drabina, prowadząca do jeziorka.

Atrus patrzył w górę z otwartymi ustami. To musiało być złudzenie. Ale jeśli nie, to jaka siła podtrzymywała wodę? Zmarszczył brwi, zmuszając się do rozwikłania zagadki. Postąpił kilka kroków do przodu. W potężnym otworze wentylacyjnym żarzyło się czerwone światło.

Podniósł wzrok na jeziorko. Słońce sączyło się przez wodę, której zakrzywione powierzchnie zdawały się tworzyć studnię. Atrus zmrużył oczy, próbując ocenić jej długość, ale trudno to było stwierdzić. Pamiętał z lektury, że refrakcyjny charakter wody mógł powodować podobne zakłócenia. A zresztą, skąd mógł wiedzieć, że to w ogóle była woda. Czy kiedykolwiek widział, żeby woda zachowywała się w ten sposób? W górze, po drugiej stronie tej naturalnej bariery, musiało coś być. W przeciwnym razie po co stałaby tu drabina?

Atrus podszedł do drabiny i chwycił ją zdecydowanie.

Jak głębokiej jest to jeziorko? – zastanowił się, zatrzymując się w odległości zaledwie kilku cali od dziwnie drgającej powierzchni. – Dwadzieścia stóp? Trzydzieści?

Podniósł prawą rękę i ostrożnie zanurzył w jeziorku.

Ciecz była ciepła i w dotyku przypominała wodę, ale kiedy cofnął rękę, krople pofrunęły w górę i zlały się ze świetlistą powierzchnią jeziorka.

Atrus zamknął oczy i wypchnął ciało do góry, zanurzając w wodzie głowę i ramiona. Wytrzymał tak pełne pięć sekund, po czym wynurzył głowę, prychnąwszy.

Uśmiechnął się do siebie, otworzył szeroko oczy i przesunął dłonią po zmoczonych włosach.

Ponownie zamknął oczy i zaczął liczyć, oddychając powoli, żeby się uspokoić. Przy dwudziestu wyprężył ciało do góry, podciągnął się na rękach i nagle cały zanurzył się w wodzie!

Otworzywszy oczy, puścił drabinę i odepchnął się nogami, próbując wypłynąć na powierzchnię. Ściany studni przesuwwały się obok niego powoli. Ból rozsadał mu płuca, ale był już prawie u celu.

Nagle na rozświetloną słońcem powierzchnię wody padł cień, zarys ludzkiej postaci. Atrus próbował się zatrzymać, rozłożył szeroko ręce, starając się spowolnić wynurzenie. Walczył o pozostanie w miejscu, ale okazało się to niemożliwe.

Poczuł nagły, dławiący ból, jakby połknął wrzącą smołę. Płuca zajęły się ogniem, a umysł przeszył ból. Próbował chwycić się krawędzi tej dziwnej, nienaturalnej studni, ale w tym momencie ciemność pozbawiła go przytomności.

Powoli, z rozłożonymi ramionami, wypłynął na powierzchnię tego samego jeziora, które ujrzał zaraz po przybyciu do wieku.

Po rozświetlonej słońcem zatoce wewnątrz chaty wydawało się mroczne. Kiedy Katran usiadła w kącie, z dala od swoich dwóch kuzynów, którzy zajmowali się obcym, jej oczy dopiero po pewnym czasie przywykły do ciemności.

Początkowo sądzili, że nie żyje. Nigdy nie widzieli czegoś równie dziwnego. Niechętnie wyciągnęli go z wody. Miał blade, trupie ciało, a na szyi nie wyczuwało się pulsu. Starzec Hrea radził, by wyrzucić go z powrotem do jeziora, ale Carel, najstarszy kuzyn Katran, nie zrezygnował. Wypompował wodę z piersi młodzieńca, tchnął powietrze w jego sine usta, aż dławiąc się i wypluwając wodę trup ponownie zaczął oddychać.

Owinęli go kocem i zanieśli do chaty.

To wszystko działo się rano. Początkowo obcy spał płytkim, niespokojnym snem, potem jednak zasnął głęboko. Od kilku godzin Carel i Erlar, jego młodszy brat, czekali, aż obcy się obudzi.

- Jak długo jeszcze? – spytała Katran w języku D'ni.

Carel, który stał przy łóżku, spojrzął na nią i wzruszył ramionami, ale Erlar, który krzątał się przy piecu i gotował zupę, uśmiechnął się i powiedział łagodnie:

- Już niedługo, Katran. Pozwólmy mu pospać jeszcze trochę. Jeśli nie obudzi się wkrótce, obudzimy go.

- Czy doznał jakiś... uszkodzeń?

Erlar zerknął na Carela.

- Trudno powiedzieć – odparł Carel.

- Kim on jest? – Katran zadała pytanie, które nurtowało całą trójkę. – Myślicie, że należy do Gehna?

- Chcesz powiedzieć, że jest jednym z jego służących? – Carel westchnął, po czym wzruszył ramionami. – Nie wiem. Ma taki sam przyrząd na oczy jak Gehn.

- Przyrząd na oczy? – Katran pochyliła się nieco do przodu. – Nic takiego nie zauważyłam.

- Nie... bo miał go w kieszeni płaszcza. – Carel podniósł okulary ze stoły obok łóżka. – Spójrz.

Katran wzięła okulary i przyjrzała im się badawczo. Przypomniała sobie relację Erlara o pojawieniu się obcego: nieziemsko blady, rozkładał szeroko ręce, jakby chciał ich objąć, kiedy klęczeli nad jeziorem, wpatrzeni w wodę.

Katran oglądała soczewki jeszcze przez chwilę, po czym oddała je kuzynowi.

- Czy jest oznakowany?

- Na szyi nie ma żadnego śladu – potrząsnął głową Carl.

Katran nieświadomie dotknęła dłonią szyi, przesuwając palcami po kwadratowym symbolu wytatuowanym na skórze.

- Może więc...

Obydwaj kuzyni spojrzeli na nią, czekając na dalszy ciąg, ale Katran tylko potrząsnęła głową.

Erlar uśmiechnął się i ponownie spojrzął na zupę, którą mieszał w garnku.

- Wcześniej mówił przez sen...

- Mówił? – Zielone oczy Katran wpatrywały się w kuzyna z napięciem.

- Mamrotał coś o kwiatkach.

Rozchyliła wąskie usta, odwróciła głowę i niespokojnie spojrziała na obcego, który leżał na plecach na drewnianym łóżku.

Śpiący jęknął cicho i poruszył się. Carel, który czuwał przy obcym, zamoczył flanelowy ręcznik w wiadrze, wyjął go i zaczął ocierać czoło śpiącego, jak to czynił już wielokrotnie. W tym momencie obcy chwycił go mocno za przegub.

Carel przełknął nerwowo ślinę, gdy młodzieniec otworzył oczy.

Blade, a jednak bezsprzecznie ludzkie oczy wyrażały zdziwienie, lęk i ciekawość.

- Gdzie ja jestem?

- Jesteś na Riven – odparł Carel, nie próbując uwolnić ręki. – W wiosce.

- Riven?

- Tak, Riven – powtórzył Carel, a słowo to zabrzmiało obco pośród innych, silnie akcentowanych słów D'ni. – Znaleźliśmy cię w jeziorze. Byłeś w ciężkim stanie. Zachłysnąłeś się wodą.

Młody człowiek otworzył szerzej oczy, nagle sobie przypominając.

- Jezioro...

- Czy jesteś głodny?

- Głodny? Umieram z głodu!

- To dobrze... - Carel spojrział na młodszego brata i skinął głową. Na ten znak Erlar nalał zupę do dużego drewnianego naczynia, posypał ciemnym proszkiem i przyniósł do łóżka.

- Proszę – powiedział podając mu naczynie, podczas gdy Carel pomógł młodzieńcowi usiąść i umieścił za jego plecami dwie poduszki.

- Dziękuję – odparł obcy, biorąc miskę. Powąchał zupę, po czym zaczął jeść, najpierw powoli, a potem z apetytem, na widok którego obaj bracia wymienili uśmiechy.

- Chcesz jeszcze? – spytał Erlar, odbierając od obcego miskę.

- Poproszę.

Patrzyli zdumieni, jak pochłania drugą miskę zupy, a potem trzecią. Wysilek najwyraźniej go zmęczył, bo znowu zapadł w drzemkę.

Przez cały czas z kąta pokoju patrzyły na obcego zielone oczy Katran.

Atrus obudził się raptownie jak ze snu o spadaniu. Poczł nieznan, ale przyjemny zapach. Było ciemno.

Przeciągnął się i znieruchomiał słysząc głosy na zewnątrz chaty. Teraz sobie przypomniał: dwaj młodzi mężczyźni siedzieli tam i uśmiechali się do niego z sympatią, kiedy jadł. Twarz Atrusa rozjaśniła się na to wspomnienie. Jak oni nazywali to miejsce? A, prawda: Riven. Piąty wiek Gehna.

Ziewnął i znowu znieruchomiał, wpatrując się w przeciwległą ścianę. Była to prosta lepianka z błota i gliny, podobna do chat w trzydziesty siódmym wieku, ale większa. Sposób wykończenia ścian świadczył o wyższym poziomie technologicznym. Mieli też piece z lanego metalu, na których gotowali. A zatem mieszkańcy tego wieku przewyższali pod względem technicznym wieśniaków z trzydziestego siódmego wieku. Musieli mieć dostęp do metalu, a także znać sposób jego obróbki.

Atrus przyjrzał się piecowi. Jego uwagę zwrócił prosty, pozbawiony ozdób kształt, tak odmienny od wszystkich wyrobów D'ni, do których był przyzwyczajony. Taka prostota przypadła mu do gustu.

Leniwie podniósł wzrok, obserwując cienie kładące się na suficie, ciekaw, jaka to była konstrukcja, jakich materiałów użyto. Jak zwykle wiele szczegółów w ogóle nie znajdowało się w książce opisującej. Księga piątego wieku zawierała jedynie podstawowy budulec, z którego rozwijały się tego rodzaju złożone kultury. Ta myśl fascynowała Atrusa. Zaczął rozmyślać o tym, jak on sam subtelnie wpłynąłby na tę mieszankę, jakie czynniki włączyłby do równania tego wieku.

Przeniósł wzrok z sufitu na proste, kwadratowe okno, pozbawioną ozdób pobieloną ścianę, aż nagle zamarł na widok wpatrzonych w niego oczu młodej kobiety.

Zielone oczy. Zdumiewająco zielone oczy.

Przez chwilę tylko patrzył, z lekko rozchylonymi ustami, chłonąc delikatną urodę jej twarzy. Potem zreflektował się i zażenowany odwrócił wzrok.

Od jak dawna ona tam siedzi? – zastanawiał się. – Od jak dawna mi się przygląda?

Usłyszał kroki kobiety na klepisku.

- O mało nie utonąłeś – powiedziała. – Co robiłeś w jeziorze?

Atrus odwrócił się i spostrzegł, że ukłękła przy łóżku, z twarzą niemal na poziomie jego twarzy. Poczł dziwny niepokój, jak gdyby kobieta stanowiła dla niego zagrożenie. W przeciwieństwie do młodych mężczyzn, którzy się nim opiekowali, kobieta miała napiętą, niemal złą twarz.

- Nie wiem – odparł.

Mrugnęła i odwróciła wzrok, dając Atrusowi okazję do przyjrzenia się jej. Podobnie jak mężczyźni była opalona, ale zauważył, że na ramionach miała dziwne pręgi – na przemian blade i opalone – jak gdyby nosiła opaski materiału, by uzyskać

ten efekt. Ubrana była w prostą, ciemnozieloną sukienkę. We włosy wplotła drobne, białe piórka, szyję opinał szeroki, haftowany kołnierz, ale Atrus stale wracał wzrokiem do jej oczu, głębokich i tajemniczych, głębokich i ciemnych...

- Skąd pochodzisz? – spytała nie patrząc na niego.

- Z innego miejsca – odparł, sądząc, że to nieszkodliwa odpowiedź, ale spostrzegł w oczach kobiety błysk irytacji.

Kiedy wstała i odwróciła się do niego plecami, zerknął na nią ukradkiem. W jej postawie widać było napięcie. Głowę przekrzywiała lekko do przodu i zakrywała usta dłońmi.

Odwróciła się, ponownie wpijając w niego ciemne oczy.

- Jak ci na imię?

- Atrus. A tobie?

- Katran.

- Catherine – skinął głową. – To...

- Ka-tran – powtórzyła, akcentując drugą sylabę. – Śniłeś mi się.

- Śniłem...?

Wtedy, bez słowa, odwróciła się i wyszła z chaty. Przez otwarte drzwi wpadł szeroki złoty pas promieni słonecznych.

Atrus przekrzywił głowę i zapatrzył się na drzwi. Zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi. Potem przełknął ślinę, czując dziwną suchość w gardle i pozwolił głowie opaść na poduszkę.

18

Atrus siedział po turecku nad płytką miską. Miał zamknięte oczy, mocno zaciśnięte pięści i liczył.

- Atrusie?

Odwrócił się i podniósł wzrok na kobietę.

- Tak, Catherine?

Przez jej twarz przemknął wyraz irytacji, ale zrezygnowała z prób poprawiania go.

- Co robisz?

Kiedy doliczył do sześćdziesięciu, rozluźnił dłoń i rozprostował palce. W tym momencie z jego dłoni wypłynął w górę mały pęcherzyk wody, którego migotliwa powierzchnia przywodziła na myśl kroplę rtęci.

Atrus spojrział na kobietę. Na jej twarzy malowało się lekkie zdziwienie.

- Woda nie powinna się tak zachowywać po podgrzaniu.

- Nie? A jak w takim razie powinna się zachowywać?

- Na pewno nie powinna się unosić i przyprawiać mnie o mdłości – odparł Atrus wzruszając ramionami.

Catherine roześmiała się, ale po chwili spoważniała.

Atrus przyglądał się jej zdziwiony. Śmiała się po raz pierwszy, odkąd się spotkali, i nadało to jej twarzy niezwykle wygląd.

- Przyniosę ci trochę proszku.

- Proszku?

Skinęła głową. Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, jakby chciała go przejrzeć na wylot, potem jednak wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok. Wydawało się, że Catherine jest duchem nieobecna, jak gdyby na krótką chwilę weszła w trans.

Atrus podniósł mosiężny garnek. Radowała go symetria naczynia, sposób, w jaki oba garnki – górny i dolny – połączono ze sobą za pomocą czterech mosiężnych trzpieni – podobnie jak wszystkie naczynia kuchenne w piątym wieku zaprojektowano tak, by radziły sobie z wodą, która po podgrzaniu unosiła się w powietrze. Wszystko

tu było zaopatrzone w specjalne pokrywki i dzióbki z maleńkimi zastawkami, które otwierały się tylko przy pewnym szczególnym przechyleniu naczynia.

Ponownie spojrzał na Catherine.

- O czym myślisz?

- Powiem ci, o czym myślę. Masz takie jasne oczy, na które nakładasz ten dziwny przyrząd. Co masz wspólnego z Wszechmocnym Gehnem?

- Mam na imię Atrus i jestem jego synem.

W oczach kobiety błysnął przelotny triumf. Nagle, jak gdyby zrozumiała sens jego słów, cofnęła się o krok.

- Czego więc chcesz?

Atrus zastanowił się chwilę nad pytaniem, odsuwając na bok Gehna i wszystko, czego doświadczył w ciągu ostatnich kilku lat.

Czego chcę?

- Chcę wrócić do domu – powiedział cicho.

- Do domu?

- Do rozpadliny.

- Do jakiej rozpadliny?

- Tam się urodziłem – odparł. – Tam się wychowałem. To była tylko szczelina, dziura w ziemi otoczona pustynią – dodał myśląc o tym, co powiedział Gehn. – A jednak... to był raj.

- I twój ojciec mieszkał tam razem z tobą?

Atrus potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

- Nie, nie znałem mojego ojca do czternastego roku życia. Wychowałem się z moją babcią, Anną. Ona mnie karmiła, ubierała, uczyła. Zawdzięczam jej wszystko.

Catherine wpatrywała się w niego z natężeniem.

- A potem pojawił się twój ojciec?

Atrus skinął głową. Wstał, otrzepał ubranie, a potem spojrzał w dół trawiastego zbocza. Wioska znajdowała się w kraterze poza nim. Lepianki z błota i gliny umocowano do ścian krateru za pomocą potężnych drewnianych pali, podobnie jak pokoje w rozpadlinie.

Uśmiechnął się na tamto wspomnienie. Pierwszy raz, kiedy zobaczył wioskę, o mały włos nie stał się jego ostatnim. Udając, że śpi, odczekał, aż starszy z braci, Carel, wyjdzie z lepianki. Wtedy wykradł się z łóżka z zamiarem rozejrzenia się po

okolicy. Tylko przyrodzona ostrożność powstrzymała go od upadku do zatoki położonej pięćdziesiąt stóp poniżej.

Wyjaśniła się w ten sposób przyczyna, dla której odgłosy ulegały zmianie o zmroku. Atrus sądził, że morze obmywa plażę w pobliżu lepianki. Nie wiedział, że wpływa ono pod lepiankę, doprowadzone wydrążonym w skarpie tunelem.

Odwrócił się i rozejrzał wokół siebie. Na wschodzie, w odległości najwyżej pół mili, znajdował się las dziwnych, złotolistnych drzew o potężnych gałęziach, spłaszczonych jak gdyby pod wpływem olbrzymiego ciśnienia nieba.

Na południu, na wysokim cyplu, rósł zagajnik, w którym wznosiła się świątynia, na zachodzie zaś, wyraźnie widoczne z miejsca, w którym stał, rosło drzewo.

Catherine podeszła do Atrusa, wpatrując się w niego takim wzrokiem, jakby go dobrze знаła.

- Śniłeś mi się – powiedziała spokojnym głosem.

Odwrócił się do niej, przypominając sobie, że powiedziała mu to już przedtem, w lepiance.

- Śniłem ci się?

- Tak – odparła i ruszyła wolno w dół zbocza. Zielona sukienka powiewała na wietrze, a bosa stopy zdawały się niemal unosić nad trawą. – Śnił mi się martwy człowiek pływający w jeziorze, a potem ty się zjawiłeś!

No więc? – spytał Gehn siadając przed młodą kobietą. – Czy wydarzyło się coś niezwykłego?

Katran podniosła wzrok znad zeszytu i spojrzała na mistrza niewinnymi oczami.

- Nic niezwykłego.

- To dobrze – odparł, po czym odwrócił się i zaciągnął mocno fajkę. – Może zaczniemy od miejsca, w którym przerwaliśmy, dobrze?

Lekcja przebiegała sprawnie, jak zwykle zresztą. Katran była dobrą uczennicą, najlepszą, której nigdy nie musiał niczego powtarzać. Niektórzy członkowie cechu również wykazywali zdolności w kopiowaniu, ale nikt, z wyjątkiem Katran, nawet nie zaczął pojmować znaczenia kopiowanych symboli. Ona chwytiała je w lot. Teraz, po dwóch latach nauki, posługiwała się prawie płynnym językiem D'ni. Prawie – pomyślał, przypominając sobie wszystkie kluczowe słowa, które przed nią zataił,

pewne słowa Garo-havtee, bez których pisanie było niemożliwe. Wkrótce jednak zacznie przekazywać jej te klucze. Jeden po drugim. O ile okaże się posłuszna.

Sformułował swój plan jeszcze na długo przed uwięzieniem Atrusa. Wściekły na syna, a przy tym nadal marząc o wskrzeszeniu wielkiej kultury D'ni, zaczął się zastanawiać, czy nie można osiągnąć tego celu w inny sposób. Wciąż potrzebował Atrusa – takiego talentu nie można było roztrwonić – ale współpraca z nim okazała się niemożliwa.

Czy koniecznie jednak musiał mieć Atrusa u swego boku? Czy nie mógłby go zastąpić ktoś inny? Ktoś może mniej utalentowany, ale z pewnością bardziej uległy niż jego syn? Ktoś, kogo Gehn mógłby znacznie łatwiej kontrolować niż Atrusa.

Natychmiast pomyślał o Katran.

Gehn uśmiechnął się, odwrócił się do kobiety i odłożył fajkę na biurko.

- Muszę ci coś powiedzieć, Katran. Coś ważnego.

- Mistrzu? – Patrzyła na niego z napięciem, a przy tym ulegle, oczyma doskonałej akolitki, doskonałej służącej.

- Chcę, żebyś się przygotowała. Wkrótce odbędzie się tu ślub, rozumiesz? Za trzydzieści dni. Udzielę innym członkom cechu wskazówek dotyczących uroczystości, ale ty musisz poczynić przygotowania.

- Czy zamierzasz kogoś poślubić, mistrzu?

- Tak, Katran – odparł przyglądając się jej z sympatią. – Zostaniesz moją żoną. Zasiądziesz po mojej prawicy i będziesz władać tysiącem światów.

- Ależ, mistrzu – zaczęła, pochylając głowę. – Nie zasługuję na ten zaszczyt.

Gehn zaśmiał się cicho, uradowany jej pokorą.

- Może i nie. Jednak wybrałem cię, Katran, i musisz się przygotować. Do ślubu pozostało trzydzieści dni.

Atrus szukał Catherine po całej głównej wyspie, zdziwiony, że nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Nagle ją zobaczył, wśród drzew na skraju lasu.

Już chciał zawołać ją po imieniu, kiedy coś w sposobie, w jaki tam stała, roztargniona, kazało mu się zatrzymać, zagłębić się w las i wyłonić za jej plecami. Obserwował ją zza potężnego, gąbczastego pnia.

W cętkowanym cieniu gałęzi jej szczupła postać sprawiała wrażenie nierealnej, jak gdyby składała się z ziemi i trawy. Zieleń płaszcza Catherine i czerń jej włosów zlewały się z pobliskimi cieniami.

Atrus widział wyraźnie, że coś ją trapiło. Oczy, zazwyczaj tak jasne i żywe, były teraz zamysłone, a dłonie ścisnęła kurczowo przed sobą.

Co się stało? – zapytał w myślach, czując przyływ naturalnej sympatii do tej kobiety.

Powoli, stąpając ostrożnie po gęstej pokrywie z liści, ruszył w jej stronę, aż zbliżył się na odległość niecałych dwunastu stóp.

- Catherine?

Nie odwróciła się, tylko podniosła wzrok.

- Catherine... dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

- Czy mam cię odprowadzić do wioski?

- Dobrze – odparła cicho, odwróciła się i wyszła spod kopuły drzew na pochyłą łąkę.

Atrus znalazł książkę łączącą tam, gdzie ją zostawił, w zagłębieniu w skarpie, i połączył się z powrotem.

Zastał komnatę w takim stanie, w jakim ją zostawił. Księga piątego wieku leżała otwarta na biurku, kałamarze i pióro pozostały nienaruszone.

Usiadł za biurkiem, przyciągnął do siebie książkę i zaczął czytać, tym razem z większą uwagą, widząc, że każdy zwrot, każdy drobny opis ma swój udział w całości, którą oglądał.

Wizyta na wyspie pozwoliła mu stwierdzić, jak udany był to świat. Piąty wiek Gehna był naprawdę nadzwyczajny, a mimo to książka zdradzała wady, zwłaszcza kompozycyjne. Wspaniałe fragmenty występowały obok siebie na jednej stronie, wszystkie na swój sposób piękne, ale nie powiązane ze sobą. Tym charakteryzował się styl pisarski Gehna. Śmiałość, z jaką czerpał z tak różnych źródeł, była naprawdę zdumiewająca i graniczyła z genialnością.

Gdyby Gehn wyprowadził swoje wieki z zasad strukturalnych, mogłyby one przybrać inną postać, ponieważ w ten sposób pogodziłby może sprzeczności. Jego metoda była jednak fragmentaryczna, a wynikające z niej wady przeradzały się

szybko w złożoną sieć wzajemnie powiązanych skaz, których nie sposób było usunąć za pomocą prostych rozwiązań.

Atrus przewrócił ostatnią stronę i pokiwał głową czytając ostatnie fragmenty, widząc w nich niezdarną próbę ojca, by wprowadzić zmiany do świata piątego wieku, by zrównoważyć jego wrodzone wady.

- Wszystko nie tak – powiedział cicho i zapragnął wykreślić te ostatnie ustępy. Bał się jednak to zrobić, ponieważ pamiętał, co się stało w trzydziestym siódmym wieku. Nie, jeśli miałby wprowadzić zmiany, zrobiłby to tylko z zachowaniem najwyższej ostrożności i po długim, cierpliwym zastanowieniu. Nie można było się wtrącać do wieku. Przynajmniej nie tak złożonego jak piąty wiek Gehna.

Riven – pomyślał. – Nazwała go Riven. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył Catherine, która wpatrywała się w niego, przyciskając dużą niebieską książkę do piersi.

19

Atrus wstał, wpatrując się w Catherine, zdumiony jej niespodziewanym pojawieniem się.

Pospiesznie obejrzała się za siebie i położyła książkę na biurku.

- Poszłam za tobą – powiedziała, zanim zdążył się odezwać. – Zobaczyłam, gdzie schowałeś książkę łączącą.

Atrus wskazał na dużą książkę w niebieskiej oprawie, leżącą na biurku między nimi.

- Wzięłam ją od twojego ojca – wyjaśniła.

- Wzięłaś ją? Jak? Przecież on nie pozwala brać książek z biblioteki.

- Ukradłam ją z jego gabinetu, kiedy spał.

- Ale dlaczego? – Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

Sprawy toczyły się o wiele za szybko jak dla niego. Wyciągnął przed siebie dłonie, jak gdyby chciał się odgradzić od Catherine.

- Nie tak szybko. Co robiłaś w gabinecie mojego ojca?

- On nas tam zabiera.

- Kogo?

- Cech. Zabiera nas tam, żebyśmy przepisywali różne rzeczy z książek. Twierdzi, że dzięki temu oszczędza czas.

- Cech? – zaśmiał się Atrus. Pomysł ojca, by wskrzesić cechy D'ni, wydał mu się czystym szaleństwem.

Catherine obeszła biurko i odchyliła szeroki kołnierz, który nosiła wokół szyi. Na skórze widniał wypalony znak Gehna.

- Jak dawno się to stało? – spytał Atrus patrząc jej w oczy.

Przewróciła oczami, jak gdyby to wspomnienie wiele ją kosztowało.

- Oznakował mnie cztery lata temu. Byłam czwartą osobą, którą w ten sposób wyróżnił. Od tamtej pory nasza grupa urosła do dziesięciu. Stanowimy elitę. Pozostali wyspiarze muszą okazywać nam posłuszeństwo. Taka jest wola twego ojca.

- Dlaczego więc przyniosłaś mi tę książkę? – spytał kładąc dłonie na cętkowanej niebieskiej okładce.

- Umiesz pisać. Chcę, żebyś naprawił nasz świat.

Atrus przyglądał się kobiecie przez chwilę, potem usiał i otworzył książkę. Była pusta. Catherine ukradła pustą książkę.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo musisz?

- Muszę? Kto mówi, że muszę?

- Czy ty nie rozumiesz? Nasz świat się rozpada. Proszę cię o pomoc.

- Mów dalej – poprosił i oparł się na krzesło.

- To trwa już od pewnego czasu. Występują lekkie wstrząsy ziemi, pojawiają się szczeliny, w zatoce pływają ławice śniętych ryb. Poza tym drzewo...

Atrus czekał z napiętymi mięśniami, przypominając sobie, co się wydarzyło w trzydziestym siódmym wieku. Tam także rozpad zaczął się od drobnych rzeczy. Niestabilność. Wszystkim światom ojca towarzyszyła niestabilność.

- Wielkie drzewo usycha – powiedziała.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Ponieważ na początku nie miałam do ciebie zaufania.

- Dlaczego? – zaśmiał się Atrus.

- Z uwagi na twoją moc, tę samą, którą posiada twój ojciec. Moc tworzenia i niszczenia światów.

- Sądysz, że mam taką moc?

- A czy tak nie jest?

- Umiem pisać – odparł po chwili wahania.

- Wobec tego pomóż nam, Atrusie.

Westchnął głęboko. Czyżby to była kolejna pułapka? Jak Catherine mogła wykraść książkę z gabinetu ojca? Z drugiej strony, przypomniał sobie głos, który słyszał, kiedy stał pod schodami prowadzącymi do gabinetu Gehna. Już wtedy powinien był się domyślić, że Gehn sprowadzał ludzi z wieków.

- Dobrze – powiedział. – Pomogę ci, ale potrzebują więcej książek. Więcej pustych książek.

- Dlaczego?

Przyglądał się jej przez chwilę.

- Ponieważ muszę wypróbować pewne rzeczy. Muszę przeprowadzić eksperymenty.

- Mam więcej książek na Riven. Musisz mi pomóc przenieść je tutaj.

- Chcesz powiedzieć, że wykradłaś więcej niż jedną? – zaśmiał się Atrus.

- Tak. Twój ojciec mi ufa. On...

- Co takiego?

- Nic. Powinniśmy już wracać po książki. Im szybciej zabierzesz się do pracy...

- Dlaczego tak ci się spieszy? – spytał Atrus kręcąc głową. – Naprawienie wieku...

- Mamy tylko trzydzieści dni – powiedziała nachylając się.

- Nie rozumiem. Co ma się stać za trzydzieści dni?

Catherine jednak nie odpowiedziała. Położyła dłoń na ilustracji piątego wieku w książce i połączyła się z powrotem. Atrus wpatrywał się w pustą przestrzeń z otwartymi ustami i galopującym sercem.

Połączył się z trawiastym płaskowyżem nad jeziorem.

Catherine już na niego czekała. Wzięła go za rękę i pociągnęła wśród drzew na skarpe naprzeciwko drzewa. Woda obmywała łagodnie skały położone sto stóp pod nimi. Przyglądając się drzewu ponad tą wąską przepaścią, Atrus nie widział, by działo się z nim coś niedobrego. Wyglądało jak symbol zdrowia i naturalnej płodności, ale nie miał powodu, by nie wierzyć Catherine.

- Nie powinniśmy dać się zauważyć – powiedziała. Szybko zeszli ścieżką ze skarpy, a potem wspięli się na kręte drewniane schody, tonące w trawie.

Atrus wzruszył ramionami, przeszedł kilka ostatnich stóp ścieżki i znalazł się w bujnej trawie między dwiema odnogami potężnego pnia drzewa.

- Tutaj – powiedziała Catherine, przyzywając Atrusa do siebie.

Podszedł do niej i zmarszczył brwi, ponieważ natychmiast zrozumiał, co miała na myśli. W korze drzewa biegło głębokie pęknięcie, przerywają rdzeń, którym krążyły składniki odżywcze. Szczelina była tak duża, że mógłby się w niej zmieścić.

- Widzisz? – powiedziała cicho, a w jej zielonych oczach pojawił się ból. – To była jego kara.

- Kara? Za co?

Minęła go i usiadła, patrząc ponad wodą na ciemnozielony zagajnik, w którym bielił się ledwo dostrzegalny kamień świątyni.

- Jeden z członków cechów odezwał się w niewłaściwy sposób. Zakwestionował coś, co powiedział do niego Wszechmocny Gehn. Twój ojciec wpadł w gniew. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby tak się gniewał. Zmusił nad do... złożenia człowieka w ofierze.

Atrus podszedł i kucnął naprzeciwko Catherine.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wrzuciliśmy go do morza.

- Nadal...

Przerwała mu ruchem ręki.

- Nieważne. Ważne jest to, że nam zagroził, nam wszystkim. „Jeśli jeszcze raz zakwestionujecie moje słowa, zniszczę wasz świat” – powiedział. „Ponieważ tak jak go stworzyłem, mogę go zniszczyć! Spójrzcie na wielkie drzewo. Zostawię na nim swój znak”.

Kolejne pęknięcie – pomyślał Atrus ponownie przypominając sobie los wieku trzydziestego siódmego. Tak, wszędzie, dokąd pójdzie, zostawia swój znak, niczym symbol własnej nieudolności. Czy po to właśnie tu jestem? Czy dlatego uwięził mnie razem z księgą piątego wieku? Czyżby chciał, żebym po nim sprzątał, naprawiał jego karygodne błędy?

- A co z pozostałymi członkami cechu? – spytał Catherine. – Czy oni wiedzą o twoim planie?

- Gdyby się o nim dowiedzieli, zabiliby mnie. Oni żyją w lęku przed twoim ojcem, Atrusie. Drżą na dźwięk każdego jego słowa.

- A jednak jeden z nich mu się przeciwstawił.

Catherine spuściła wzrok, jak gdyby ze wstydem.

- Czy to była twoja wina? – spytał po chwili. – To ty... na niego wpłynęłaś?

Spojrzała błagalnie.

- Nie chciałam tego. Pomyślałam tylko... - Westchnęła i powiedziała znacznie ciszej: - Pomyślałam, że Wszechmocny Gehn go posłucha. Sądziłam, że twój ojciec jest rozsądny.

- Mój ojciec? Nie – powiedział Atrus zdecydowanym tonem. – Mój ojciec jest szalony.

Odwrócił się i ujrzał w oddali, za kopcem świątynnym, drugi cypel.

- Co tam jest? – spytał, próbując przypomnieć sobie adekwatny fragment książki Gehna.

- Tam mieszkają członkowie cechu. Tam mamy swoją enklawę.

Myśl, że Catherine mieszka sama z dziewięcioma mężczyznami, z jakiegoś powodu zaniepokoiła go.

- Czy oni są... tacy jak ty?

Roześmiała się, a potem poklepała trawę.

- Co to znaczy: tacy jak ja? Młodzi?

Zamierzał wzruszyć ramionami, ale po chwili skinął głową.

- Nie – odparła. – Większość z nich jest stara... starsza nawet niż mój ojciec. To chyba odpowiada Gehnowi. Dzięki temu są bardziej posłuszni. Z wyjątkiem Eavana.

- Eavana?

Skinęła głową i przez chwilę zagryzała wargi.

- Był moim przyjacielem. Tym, którego poświęcił Gehn.

Atrus wpatrywał się przez chwilę w ciemną szczelinę w pniu.

- Kochałaś go?

- Kochałam? – powtórzyła zdziwiona, ale po chwili skinęła głową. – Był dla mnie jak brat, równie bliski jak Carel i Erlar. Kiedy pozostali członkowie cechu wzięli go...

- Przepraszam – powiedział, kiedy zamilkła. – Czuję się w jakiś sposób odpowiedzialny.

- Nie powinieneś. – Spojrzała na niego ostro. – Ostatecznie nie był dla ciebie zbyt dobry, prawda? Co to za ojciec, który więzi własnego syna?

- Skąd tyle wiesz? – spytał Atrus.

- Ponieważ twój ojciec mi mówi – odparła odwracając wzrok. – Och, o niektórych rzeczach mówi mi, nawet o tym nie wiedząc. Lubi mówić do siebie i czasami się zapomina. Zdarza się, że siedzę w jego gabinecie i przepisuję książki...

- Poczekaj chwilę – przerwał jej Atrus. – Powiedz mi... dlaczego on to robi?

- Już ci mówiłam. Twierdzi, że to przyspiesza jego pracę.

- Tak, ale... czego on chce?

Wpatrywał się w nią, błagając o odpowiedź. Powiódł za nią wzrokiem, kiedy próbowała uciec przed jego spojrzeniem. Wreszcie Catherine się uśmiechnęła.

- Myślę, że chce nas nauczyć pisać – powiedziała prostując się na krześle.

- Tak ci powiedział?

Skinęła głową.

- Ależ to niemożliwe. Nikt oprócz D'ni nie jest w stanie pisać. To po prostu nie działa w przypadku innych osób.

- Jesteś pewien? – spytała wpatrując się w niego z natężeniem.

- To była pierwsza rzecz, jakiej nauczył mnie na temat sztuki, a księgi potwierdzają to. Ich autorzy piszą o tym wyraźnie.

Ku swemu zdziwieniu Atrus spostrzegł, że Catherine odetchnęła z ulgą.

- O co chodzi? – spytał, zdumiony jej reakcją.

- Właśnie sobie pomyślałam... cóż, w mojej książce...

- Twojej książce?

Przyglądała mu się dłuższą chwilę, po czym skinęła głową.

- Czy chciałbyś ją zobaczyć?

- Dobrze...

- W takim razie chodź – powiedziała, wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą. – Pokażę ci.

Myśl, że mogłaby napisać książkę, zawsze nieco niepokoiła Katran. Początkowo ten pomysł ją fascynował i intrygował, a teraz napełniał ją przerażeniem, kim bowiem była, jeśli potrafiła wyczarowywać swoje marzenia z atramentu i papieru? Zwykłą mrzonką, kolejnym wytworem bujnej wyobraźni Wszechmocnego Gehna!

Odwróciła się i spojrzała w głąb ocienionej chaty na syna Gehna, Atrusa, który siedział po turecku na wąskim łóżku i czytał książkę.

Tak różny od ojca, taki...

Taki szczery.

Ponownie spojrzała na młodego człowieka, zdziwiona uczuciem zakłopotania, w jakie wprawiała ją jego obecność. To była...

Atrus podniósł wzrok znad książki, napotkał jej wzrok, a Katran momentalnie zrozumiała, co w nim tak bardzo ją uderzyło. Dobroć, prosta, naturalna dobroć.

- To bardzo piękne – stwierdził. – Nigdy nie czytałem nic podobnego. To jest jak... noc na pustyni... pełna gwiazd.

Katran podeszła i usiadła obok Atrusa.

- Twój styl pisarski... cóż, jak już powiedziałem, jest cudowny, poetycki. Jednak obawiam się, że pod względem praktycznym, aż roi się od sprzeczności. Łamie chyba wszystkie zasady pisarskie D'ni. Nie ma żadnej struktury, architektury. A niektóre z tych symboli... Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Nawet nie jestem pewien, czy cokolwiek znaczą. Gdzie się ich nauczyłaś? Gde nigdy mi ich nie pokazywał.

Catherine wzruszyła ramionami.

- Żeby takie miejsce miało istnieć... - Atrus westchnął, a potem zamknął książkę i oddał kobiecie. – Obawiam się, że by nie funkcjonowało, ale jego obraz działa na mnie bardzo inspirująco.

Przesunęła palcami po cytrynowej okładce. Widniejące na niej zielone i jasnoniebieskie plamki zawsze przywodziły jej na myśl trawę, wodę i górujące nad wszystkimi żółte słońce.

- To jest dobre – powiedziała. – To jest jak sen.

Atrus wpatrywał się w nią, nic nie rozumiejąc.

- Kiedy tam wchodzę...

- Ależ to niemożliwe...

- Tam było zupełnie tak, jak w moich snach – powiedziała odwracając się od niego znowu.

- Nie – odparł stanowczo, odbierając jej książkę. – Ten świat po prostu nie może funkcjonować. Pisanie jest czymś innym. To nauka, precyzyjnie ustalone równanie słów.

Catherine nachyliła się nad nim, otworzyła książkę i wskazała na stronę opisującą po prawej. Była tak ciemna, że Atrus uznał ją za pustą. Coś jednak na niej było.

Spojrzał na kobietę.

- Chcę, żebyś zobaczył ten świat.

- To jest... - powiedział ciszej, niemal szeptem. W tym samym momencie położyła dłoń Atrusa na ilustracji, uśmiechnęła się, a po chwili jej uśmiech rozplynął się w powietrzu, kiedy Atrus się połączył.

20

Niemożliwe.

Atrus znalazł się w olbrzymiej, stożkowej misie mroku. W połowie misy, dokładnie ze środka otworu o średnicy mili, który przewiercał ją na wylot, tryskał słup wody szeroki jak rzeka. Woda waliła w górę, aż niknęła z oczu. W miejscu, gdzie wyłaniała się z błyszczących głębin, tryskał snop krystalicznego światła, jarzący się jak płomień.

Atrus chłonał ten widok oniemiały.

Tuż obok niego przefrunęły duże owady podobne do świetlików, o przezroczystych korpusach, mieniących się czerwono i złoto. Ich ruchy przywodziły na myśl raczej ryby niż owady. Atrus spojrział w dół, chcąc strzepnąć jednego z owadów i zobaczył ze zdumieniem, jak ten przenika przez jego nogi i formuje się na powrót po drugiej stronie niczym bańka mydlana. Inne stwory, o nie mniej fantastycznych kształtach – wyposażone w długie, migotliwe pióra i wachlarze, ekstrawaganckie grzebienie lub ogony niczym złote łańcuchy – trzepotały i szybowwały wśród północnego krajobrazu, łącząc się ze sobą i przepoczwarzając, stale w ruchu, stale w procesie przemiany.

- To musi być sen, nie sądzisz? – powiedziała Catherine stając obok Atrusa.

W powietrzu unosił się zapach cytryn, a także delikatny aromat sosen i cynamonu.

Atrus przytaknął z roztargnieniem, śledząc wzrokiem jednego ze świetlików. Patrzył zafascynowany, jak owad wtapia się w skałę, a potem się od niej odrywa. Jasne ślady, które zostawił na czarnej powierzchni, pulsowały przez chwilę, po czym zniknęły.

Sama skała też była niezwykła. Lśniła szkliście, jakby składała się z żelatyny, a przy tym miała ciepłą fakturę drewna. Co najdziwniejsze, pachniała różami i kamforą.

Wszędzie, gdzie spojrział, kształty zlewały się ze sobą, a bariery, które zazwyczaj rozdzielają przedmioty, rozpływały się jak we śnie.

Atrus wzdrygnął się, podniósł wzrok i wskazał na wielki słup wody, tryskający nieprzerwanie w nocne niebo.

- Dokąd ona płynie?

Catherine zaśmiała się najcichszym, najdelikatniejszym śmiechem, jaki kiedykolwiek słyszał.

- Czy zastanawiałeś się, jak cudownie by było pływać pośród gwiazd?

- Pływać? – Przez chwilę myślał o Annie i rozpadlinie, w tamten wieczór po pustynnym deszczu.

- Tak – mówiła rozmarzona. – Jeśli to jest mój sen, to moglibyśmy wpaść w noc, gwiazdy by nas ukołysały, a potem wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

Atrus zastanawiał się, co miała na myśli. Czasami przypominała książkę – piękną i poetycką, a także niepojętą.

- Nie mam szczęścia do wody – powiedział, na co wybuchnęła śmiechem. – Ale to... - Odwrócił się i wskazał na wiek, który stworzyła. – Nie mogę tego pojąć. – Spojrzał na Catherine, potrząsając głową w zdumieniu. – Nie mogę zrozumieć, jak to działa.

Spojrzał zdziwiony na jasnoniebieskie, wężowate stworzenie, które rozdzieliło się na dwie części o jego ramię, a potem nie przestawało się dzielić, aż powstała cała chmara maleńkich wężyków, wijących się jak na komendę w ścistej formacji.

- Czy wyobraziłaś sobie to wszystko?

- Większość – odparła, potem minęła go i schyliła się, żeby zerwać coś z ziemi. – Nie przypominam sobie, żebym pisała niektóre rzeczy. To prawie tak, jakbym przestawała myśleć i po prostu... pisała.

Odwróciła się i wręczyła mu kwiat. Było to jednak coś więcej niż kwiat. Kiedy Atrus wyciągnął rękę, to coś popłynęło ku niemu i otarło się o dłoń, jak kociak ocierający się o nogę właściciela.

Atrus cofnął się.

- Co się stało? – spytała.

- Nie wiem – uśmiechnął się. – To jest bardzo dziwne.

Catherine schyliła się, ostrożnie położyła kwiat na ziemi, potem podniosła wzrok z uśmiechem.

- W tym świecie nie ma nic szkodliwego. Jesteś tu bezpieczny, Atrusie, obiecuję ci.

Możliwie, że tak było, on jednak wciąż czuł się nieswojo. Nic nie zachowywało się tu tak, jak powinno. Wszędzie, gdzie spojrzał, widział dowody złamanych zasad. Oto wiek, w którym prawa postawiono na głowie. Nie powinien istnieć, a jednak istniał. Co to oznaczało? Czy Catherine mówiła prawdę? Czyżby obowiązywał tu inny zbiór praw, praw nie odkrytych przez D'ni? Czy może była to tylko anomalia?

Catherine wyprostowała się i wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź, coś ci pokażę.

Poszedł z nią w dół zbocza, aż znaleźli się o kilka metrów od krawędzi. Dalej nic już nie było. Nic, tylko światło daleko w dole i wody tryskająca ze środka tego blasku.

- Proszę – powiedziała, wręczając mu jakiś mały, gładki i płaski przedmiot.

Atrus ujrzał wypolerowany kamień, dostatecznie mały, by zmieścić się w jego dłoni.

- No więc? – spytała. – Czy puszczałeś już kiedyś kaczki?

Spojrzał na nią, a potem cisnął kamień w ciemność, wyobrażając sobie, że puszcza kaczki na jeziorze.

Kamień przeszył powietrze, a kiedy zderzył się ze skałą, poszybował stromym łukiem w górę i zniknął w potężnej strudze wody.

Atrus patrzył z szeroko otwartymi oczami, a Catherine zaniósł się cichym śmiechem.

- Twoja twarz!

Atrus zamknął usta i ponownie spojrzał w ciemność. Poczuł, że chce to zrobić znowu, zobaczyć, jak kamień szybuje w pustce, a potem wzbija się w górę.

- Dokąd leci ta woda?

- Chodź – powiedziała, znowu biorąc go za rękę. – Pokażę ci.

Tunel, którym szli, był niski – mogli się akurat wyprostować – i doskonale okrągły, jak otwór wydrążony przez robaka w olbrzymim jabłku. Światło pochodziło z samej skały. Chodnik prowadził w dół, stale się zakrzywiając, aż Atrus odniósł wrażenie, że muszą stąpać po suficie. Nagle wyszli na jasne światło dnia. Krajobraz, jaki się wokół nich rozpościerał, był równie zdumiewający jak tamten na drugim końcu tunelu.

Atrus zmrużył oczy, oślepiiony światłem, potem założył okulary, wyprostował się i rozejrzał się wokół siebie.

Tak jak ciemna strona była dziwna, tak ta – jasna strona natury Catherine – była cudowna. Stali na szczycie wznoszącego się pośrodku oceanu potężnego, kamienistego wzgórza, jednego z kilku, tworzących mniej więcej okrąg, pokrytych jasnymi kwiatami o cudownym zapachu, nad którymi tańczyły miliony motyli.

W samym środku tego kręgu kamienistych wzgórz tryskał ukośnie wodospad w kształcie pierścienia. Bezpośrednio ponad tym potężnym wirem pojawiały się i znikwały wijące się, pionowe wstęgi chmur. Ukazywały się wysoko w powietrzu, a następnie błyskawicznie ginęły w paszczy wodospadu.

Atrus nagle zrozumiał.

- Jesteśmy po drugiej stronie! To jest źródło tego potężnego strumienia... on przelatuje przez...

Otworzył usta w zdumieniu.

Ale jak? Jaki mechanizm fizyczny został tu zastosowany? Ponieważ Atrus wiedział, wiedział ponad wszelką wątpliwość, że jeżeli ten świat istniał, to musiało także istnieć fizyczne wytłumaczenie. Prawa D'ni nie zostały tutaj złamane, a jedynie nagięte do granic możliwości.

Atrus spojrzał na Catherine z nagłym podziwem.

- To jest piękne. Nigdy bym się nie domyślił...

- Jest tego więcej – powiedziała biorąc go za rękę. – Chcesz zobaczyć?

- Tak.

- Tam. – Wskazała na horyzont.

Atrus patrzył oniemiały. Na horyzoncie kłębiły się burzowe chmury. Wznosiły się w niebo jak para z garnka z wrzącą wodą. Jak daleko sięgał wzrokiem na lewo i prawo, na horyzoncie szalały niewiarygodne burze, których odgłos tłumiała odległość.

To całkowicie otacza pierścień – pomyślał. Odwrócił się spojrzał na olbrzymi otwór w oceanie. Przypomniawszy sobie potężny strumień wody, tryskający po drugiej stronie tego otworu. Wyglądało na to, że działały tutaj dwie odrębne siły: siła odrzutu oraz dośrodkowa siła pierścienia.

Atrus zamrugał i spojrzał na Catherine.

- Większość masy pierścienia umieściłaś na jego zewnętrznym obrębie, tak?

Tylko się uśmiechnęła.

- Dlatego siła grawitacji... - Atrus przerwał, zacisnął w podnieceniu prawą pięść, a jego czoło przecięły głębokie bruzdy. – To koło grawitacji... przepycha wodę przez centralny otwór... następnie jakaś inna siła zasysa ją w niebo, gdzie woda rozlewa się wachlarzem... wciąż uwięziona w polu grawitacyjnym pierścienia, a wreszcie spływa po zewnętrznych krawędziach tego pola... czy tak?

Tylko się uśmiechnęła.

- W miarę jak opada, tworzy chmury, chmury powodują burze, a...

To robiło wrażenie. Teraz, kiedy Atrus pojął mechanizm wieku, jego podziw jeszcze bardziej wzrósł.

Odwrócił się, potoczył wzrokiem wokół siebie i nagle zamarł. Tuż naprzeciwko niego, w soczystej trawie przycupnęła kępka kwiatów. Wspiął się na zbocze i stanął pośród nich.

Kwiaty. Błękitne kwiaty. Tysiące drobnutkich, delikatnych błękitnych kwiatków o gwieżdzistych płatkach i ciemnych atłasowych pręcikach.

Poruszony tym widokiem, pochylił się, zerwał jeden, przytknął do nosa, a potem spojrzął na Catherine.

- Skąd wiedziałaś?

- Wiedziałaś? – Catherine zmarszczyła czoło w zdumieniu. – Co wiedziałaś?

- Myślałem... Nie, nieważne. – A potem, żeby zmienić temat: - Kim jesteś dla mojego ojca?

- Jestem jego służącą – odparła spuszczać wzrok. – Należę do jego cechu...

Atrus nie spuszczał z niej wzroku; wiedział, że nie mówi mu wszystkiego, ale bał się spytać.

- Mam go poślubić – powiedziała po chwili.

- Poślubić?

Przytaknęła, nie mogąc spojrzeć mu w oczy.

Atrus usiadł ciężko pośród kwiatów. Zacisnął palce, zrywając delikatne płatki, po czym pozwolił im opaść.

Spuścił głowę, a w jego oczach malowała się rozpacz.

- On mi kazał – mówiła podchodząc bliżej. – Gehn powiedział, że za trzydzieści dni na Riven, w piątym wieku, odbędzie się wielka uroczystość.

Atrus podniósł głowę i spojrzął na nią z wyrazem gorzkiego zawodu.

- Wolalabym umrzeć – powiedziała Catherine patrząc mu prosto w oczy.

Powoli, bardzo powoli Atrus pojął sens jej słów.

- W takim razie...

- W takim razie musisz mi pomóc, Atrusie. Mamy trzydzieści dni, trzydzieści dni na przeprowadzenie zmian.

- A jeżeli nam się nie uda?

Catherine odwróciła głowę, ogarnęła wzrokiem stworzony przez siebie wiek, a potem znowu spojrzała na Atrusa. Jej zielone oczy płonęły z taką intensywnością, że zamarł, przykuty do miejsca, całkowicie opanowany przez tę dziwną kobietę i jej zdumiewające zdolności. Patrząc mu prosto w oczy, ścisnęła mocno jego dłoń i przemówiła, a jej głos wzbudził w Atrusie nagłą, niemal impulsywną ufność.

- Ty i ja możemy czynić cuda. Cuda.

21

Słońce zachodziło powoli, gdy Atrus, w okularach, z otwartym dziennikiem w dłoni, stanął na małym płaskowyżu i spojrzął na stworzony przez siebie wiek. W dole leżało zimne, ciemne morze o powierzchni przypominającej olej lub poczerniałe ze starości lustro. Jałowe wody wypełniały wielką nieckę między czerwonymi urwiskami piaskowca.

Kraina leżąca nad wielkim morzem była naga i pusta, jeszcze bardziej opustoszała niż pustynia, którą pamiętał z dzieciństwa. We wszystkich kierunkach rozciągały się ogromne skarpy z piaskowca, nadgryzione przez słońce i wiatr, a wśród ich nagich, czerwonych kształtów ziały poszarpane, czarne czeluście.

Pisząc ten wiek ograniczył się do absolutnego minimum. Chciał przeprowadzić eksperyment i to wszystko. Chciał sprawdzić, czy jego teorie dotyczące wad piątego wieku były słuszne czy też nie.

W ciągu minionych kilku tygodni stworzył dziesięć takich wieków, po dwa na każdy eksperyment. W tym wieku oraz w jeszcze jednym sprawdzał, czy zmiany, jakie zamierzał wprowadzić w systemie orbitalnym piątego wieku, przyniosłyby pożądane rezultaty. W innych eksperymentował ze strukturą płyt tektonicznych pod skorupą planety, z rodzajem i siłą prądów morskich, fluktuacjami pola grawitacyjnego oraz ze składem samej skorupy.

We wszystkich dziesięciu próbnym wiekach odtworzył tę samą strukturę, którą znalazł w księdze wieku piątego, wprowadzając jedynie drobne modyfikacje, głównie dodatki. Jeżeli te nowe sformułowania okażą się poprawne, to ten wiek będzie stabilny. Jeżeli zaś ten okaże się stabilny, to podobnie rzecz się będzie miała z piątym wiekiem, kiedy Atrus wpisze zmiany do książki.

Rozejrzał się, zanotował spostrzeżenia w dzienniku, po czym zamknął go i wrzucił do plecaka.

Jak dotąd eksperymenty dowiodły niezbitcie jednego: wiek piąty był skazany na zagładę. Jeśli Atrus nie wpisze tych decydujących zmian do książki, wiek zdegeneruje się i rozpadnie w ciągu jednego pokolenia.

Zdjął okulary, zamrugał i potarł oczy. Od lat nie czuł się tak zmęczony, ale teraz nie mógł przerwać pracy. Do ślubu pozostało zaledwie dziesięć dni, a do tego czasu wszystko musiało zostać przygotowane.

Atrus z powrotem włożył okulary i czekał. Księżyc miał wzejść lada moment, a wtedy wszystko się wyjaśni.

Jeżeli jego rozumowanie było słuszne, Gehn umieścił pojedynczy księżyc piątego wieku w obrębie synchronicznego dystansu orbitalnego planety. W wyniku tego przyływy stale się nasilały, a w rezultacie księżyc musiał zostać ściągnięty na coraz niższe orbity i w końcu roztrzaskać się o powierzchnię planety. Ostateczna katastrofa miała się wydarzyć dopiero za wiele pokoleń, ale wcześniej potężne przyływy, wywoływane przez zbliżającą się orbitę księżyca, zniszczyłyby wyspę, wciągając ją do morza.

Trzeba było odepchnąć księżyc na stabilną, synchroniczną orbitę tak, by jego obroty zostały zharmonizowane z obrotami planety. Zadanie to komplikował fakt, że musiał tego dokonać niepostrzeżenie.

Ściemniło się, a Atrus otulił się szczelniej płaszczem. Panował tu przenikliwy chłód; dobrze by było wrócić do D'ni, choćby po to, żeby się wyspać.

Czekał, patrząc, jak słońce znika za linią horyzontu. Odwrócił się i poszukał wzrokiem księżyca. Dostrzegł go natychmiast, dokładnie za sobą: wielka srebrnoniebieska tarcza świeciła złowrogo tuż nad ziemią.

Źle – pomyślał i zadrżał. – Jest o wiele za blisko.

Wstrząsy zaczęły się natychmiast. Mały płaskowyż zawibrował, jak gdyby pod skałą włączono jakąś maszynę. Morze pokryło się drobnymi wgłębieniami, jak arkusz czystej blachy.

Atrus spojrział na księżyc. Gdzie tkwił błąd? Czyżby wpisał jakąś sprzeczność? Może po prostu zmiany, które wprowadził, okazały się niewłaściwe? A może w wyniku zmęczenia pomieszał książki? Czy znajdował się w niewłaściwym wieku, wieku, w którym powiększył kurczącą się orbitę księżyca?

Drżenie się nasiliło i przeszło w regularne wstrząsy. Z wnętrza ziemi dochodziły jęki, głośnie trzaski, odgłos głązów spadających z pluskiem do morza, podczas gdy samo morze wrzało jak w wielkim kotle.

Ziemia w oddali lśniła, ale nie srebrnoniebieskim światłem księżyca, lecz ognistymi barwami czerwieni.

Zimny wiatr dał przez płaskowyż.

Atrus zmarszczył brwi, podszedł do krawędzi, założył okulary i zwiększył ogniskową.

Odległa poświata pochodziła od magmy, która chlustała spod ognistej pokrywy. Tam, pod niskim, olbrzymim księżycem, skorupa planety rozdzierała się na kawałki.

Hałas stał się ogłuszający, a wstrząsy tak silne, że Atrusowi trudno było ustać w miejscu. Musiał już wracać.

Atrus zrobił półobrót. Chciał zsunąć plecak i wyjąć książkę łączącą, ale w tym momencie ziemia zachybotła się gwałtownie.

Padając, wyciągnął ręce na oślep i złapał się pobliskiego głazu. Przestał się dzięki temu ześlizgiwać, ale na nic się to nie zdało, ponieważ cały płaskowyż powoli się przechylał, osuwając się cał po calu do morza.

Co więcej, plecak utknął pod nim, a kiedy spróbował wstać, żeby go wyjąć, rozluźnił uchwyt i zaczął spadać po przechylnym płaskowyżu.

Przez chwilę szorował dłońmi po powierzchni skały, aż nagle znalazł się w powietrzu.

- Nie...!

Krzyk Atrusa umilkł gwałtownie, kiedy zderzył się z zimną, ciemną powierzchnią morza.

Na moment wpadł w panikę, ponieważ stracił orientację we wzburzonych odmętach. Potem jednak wypłynął na powierzchnię i zaczerpnął powietrza.

Woda chlustała mu w twarz, wypełniając usta i nos. Starając się jej nie połykać, próbował sięgnąć po plecak, by wyjąć z niego książkę.

Wtedy ją zobaczył.

Tuż przed nim, z grzbietem oświetlonym przez olbrzymi księżyc, wznosiła się fala. Wielka, czarna fala górowała nad okolicznymi skałami, miażdżąc je i krusząc jak nic nie znaczące drobiny.

W miarę jak fala się zbliżała, woda wokół Atrusa uspokajała się i wygładzała. Zapanowała niesamowita cisza, która kontrastowała z potężnym rykiem nadciągającej góry wody.

Atrus zapomniał się na chwilę i chłonął wzrokiem niezwykle widok.

Nagle ocknął się. Rozpiął plecak palcami zeszywniałymi z zimna, wyjął książkę łączącą i otworzył.

Do domu...

W chwili gdy Atrus położył dłoń na stronie, księżyc zgasł, a całe morze podniosło się, jakby na spotkanie wielkiej, czarnej ściany wody. Miał wrażenie, że czaszka pęknie mu od narastającego hałasu.

Atrus odzyskał przytomność na zimnej podłodze komnaty w D'ni, gdzie leżał w kałuży wody wyciekającej z ubrania.

Powietrze było chłodne, a cisza, po tamtym ohydny, niszczącym ryku, wydała mu się najcudowniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszał.

Odetchnął przypominając sobie moment, kiedy fala wznosiła się nad nim, jakby chciała go wessać. Usiadł.

Zdjął okulary i odwrócił się do biurka. Catherine siedziała na krześle, nieświadoma jego powrotu, pochłonięta lekturą książki.

- Catherine?

Podniosła wzrok, zamknęła książkę i odłożyła na bok. Nagle spostrzegła, w jakim był stanie. Szybko wstała i wyszła z biurka.

- Atrusie, dobrze się czujesz?

Wstał, zasłaniając się przed nią rękoma.

- Nic mi nie jest. Mam tylko drobne kłopoty z księżycem.

- Z księżycem?

Zbył jej pytanie machnięciem ręki, po czym zapytał łagodnie:

- Co tutaj robisz? Przecież ustaliliśmy, że najlepiej będzie, jeśli zostaniesz na Riven.

- Wiem, ale... - Urwała, podeszła do biurka i obróciła do siebie książkę. – Nie chcę tam wracać.

- Ale musisz. Nie wolno ci tu zostać.

- Pracowałam nad czymś – powiedziała, jak gdyby nie słuchała. – Chciałam ci zrobić niespodziankę.

Odwróciła się i wręczyła mu książkę.

Atrus wpatrywał się w Catherine, ale ponieważ milczała, położył książkę na biurku, usiadł i otworzył. Przez pewien czas siedział w milczeniu. Jedynym odgłosem w przestronnej komnacie był szelest przewracanych kartek. W końcu podniósł wzrok.

- Co to jest?

Podeszła do niego i spojrzała na otwartą książkę.

- Napisałam dla nas wiek. To jest miejsce, do którego możemy się udać.
Nazwała je Myst.

- Ale on tak bardzo różni się od tamtego wieku.

- Nie podoba ci się?

- Nie... sam bym coś takiego stworzył, gdybym miał czas. Ty... - Zaśmiał się i położył dłoń na dłoni Catherine. – Myślę, że jesteś niesamowita.

- Uczyłam się.

Atrus ponownie zagłębił się w lekturze, zdumiony powściągliwością stylu, głębokim zrozumieniem zasad D'ni, które przewyższało nawet jego zrozumienie. Milczał przez dłuższą chwilę.

- Muszę jeszcze wykończyć dwa fragmenty – powiedziała przerywając milczenie. – Ale kiedy to zrobię...

- Zabierzesz mnie tam?

- Oczywiście – odparła Catherine z uśmiechem. – A teraz zjedź mi z drogi. Muszę wracać do pracy.

Po wyjściu Catherine Atrus oparł się na krześle.

Niezależnie od tego, co czuł do Catherine i co ona czuła wobec niego, praca jaką miał do wykonania, była znacznie ważniejsza. Jeżeli pozwoli ojcu zatriumfować w piątym wieku, to Gehn zatriumfuje także we wszystkich innych miejscach, ponieważ jego ambicjom nie było końca. Ujrzawszy to, co Catherine stworzyła – przez przypadek lub celowo – w dwóch wiekach, Atrus pojął, że Gehn mógł zrealizować swoje marzenie o wskrzeszeniu kultury D'ni czy choćby jej namiastki. Ojciec mógł stworzyć nieprzeliczone niewolnicze światy, ustanowić siebie ich panem i podporządkować sobie miliony ludzi.

Istniało tylko jedno wyjście: zwabić Gehna do piątego wieku, a następnie zniszczyć wszystkie książki łączące, za pomocą których mógłby się stamtąd wydostać. Z planem tym wiązało się jednak ryzyko, że Atrus sam zostanie tam uwięziony. Teraz, gdy Catherine stworzyła dla nich schronienie na wyspie Myst, myśl o klęsce wydała mu się nie do zniesienia.

Oczywiście będą musieli napisać też inny, oddzielny wiek, prosty, nie zamieszkały świat, do którego będą mogli dotrzeć z Myst, obfitujący w niezbędne owoce i zioła, ponieważ w jej wieku o dziwo brakowało takich rzeczy.

Myśląc o tym, co przeczytał w najnowszej książce Catherine, zaczął się zastanawiać, czy naprawdę ją napisała, czy też, podobnie jak Gehn, przepisała fragmenty z innych książek. Ten wiek tak samo bardzo różnił się od pierwszego świata Catherine...

A może nieuczciwie ją posądzał? W końcu przecież się uczyła...

Potrząsnął głową, próbując się skoncentrować na pracy.

Nadrzędnym celem było ustabilizowanie wyspy. Następnie musiał odkryć miejsce, w którym Gehn przechowywał swoją książkę łączącą, ponieważ w przeciwnym razie nie zdoła go uwięzić. Będzie musiał się tam udać i poszukać, sprawdzić wszystkie możliwe miejsca.

Najprawdopodobniejszą skrytką była grota na tyłach świątyni.

Teraz jednak musiał się zająć innymi sprawami. Atrus ziewnął i wyjął notes z piątego wieku. Otworzył dziennik na stronie ze zmianami, które miał nanieść do księgi piątego wieku, i zaczął pisać.

Atrusie! Atrusie!

Obudził się, nie wiedząc, co się dzieje. Catherine stała przy łóżku, potrząsała nim i raz po raz krzyczała jego imię.

- Atrusie, obudź się! Musisz mnie wysłuchać!

Usiadł, zaspany, z trudem otwierając oczy.

- Co takiego?

- Chodzi o Gehna... Przyspieszył datę ślubu!

- Datę? – Senność momentalnie ustąpiła. – Na kiedy ją przeniósł?

- Ślub ma się odbyć za trzy dni. Mamy trzy dni.

Atrus jęknął. To było niemożliwe! Przed naprawieniem piątego wieku musiał przeprowadzić więcej eksperymentów. Pozostawała też kwestia książki łączącej Gehna. Jeżeli nie uda mu się jej zdobyć...

- Catherine, czy wiesz, gdzie Gehn przechowuje swoją książkę łączącą?

Skinęła głową.

- Czy możesz zabrać mnie na Riven i pokazać mi to miejsce?

- Co zamierzasz zrobić? – spytała po chwili wahania.

- Czy mój ojciec spodziewa się zobaczyć cię przed ślubem?

Catherine pokręciła głową.

- To dobrze. – Atrus ogarnął wzrokiem zagracone biurko. – W takim razie zabierzemy to wszystko na Myst, wszystko oprócz ksiązek dotyczących Myst i piątego wieku. Chcę, żebyś tam została, Catherine. Chcę, żebyś trzymała się z dala od D’ni i Riven.

- Ale będziesz potrzebował pomocy...

Atrus spojrzał na nią surowo.

- Największą pomocą będzie dla mnie pewność, że jesteś bezpieczna.

- Ale co ty zamierzasz zrobić?

Wstał, wyszedł zza biurka i delikatnie położył jej dłonie na ramionach.

- Czy ufasz mi, Catherine?

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Wobec tego czekaj na mnie. Kiedy tylko załatwię sprawę z ojcem, przyłączę się do ciebie na wyspie Myst.

Przez twarz Catherine przemknął przelotny grymas, jak gdyby chciała zaprotestować, potem jednak skinęła głową.

- Świetnie. A teraz wracajmy na Riven. Chciałbym, żebyś mi pokazała, gdzie mój ojciec przechowuje swoją książkę łączącą.

22

Ostrożnie, tak by ich nie zauważono, weszli na schody świątyni i zagłębili się w jej ocienionym wnętrzu. Od ostatniego pobytu Atrusa w tym miejscu udekorowano je wielkimi, złotymi i czerwonymi proporcami. Wszystko było gotowe do ślubu.

Mój ojciec i Catherine... nie, do tego nigdy nie dojdzie.

Wszedł za Catherine za wielki parawan ze złotego jedwabiu, z sylwetką Gehna wyhaftowaną pośrodku, a potem zeszli wąskimi schodami do groty. Była dokładnie taka, jak sobie wyobrażał.

- Przyprowadzał nas tutaj na ceremonię połączenia – powiedziała cicho, prawie szeptem. – Kazał wybrańcowi wypić coś z jednego z tych złotych kielichów. Napój miał delikatny smak anyżu. Później... cóż, później już nic się nie pamiętało. Jednak niedawno... - Spuściła wzrok. – Niedawno mi zaufał. Przyprowadził mnie tutaj i pokazał skrytkę na książkę.

Atrus patrzyła, jak Catherine przechodzi przez niską grootę, staje na palcach i sięga do jednego z otworów, które znaczyły ścianę po lewej. Przez chwilę szperała, aż wreszcie wyjęła cienką skrytkę zawierającą książkę łączącą Gehna.

Atrus podszedł do otworu ze spuszczoną głową, a potem wycofał się, utrwalając w umyśle położenie książki w sposób, jakiego nauczyła go Anna.

- Chodź – powiedział biorąc Catherine za rękę. – Wrócimy do twojej chaty po resztę książek.

Pociągnęła go za rękę, zmuszając do tego, żeby się do niej odwrócił.

- Atrusie?

- Tak?

Nachyliła się i pocałowała go w policzek; było to właściwie tylko jedno delikatne muśnięcie. Potem ruszyła dalej, ciągnąc go za rękę. Wiedziała, że do ślubu zostało już niewiele czasu, a mieli jeszcze tyle do zrobienia.

Atrus zamrugał w jasnym słońcu, które raziło go po mroku więzienia, i włożył okulary.

Stał na drewnianym pomoście z ciężkim plecakiem pełnym książek. Woda obmywała skały w dole, a gdzieś w odległej mgłę krzyczały żałośnie mewy. Morze było spokojne i zielone, marszczone lekką bryzą, wiejącą od strony wyspy z północnego zachodu. Na wschód od miejsca, w którym stał, wystawała z wody naga skała, wysoka na dwadzieścia, szeroka na trzydzieści czy czterdzieści stóp, przypominająca spiłowany pień drzewa. Na lewo od skały wznosił się ostry wierzchołek wysokości ponad stu stóp, a za Artusem, za wąską skalną półką, zachodni kraniec wyspy porastały wysokie sosny.

Atrus uśmiechnął się. W czystym, przejrzystym powietrzu unosił się mocny zapach sosen. Na jasnoblękitnym niebie szybowały wysoko kosmyki cirrusów.

Odwrócił się, odczekał chwilę, po czym ujrzał Catherine, która pojawiła się na drewnianym pomoście, obarczona ciężkim plecakiem.

- Jak pięknie...

- To ty to napisałaś – powiedział. – Biorąc pod uwagę, jak mało miałaś czasu, myślę, że wykonałaś wspaniałą pracę.

Atrus rozejrzył się, wdychając czyste powietrze.

- Co za cudowny zapach.

Nagle zamarł, ponieważ uzmysłowił sobie, że tak samo pachniał trzydziesty siódmy wiek, zanim Gehn go zniszczył.

- Co się stało? – spytała, widząc zmianę na jego twarzy.

- Nic takiego – odparł i otrząsnął się z nastroju przygnębienia.

- W takim razie, chodź. Pokażę ci chatę.

- Chatę?! Zdążyłaś już wybudować chatę?

Wzięła go za rękę i poprowadziła wąską ścieżką, która wspinała się po skalistym zboczu. Na szczycie rozpościerała się łąka. Szum wiatru był tu głośniejszy, ale zagłuszany przez łagodny śpiew ptaków.

- Tak – rzekł po chwili. – Tutaj mógłbym mieszkać.

Catherine uśmiechnęła się, ścisnęła go za rękę i wskazała na szeroką ścieżkę, biegnącą w trawie między drzewami.

- To tam – powiedziała. – Zaraz po lewej.

Zeszli stromą dróżką, aż stanęli przed chatą.

Atrus przyglądał się przez chwilę konstrukcji, zwracając uwagę na zgrabne dopasowanie bali, na sprytne wykończenie desek framugi drzwiowej. W końcu potrząsnął głową w najwyższym zdumieniu. Najwyraźniej charakter Catherine posiadał aspekty, o które wcześniej Atrus jej nie podejrzewał.

- To dobry początek – powiedział cicho.

- Cieszę się, że tak myślisz.

Odwrócił się i spojrzał na szczyt.

- Moglibyśmy tu coś zbudować. Może w końcu miałbym własną bibliotekę.

- Cśśś... - uciszyła Atrusa, rozbawiona jego zapalem. – Na wszystko przyjdzie czas. Najpierw musimy się rozprawić z Gehnem.

- Tak... - Od razu wrócił na ziemię. – Pomogę ci się rozpakować, a potem wrócę na Riven. Obróć jeszcze dwa razy i to powinno wystarczyć.

- Czy jesteś pewien, że w niczym nie mogę ci pomóc?

Zawahał się, potem przytulił ją i pocałował.

- Nie – powiedział, patrząc w zieloną głębię jej oczu. – Po prostu czekaj tu na mnie, zgoda?

- Zgoda – odparła, nachyliła się i pocałowała go delikatnie w nos.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Wobec tego, chodź. Zostawię książki i wracam na Riven.

Jednak po przeniesieniu książek do chaty i złożeniu ich w kącie, Atrus zabawił dłużej na wyspie Myst.

Catherine już dawniej przyniosła z Riven koce i w kącie, naprzeciwko książek, wymościła prowizoryczne posłanie. Za poduszkę posłużył plecak. Na widok posłania Atrus wyobraził ją sobie tutaj po swoim odejściu i po raz pierwszy pojął, jak bardzo będzie samotna, jeżeli do niej nie wróci.

- No i co? – spytała od progu, a Atrus odwrócił się gwałtownie, zaskoczony jej nagłym pojawieniem się.

- Przestraszyłaś mnie – powiedział ze śmiechem.

- Przestraszyłam cię? – Podeszła bliżej. – Czyżbyś się mnie bał, Atrusie?

- Nie – odparł i uśmiechnął się, kiedy delikatnie musnęła go palcami po twarzy.

– Nigdy nie mógłbym się ciebie bać. Chciałem powiedzieć, że mnie zaskoczyłaś.

- Wobec tego będę cię dalej zaskakiwać.

Wyminęła go i wetknęła łodyżkę małego białego kwiatu między dwa bale w taki sposób, że zwisał dokładnie nad jej postaniem.

Popatrzył na kwiat, a potem spojrzął jej w oczy.

- Co to jest?

- Ten kwiat ma mi ciebie przypominać, kiedy odejdiesz. – wstała i podała mu rękę. – Przejdziemy się, Atrusie? Wzdłuż brzegu?

Nagle zdał sobie sprawę, że zabawił tu już o wiele za długo, ale spacer z Catherine wydał mu się ważniejszy niż wszystko.

Wziął ją za rękę i wyszedł na popołudniowe słońce.

Wiatr osłabł, powietrze znacznie się ociepliło, a chmury zniknęły. Podniósł wzrok i pomyślał, że to byłaby dobra noc na obserwowanie gwiazd. Jakie gwiazdy mogły świecić nad wyspą Myst?

Gdybym tylko mógł zostać...

Jednak nie mógł zostać. Los chciał inaczej. Atrus musiał powstrzymać Gehna, bez względu na rezultat.

Szli wolno ścieżką, potem przecięli zagajnik i wyszli na trawiaste zbocze. W dole leżało morze, które ginęło w odległej mgle. W pobliżu, na lewo od nich, znajdowała się mała wysepka, oddzielona od brzegu wąskim pasem wody.

- Chodź – powiedziała, prowadząc go w dół, aż stanęli w odległości zaledwie paru jardów od powierzchni morza. – Usiądźmy i porozmawiajmy.

Po chwili wahania Atrus usiadł obok niej.

- O czym?

- O przyszłości.

- Masz na myśli to, czy wrócę z Riven?

- A wydaje ci się, że nie wiem, co sobie zaplanowałeś?

- Czy tak łatwo mnie rozgryźć? – zaśmiał się Atrus.

- Nie. Wiem jednak, że postanowiłeś zrobić to, co właściwe, nawet jeżeli oznaczałoby to złożenie siebie w ofierze.

- Ja wrócę – powiedział kładąc dłoń na dłoni Catherine.

- Czy istnieje jakieś ryzyko?

Skinął głową.

- I chcesz, żebym tutaj została bez względu na wszystko?

Ponownie skinął głową.

- A co z książką, dzięki której można dostać się do D'ni?

- Zniszcz ją natychmiast po moim odejściu.

- Jeżeli więc Gehn połączy się z tą wyspą, utknie tu razem ze mną i zapasem pustych książek.

Atrus spuścił wzrok. Była to jedyna wada jego planu. Chcąc mieć pewność, że zamknie Gehna w pułapce, natychmiast po powrocie do piątego wieku powinien zniszczyć własną książkę łączącą Riven z D'ni. Jednak w takiej sytuacji sam znalazłby się w pułapce, a chciał wrócić. Nie, nie tylko chciał, ale musiał. Żeby być z nią.

- Będę uważał – obiecał. – Wiem, w którym miejscu on się łączy. Zabiorę jego książkę łączącą ze skrytki i poczekam, aż się pojawi. Kiedy tylko postawi nogę na Riven, spalę jego książkę łączącą. Potem pozostanie mi tylko zniszczyć własną.

Oczy Catherine śmiały się do Atrusa. Nachyliła się i pocałowała go w czubek nosa.

- Dobrze. Nie mówmy więcej o twoich planach. Co z tobą? Prawie nic o tobie nie wiem. Na przykład twoja babka, Anna. Czy pamiętasz, jaka ona była?

Była taka jak ty – chciał powiedzieć, ale wspomnienie Anny kazało mu spuścić wzrok.

Zdjął z pleców prawie pusty plecak, wyjął dziennik i wręczył go Catherine.

Trzymała małą, szarą książeczkę tak ostrożnie, jakby to było żywe stworzenie.

- To jest mój dziennik. Chcę... chcę, żebyś go przeczytała podczas mojej nieobecności. Może dzięki niemu... lepiej mnie zrozumiesz.

- W razie gdybyś nie wrócił?

Po chwili wahania skinął głową.

Nagle pojawił, czego obawiała się Catherine. Towarzystwa. Zależało mu na kimś, kto by rozumiał, z kim mógłby się dzielić przygodami i eksperymentami. Taki ktoś stałby u jego boku, jak kiedyś Anna, ale nie tylko jako nauczycielka czy zastępcza matka, ale jako pełnoprawna partnerka.

Delikatnie położył palce na jej policzku.

Na jedną króciutką chwilę osiągnęli pełnię. Siedzieli we dwoje w słońcu nad wodą, Catherine z zamkniętymi oczami, z dziennikiem Atrusa na kolanach, z twarzą lekko przechyloną na spotkanie łagodnego dotyku jego palców, podczas gdy Atrus patrzył na nią w zachwycie, jak na wiek, którego nigdy nie miał odwiedzić, a tylko dostrzec przelotnie przez opisującą stronę książki.

Wreszcie Catherine odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Lepiej już idź, Atrusie.

Myśl o odejściu stała się nagle jednoznaczna ze śmiercią. Wszystko, czego chciał od życia, to pozostać tutaj, na wyspie Myst.

- Catherine...

- Dam sobie radę. Idź już.

Po powrocie do D'ni Atrus usiadł za biurkiem i utkwiał niewidzące spojrzenie w okładce książki wieku piątego. Zrezygnowany, z ciężkim sercem poddał się losowi.

Istniał tylko jeden, jedyny sposób, który pozwoliłby mu na ponowne spotkanie z Catherine: zabić ojca. Połączyć się z gabinetem Gehna i zniszczyć tego człowieka. Było to jednak niemożliwe, ponieważ krzywdzenie drugiego człowieka nie leżało w naturze Atrusa, nawet jeżeli przyświecał temu najszczytniejszy cel.

Nic dobrego nie może się zrodzić z takiego zła – myślał, wiedząc, że gdyby Anna znalazła się obok niego, przyznałaby mu rację. – Gdybym zabił ojca, cień winy padłby na moje życie z Catherine.

Nie miał co do tego żadnych wątpliwości, a zatem jego los został przypieczętowany. Musiał podjąć ryzyko, że utraci ją na zawsze.

Jeżeli nie mogę jej mieć, będę miał przynajmniej coś, co ożywi wspomnienie o niej...

Westchnął, żalując teraz, że nigdy nie spytał Anny o swoją matkę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie wiedział nawet, jak wyglądała.

Wyglądała tak jak ty, Atrusie – rozległ się w jego głowie głos, tak wyraźny, że podniósł wzrok ze zdziwieniem.

- Tak – powiedział i uśmiechnął się.

Atrus przyciągnął do siebie księgę wieku piątego i otworzył na ostatniej stronie. Wziął pióro z podstawki i zaczął wpisywać do książki opracowane wcześniej zwroty.

Atrus połączył się. Zniknął w mgnieniu oka, a powietrze w miejscu, w którym siedział, stało się dziwnie przezroczyste, jak powierzchnia wolno płynącego strumienia. Nagle z nicości wyłoniła się inna postać.

Była to Catherine.

Odłożywszy książkę łączącą na biurko, zamknęła księgę Myst i wsunęła do plecaka. W tym momencie pojawiła się kolejna postać. Stanąwszy za krzesłem patrzyła, jak Catherine przyciąga do siebie księgę piątego wieku i wertuje aż do ostatniej strony. Gdy Catherine wzięła pióro Atrusa z podstawki, postać poprowadziła jej rękę i dodawała otuchy, aż Catherine zaczęła pisać.

W grocie za świątynią panował mrok i silny zapach kadzideł, których dym spływał z wielkich kadzielnic zwisających z sufitu. Atrus przystanął mrużąc oczy w głębokim cieniu, chwilę nasłuchiwał, a w końcu szybkim krokiem przeszedł przez grotę.

Kucnął, wyjął z kieszeni hubkę z krzesiwem dziadka, zapalił, po czym przesunął wolno wzdłuż ściany groty, aż znalazł kamień znakujący. Posuwając się w górę niego, natrafił na otwór, w którym Gehn przechowywał swoją książkę łączącą.

Atrus wspiął się na placach, sięgnął do wąskiego otworu, aż natrafił palcami na zimną skałę. Przez chwilę sądził, że się pomylił, ale wreszcie jego palce musnęły krawędź cienkiej skrzynki. Wyciągnął ją i otworzył w świetle hubki. Książka łącząca leżała na swoim miejscu.

Wyjął ją, odłożył skrzynkę do otworu i wsunął książkę do plecaka. Zgasił hubkę i ruszył do wyjścia.

Schylił głowę pod niskim nadprożem i szybko zszedł po schodach. Nagle usłyszał głosy dochodzące od frontu komnaty. Stał i ukrył się za dużym złotym parawanem.

- Wkrótce tu będzie – usłyszał głos starego mężczyzny. – Zbierz wieśniaków na zboczu pod świątynią. Po ceremonii będą mogli złożyć tam dary.

- Tak się też stanie – odparł nieco młodszy głos. Po chwili dodał ciszej, nieco konspiracyjnym tonem: - Widziałeś, jak uśmiechała się do Wszechmocnego Gehna podczas próby? Nie ma tu żadnego udawania, co? Zobaczymy zaślubiny, które zostaną skonsumowane w niebie!

Atrus poczuł, że kostnieje z zimna. Próba? Catherine nie wspominała o żadnych próbach. Słowa nieznanomych zaniepokoiły go.

Nie – powiedział do siebie. Dlaczego jednak ci dwaj mieliby mówić nieprawdę. Przecież nie wiedzieli, że krył się za parawanem.

Przełknął ślinę, powoli podpełzł do krawędzi parawanu i wyrzwał ponad poręczą krzesła.

Dwaj mężczyźni stali odwrócenii do niego plecami, odziani w płaszcze będące kopią płaszczy cechu D'ni, pełne tajemnych symboli cechowych. Patrzył, jak siwobrodzi kłaniają się sobie i wychodzą.

Atrus szybko wyszedł z za parawanu, żeby zobaczyć, co takiego przynieśli. Na marmurowym postumencie, w samym środku komnaty, stała płytka misa z kamienia D'ni, a w niej dwie przepiękne złote bransolety, jedna znacznie grubsza od drugiej.

Sam ich widok przyprawił go o mdłości.

Widziałeś, jak uśmiechała się do Wszechmocnego Gehna? Widziałeś, jak się uśmiechała?

Miał ochotę podnieść misę i cisnąć nią przez pokój, ale wiedział, że musi stłumić w sobie tę złość. Gehn nie może niczego podejrzewać. Musi czekać na nadejście panny młodej. Musi wierzyć...

Atrus potrząsnął głową, odepchnął wątpliwości na bok i zatrzymał nie kończący się strumień pytań, który groził zatopieniem go.

Catherine jest na wyspie Myst. Osobiście ją tam zabrałem. Jest bezpieczna, a raczej będzie, kiedy zdołam uwięzić Gehna tu, na Riven.

Odwrócił się, szybkim krokiem podszedł do frontu komnaty i wyrzwał z za jednego z filarów. Dwaj członkowie cechu zniknęli bez śladu. Powoli, ostrożnie, zszedł po schodach, przekroczył dziedziniec, zagłębił się w gęstwą drzew i ruszył ścieżką w stronę plaży.

Idąc przez zagajnik, zebrał tyle chrustu i suchych gałęzi, ile tylko zdołał unieść.

Kiedy znalazł się pod nawisem skalnym, przystanął i omiół wzrokiem kamienistą plażę. Dwie dziwne skały w kształcie zębów zostały złamane, a może obcięte. Przez chwilę patrzył na wzbierający przypyw. Nadciągające fale falowały jak prześcieradło na wietrze, maleńkie kulki wody, ogrzanej popołudniowym słońcem, turlały się po plaży, setki pęcherzyków dryfowały na powierzchni, po czym znowu wtapiały się w przypyw.

Smutno będzie opuścić ten świat. Smutno będzie nie poznać go lepiej.

Odwrócił się i podszedł do skarpy. Złożył naręcze chrustu na ziemi, zebrał kilka dużych kamieni, ułożył je w zwarty okrąg, po czym przygotował proste ognisko z chrustu i gałęzi.

Wyjął z kieszeni hubkę dziadka i położył na płaskiej skale. Zdjął plecak, uklęknął, wyjął książkę łączącą Gehna i położył obok ogniska.

Następnie ukrył hubkę w dłoniach, skrzesał ogień, podpalił chrust rozdmuchując płomienie, aż zaczęły lizać książkę łączącą.

Atrus usiadł na ziemi. Teraz! Musi wydobyć swoją książkę łączącą! Potem wystarczy się połączyć, trzymając książkę nad ogniskiem. Kiedy wpadnie w płomienie, Gehn zostanie tu uwięziony na zawsze.

Podszedł do skarpy i podciągnął się na rękach, aż znalazł się na wprost zagłębienia, w którym była ukryta książka. Leżała nieco w głębi, musiał więc wcisnąć się do otworu, aż do niej dosięgnął.

23

Kiedy odzyskał przytomność, stał pod gołym niebem niedaleko świątyni, przywiązany do grubego pala. Ręce miał ściągnięte do tyłu, przeguby związane, a sznury kępowały mu szyję, talię i kostki.

Stopniowo przyzwyczał oczy do słabnącego światła, potem przekręcił głowę i rozejrzał się wokół.

Tuż obok niego, na małym stole – tak blisko, że gdyby miał wolne ręce, dosięgnąłby do nich – leżały dwie książki łączące.

Atrus jęknął, ponieważ nagle wszystko sobie przypomniał. Poczł czyjś dotyk na ramieniu i oddech ojca na policzku.

- A więc wróciłeś do nas, Atrusie – powiedział cicho Gehn, mówiąc tylko do niego. – Przez chwilę myślałem, że cię straciłem. Czasami nie znam własnej siły.

Atrus spuścił głowę i skrzywił się na myśl o Catherine. Czekala na niego na Myst, a on ją zawiódł.

- Catherine, och, nasza sprytna Catherine – powiedział Gehn, jak gdyby czytał w myślach Atrusa. – Chyba nie przypuszczałeś, że opuści własny ślub?

To powiedziawszy, Gehn odwrócił się do postaci, która stała tuż za nim w cieniu okolicznych drzew. Kiedy wyszła na słońce, z Atrusa jakby uszło powietrze.

To była ona!

Zamknął oczy i jęknął, przypominając sobie słowa starców i widok dwóch złotych bransolet w płytkiej, czerwono-czarnej misie.

Ona wychodzi za mojego ojca...

Ta myśl była nie do zniesienia. Niemal słyszał ich szydery śmiech. Kiedy jednak ponownie otworzył oczy, ujrzał Gehna, który stał przed wyspiarzami z piątego wieku, wznosząc do góry ręce jak król zwracający się do poddanych.

- Mieszkańcy piątego wieku – zaczął Gehn potężnym, władczym głosem. – Doszło do moich uszu, że niektórzy z was... - Gehn wskazał na małą grupkę, której Atrus dotychczas nie zauważył, a może wcześniej jej tam nie było. Wśród tych ludzi, klęczących tuż przed Gehnem, Atrus dostrzegł dwóch braci: Carela i Erlara. Wszyscy

mieli związane ręce. – Jak już powiedziałem, niektórzy z was postanowili pomagać moim wrogom. Zaopiekowali się tym szalbierzem, który śmie nazywać siebie moim synem! – Odwrócił się i wskazał na Atrusa. – Nie mogę tolerować takiego zachowania. Taka krnąbrność musi zostać ukarana.

Wśród wyspiarzy rozległy się lękliwe pomruki.

- Tak – ciągnął Gehn. – Ostrzegalem was, ale nie posłuchaliście. Za karę spuszczę na was powodzie...

- Nie... - Atrus odzyskał głos.

- Słońce stanie się czarne...

- Nie...

- Sama ziemia zatrząsie się, a wielkie drzewo runie!

- Nie! – krzyknął Atrus po raz trzeci, tym razem na tyle głośno, by niektórzy w tłumie go usłyszeli. – Nie! On się myli! Ja to naprawiłem. Naprawiłem wszystkie słabości tej książki. Ja...

Atrus urwał, widząc ohydny uśmiech triumfu na twarzy ojca. Gehn stanął tuż przed nim.

- Dobra robota, Atrusie... Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. – Uśmiech Gehna stał się nagle bezlitosny i szyderczy. – Z wielką chęcią przeczytam te zmiany, które byłeś łaskaw dla mnie opracować. – Odsunął się, pstryknął palcami i wezwał najbliższego stojącego członka cechu. – Rozwiąż go!

Gehn ponownie odwrócił się do tłumu i podniósł ręce.

- Mieszkańcy piątego wieku, macie niezwykle szczęście. Poprosiłem tego oto sługę, by wypełnił mój rozkaz i tak też uczynił. Waszemu światu nic już nie grozi. Jeśli jednak jeszcze raz dopuścicie się wykroczenia, jeżeli się dowiem, że ktokolwiek z was pomaga moim wrogom, wówczas cały ciężar gniewu spadnie na was. Nie zamierzam się nad tym dłużej rozwodzić. Teraz jest czas, by patrzeć w przyszłość i świętować. Dzisiaj o zachodzi słońca córka tego wieku zostanie moją żoną i będzie władać tysiącem światów!

Tłum powitał te słowa głośnymi wiwatami. Gehn odwrócił się do Atrusa, nie kryjąc triumfu.

Atrus spuścił głowę i w tym momencie opuściła go cała wola walki. Został wystrychnięty na dudka. Tych dwoje posłużyło się nim. Został zdradzony.

Zacisnął dłonie i delikatnie potarł przeguby o sznur. Ból stał się nie do zniesienia. Poczuli się pokonani. Wyczerpał wszystkie możliwości.

Jednak Gehn jeszcze nie skończył. Podeszedł do syna, zbliżył twarz i powiedział tak, że tylko Atrus mógł go usłyszeć.

- Nie myśl, że z tobą skończyłem, chłopcze. Przysporzyłeś mi niewiarygodnej ilości kłopotów, o czym nigdy nie zapomnę. Jeśli o mnie chodzi, nie jesteś już moim synem. Rozumiesz? Nie jesteś mi już potrzebny. Spełniłeś swoje zadanie. – Gehn posłał Catherine obmierzły, chełpliwy uśmiech. – Rozumiesz to, prawda? Catherine i ja... - Roześmiał się. – To silna, młoda kobieta. Może mój następny syn mnie nie zawiedzie!

Atrus jęknął. Otaczał go jakiś koszmar. Nawet gdyby nadal stał przywiązany do pala, nie czułby się bardziej bezsilny.

Catherine... moja ukochana Catherine...

Podniósł wzrok zdumiony. Ziemia drżała.

Nie... musiało mu się to wydawać.

Wtedy ziemia zatrzęsała się tak gwałtownie, jakby pod ich stopami przesunęła się wielka skała. Ze świątyni dobiegł rumor przewracającego się marmurowego postumentu, a misa z dwiema bransoletami spadła z grzechotem na marmurową posadzkę.

- Nie... - wykrztusił Gehn, rozglądając się dookoła dzikim wzrokiem. – Nie!

W tej samej chwili tuż przed świątynnymi schodami rozwarła się w ziemi wielka szczelina.

Niebo powoli czerniało. Słońce, które jeszcze przed chwilą płonęło na późno popołudniowym niebie, było zjadane. Czarne zakrzywione ostrze pożerało je cal po calu.

W nocy, która nagle zapadła, jedna po drugiej zapalały się gwiazdy.

Z potężnym, głuchym jękiem, jak gdyby bestia budziła się z długiego snu, ziemia zadrżała po raz kolejny, tym razem znacznie silniej. Dach świątyni runął, zwalając wielu członków cechu z nóg i rzucając na stół, gdzie leżały książki łączące.

Atrus rozejrzał się wokół z niedowierzaniem, widząc, jak siatka czarnych szczelin o poszarpanych krawędziach pokrywa łąkę. Nagle dostrzegł książki, które spadły na ziemię, skoczył więc, żeby je podnieść, ale w tym momencie Gehn zagroził mu drogę. Wymachiwał potężną włócznią, którą wyrwał jednemu z członków cechu. Złoto-czerwony proporzec wciąż powiewał na drzewcu.

- Zostaw je! – ryknął Gehn.

- Zejdź mi z drogi! – odrzyknął Atrus pojmując, że walka z ojcem jest nieunikniona. Los wyspy Riven został przypieczętowany. Nawet jeśli stracił Catherine, musiał powstrzymać Gehna.

Gehn miał jednak inne plany. Zaśmiał się szyderczo i zawołał:

- Jeżeli chcesz dostać te książki, musisz się uporać ze mną!

- Skoro tak, to proszę bardzo! – krzyknął Atrus i rzucił się na Gehna. Siłą rozpędu zwałił go z nóg. Przez chwilę się szamotali. Atrus chwycił drzewce włóczni, usiłując powstrzymać Gehna przed jej użyciem. Nagle Gehn zwolnił uchwyt, a Atrus runął w tył, wypuszczając włócznię. Ziemia pękała. Olbrzymie szczeliny pojawiały się wszędzie wokół nich. Powietrze rozgrzało się, a wszystko podświetlała czerwono pomarańczowa poświata, promieniująca spod ziemi.

Atrus wstał i rzucił się na ojca; zrobił to jednak zbyt wolno. Gehn odsunął się na bok, podstawiając mu nogę, a kiedy Atrus runął na ziemię, stanął nad nim, mierząc ostrzem włóczni w pierś syna.

- Jesteś do niczego. Już dawno powinienem cię zabić!

- Zabij mnie więc – odparł hardo Atrus.

Gehn wznosił włócznię, napił mięśnie, ale w tym momencie za jego plecami rozległ się krzyk.

- Gehnie!

Gehn odwrócił się i ujrzał Catherine, której ciemne włosy rozwiewał wiatr. Trzymała po jednej książce łączącej w każdej dłoni i stała nad ciemną szczeliną o poszarpanych brzegach, w głębi której płonął czerwony blask.

- Zrób mu krzywdę, a wrzucę te książki do szczeliny!

- Ależ Catherine, kochanie... - zaśmiał się Gehn z niedowierzaniem.

- Puść go – rozkazała tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Puść go, albo książki wylądują w szczelinie.

Gehn znowu się roześmiał i spojrzał na Atrusa.

- Nie... Nie, ja...

Ku jego zdumieniu Catherine wypuściła książkę z prawej dłoni. Błysnął płomień i książka zniknęła pod ziemią.

Zarówno Gehn, jak i Atrus wstrzymali oddech.

- Nie! – krzyknął Gehn, tym razem łagodniej, przymilniej. – Daj spokój, Catherine... przedyskutujmy to. Porozmawiajmy o tym rozsądnie.

Odsunął włócznie od piersi Atrusa, odrzucił na bok i ruszył w stronę Catherine, wyciągając przed siebie ręce.

- Przypomnij sobie o naszych planach, Catherine. Przypomnij sobie, co mieliśmy zrobić. Mieliśmy władać tysiącem światów. Pomyśl tylko. Napisze dla ciebie wszystko, czego zapragniesz. Mogłabyś mieć swój własny wiek. Jeżeli zechcesz, możesz tam zamieszkać, ale... jeśli zniszczysz tę drugą książkę, zostaniemy tu uwięzieni. Uwięzieni w ginącym świecie!

Gehn zrobił drugi krok.

- Chcesz książkę łączącą? – spytała, uśmiechając się po raz pierwszy.

Gehn skinął głową, powoli opuścił rękę i uśmiechnął się kącikiem ust.

- Wobec tego, masz! – krzyknęła i rzuciła książkę łączącą wysoko w górę ponad dymiącą szczeliną.

Z okrzykiem przerażenia Gehn skoczył za książką, wyciągając w górę rękę, ale było już za późno. Buchnął płomień i książka znikła w rozżarzonej otchłani.

Gehn patrzył z niedowierzaniem, potem wsparł się na łokciach i odwrócił się, rozglądając się za nimi z wściekłością. Atrus i Catherine zniknęli. Wiatr wył rozdzierająco, giał pobliskie drzewa, a ziemia toczyła się w górę zbocza, jakby zadając kłam grawitacji.

Na oczach Gehna świątynia wydała westchnienie i runęła w przód; zgrzyt kamieni brzmiał jak jęk umierającego olbrzyma. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że widzi wielki sżyteł, sterczący z ruin. Potem, z potężnym trzaskiem i niemal oślepiającym błyskiem, piorun uderzył w wierzchołek wielkiego drzewa, dwieście metrów od miejsca, w którym klęczał Gehn. Górna gałęzie momentalnie eksplodowały płomieniem, a w niebo wzniosła się olbrzymia ognista kula.

W tym nagłym przeblysku światła ujrzał ich po drugiej stronie zagajnika, jak uciekali między drzewami. Kiedy światło powoli zgasło, dwie sylwetki wtopiły się w ciemność drzew. Gehn wiedział jednak dokąd zmierzali. Wstał z ziemi i pobiegł, gnany przez wyjący wiatr.

Poczekaj! Poczekaj! – zawołał Atrus chwytając Catherine. Z trudem przekrzykiwał huk burzy. – Musisz mi powiedzieć, co się dzieje!

- O nic się nie martw! – odkrzyknęła, odgarniając włosy z twarzy. – Wszystko idzie tak, jak zaplanowałyśmy!

- Zaplanowałyście?

- Anna i ja.

- Anna? – Otworzył usta ze zdumienia.

Gałęzie drzew nad ich głowami tłukły o siebie na wietrze. Właśnie chciała mu odpowiedzieć, kiedy łoskot spadającego drzewa sprawił, że oboje podskoczyli.

To niemożliwe.

Atrus wpatrywał się w Catherine jeszcze przez chwilę, a potem dał się jej prowadzić dalej pośród drzew.

Szli wzdłuż wąskiej szczeliny. Początkowo sądził, że nie różni się od innych, które pojawiły się w wyniku trzęsienia ziemi, ale było w niej coś dziwnego. Szczelina lśniła... nie czerwono, ale niebiesko... jaskrawym, lodowatym błękitem.

Po obu stronach kurz i liście, połamane gałęzie i kamyki podskakiwały i turlały się, gnane przez wiatr, który nie tyle wiał Atrusowi i Catherine w plecy, ile ciągnął ich za sobą. Wszystkie te drobinki znikaly, wessane przez lodowatą szczelinę.

Biegli między drzewami, a szczelina rozszerzała się powoli za nimi. Nagle, w miejscu, gdzie kończyły się drzewa, szczelina rozwarła się w swego rodzaju bezdenną rozpadlinę, o krawędzi oblanej tym zimnym, niebieskim światłem. Wewnątrz panowała jednak nieprzenikniona ciemność, intensywna, przyprawiająca o zawrót głowy ciemność pełna gwiazd.

Atrus stanął jak wryty. Wiatr szarpał go za nogi, ale wył ciszej niż pośród drzew. Mimo to Atrus z trudem utrzymywał się na nogach. Prawą ręką chwycił mocno Catherine w obawie, że i ona zostanie wessana przez tę dziwną, rozgwieżdżoną przepaść.

Spojrzał na nią, ciekawe, czy boi się równie mocno jak on, ale spostrzegł, że jest dziwnie spokojna, a usta i piękne zielone oczy rozjaśniał radosny uśmiech.

- Co to jest? – spytał, ponownie patrząc w przepaść, która zdawała się wsysać wszystko. Liście, ziemia, odłamki skalne znikaly w otchłani.

Były też inne rzeczy...

Atrus zamrugnął na widok świetlików Catherine, które zlewały się ze sobą i łączyły, pulsowały jaskrawymi barwami i furkotały pośród tego krajobrazu jak ze snu.

Catherine odwróciła się do Atrusa, oswobodziła dłoń, potem zdjęła plecak i otworzyła.

- Proszę – powiedziała, wręczając mu książkę.

Atrus patrzył na nią oniemiały. To była księga Myst.

- Ale co...?

Uciszyła go, kładąc mu palce na wargach.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, jakby to było, pływać pośród gwiazd?

Catherine uśmiechnęła się, otworzyła książkę łączącą i położyła na niej dłoń.

- Moglibyśmy wpaść w noc, dać się ukołysać gwiazdom, a potem wrócić do punktu wyjścia...

Ostatnie słowo rozbrzmiało echem, a Catherine zniknęła.

- Ale co ja mam zrobić? – zawołał za nią, podnosząc w górę książkę.

- To bardzo proste, Atrusie – rozległ się za nim głos. – Oddaj mi książkę.

Atrus odwrócił się i stanął twarzą w twarz z ojcem. Gehn trzymał w dłoni duży, poszarpany odłamek skały. Okulary zniknęły, siwe włosy zmierzwiłone, ale mimo to w jego postaci było coś niezaprzeczalnie królewskiego.

Atrus spojrział na księgę Myst, którą trzymał w dłoniach. Jego pierwszym impulsem było użycie księgi w celu powrotu na wyspę, ale takie rozwiązanie miało jedną oczywistą wadę. Gdyby posłużył się księgą, wpadłaby tutaj w ręce ojca i Gehn z pewnością udałby się za nim. Drugi impuls podszeptał mu, by wrzucić księgę do przepaści, ale coś go powstrzymało, coś, co powiedziała Catherine...

Uśmiechnął się.

Wyciągnął księgę przed siebie i cofnął się, stając na samym skraju przepaści. Wiatr szarpał go za buty, a na plecach poczuł nagły chłód.

Mięsień drgnął pod lewym okiem Gehna.

- Jeżeli wrzucisz tę księgę do przepaści, to wrzucę cię razem z nią! – warknął.
– Oddaj mi ją natychmiast!

Atrus potrząsnął wzgardliwie głową.

Gehn cofnął się o krok, wypuszczając kamień z dłoni.

- W przeciwnym razie...

- Co w przeciwnym razie?

Atrus przyglądał się Gehnowi podejrzliwie. Trzymanie księgi w górze kosztowało go sporo wysiłku, ale to nie miało znaczenia. Nic już nie miał znaczenia, nawet tępy, pulsujący ból w podstawie czaszki.

- Co w przeciwnym razie? Podaj mi jeden powód do tego, bym miał ci ufać.

- Jesteś moim synem – odparł Gehn wruszając ramionami.

- Sądziłem, że mnie wydziedziczyłeś – zaśmiał się gorzko Atrus. – A może się przesłyszałem?

- Wybacz mi, Atrusie. Byłem zły. Myślałem...

- Co? Że przyjmę twój punkt widzenia? Zrozumiem, że miałeś rację? Zacznę uważać siebie za boga?

- Przecież ty mnie potrzebujesz, Atrusie. Ja tak dużo wiem. Znam tajemnice, których nigdy nie poznasz. Pomyśl o moim doświadczeniu, o wiedzy. Szkoda by było jej nie wykorzystać, prawda? – Gehn potrząsnął głową, jakby z żalem. – Byłeś takim dobrym uczniem, Atrusie, takim bystrym. Szkoda by było, gdybyś przerwał naukę...

Atrus przyglądał się ojcu z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Chodzi o ciebie – odparł Atrus, podnosząc wyżej książkę. – Te wszystkie rzeczy, których mnie nauczyłeś... to były tylko słowa, prawda? Puste, pozbawione znaczenia słowa. Równie puste, jak twoje obietnice. – W oczach młodego człowieka błysnął ból. – Tak wiele od ciebie chciałem. Tak wiele. Ale ty mnie zawiodłeś.

- Przecież uczyłem cię, Atrusie. Beze mnie...

- Nie, ojczu. Wszystko, czego się nauczyłem, a co miało dla mnie jakąkolwiek wartość, przekazała mi Anna na długo przed twoim przybyciem. Ty... niczego mnie nie nauczyłeś.

Gehn patrzył na niego surowo.

Niebo jaśniało, a wiatr powoli zamierał.

- Nigdy nie powinienem być cię z nią zostawiać – powiedział po chwili Gehn. – Ona cię zepsuła. Byłeś pustą książką, czekającą na napisanie...

- Zniszczyłbyś mnie, tak jak zniszczyłeś wszystko, czego się dotknąłeś. Tak, a potem byś się mnie pozbył.

- Nie! Jak cię kochałem, Atrusie!

- Kochałeś? A cóż to za miłość, która pęta ukochaną osobę sznurami i zamyka w celi?

- To nigdy nie miało być więzienie, Atrusie. – Gehn przełknął ślinę. – To była tylko próba.

Atrus patrzył na niego w milczeniu. Tuż za nim rozpościerała się ciemna, ziemna, migocząca gwiazdami przepaść, a w dziwnym, niebieskim świetle rysowała się księża Myst.

Gehn przyglądał się synowi przez chwilę, oceniając sytuację, potem zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

- Proszę cię, Atrusie. Nadal mamy szansę.

- Nie, ojciec. Wszystko, co nas łączyło, zostało zniszczone. Spaliłeś to razem z książkami, wymazałeś razem z tymi zwrotami w mojej książce. Zniszczyłeś to krok po kroku. Czyżbyś tego nie widział? Cóż, teraz spotka cię los, na jaki zasługujesz. Możesz zostać tutaj, w małym niebie, które sobie stworzyłeś na tej wysepce, i bawić się w boga.

Po tych słowach Atrus cofnął się, przestąpił krawędź przepaści i poleciał w otchłań gwiazd, otwierając książkę, którą ściskał w dłoniach.

Co widzisz, Atrusie?

Widzę gwiazdy, babciu. Wielki ocean gwiazd...

Epilog

Słońce sączyło się przez wysokie sosny, rzucając długie cienie na trawnik przed biblioteką. Pora była późna, ale chłopcy wciąż bawili się w lesie, na południowym krańcu wyspy. Catherine, która stała na werandzie, nasłuchiwała przez chwilę ich odległych okrzyków, a potem osłoniła oczy dłonią.

- Widzisz ich? – spytał Atrus wychodząc z biblioteki i mrużąc jasne oczy w słońcu.

Odwróciła się, a rąbek ciemnozielonej sukienki zafalował nad wypolerowanymi deskami.

- Przestań się tak niepokoić – powiedziała z uśmiechem w zielonych oczach. – Anna jest z nimi. Wrócą przed zmrokiem.

Atrus uśmiechnął się, potem podszedł i objął ją.

- Skończyłeś już? – spytała cicho, przytulając się do niego.

- Nie... - westchnął Atrus ze znużeniem. – Ale nie zostało mi już wiele.

- To dobrze.

Pocałował ją delikatnie, potem wypuścił z objęć, wrócił do środka i usiadł przy biurku własnej roboty. Przez chwilę wyglądał przez jasno oświetlony prostokąt drzwi, napawając się widokiem Catherine, wreszcie wziął pióro i zaczął pisać w dzienniku:

Jakie to dziwne, myśleć teraz, że mogłem w nią wątpić choćby przez sekundę, a przecież w tamtej chwili, kiedy ojciec zaskoczył mnie w grocie, byłem przekonany, że mnie zdradziła. Owszem, przekonany, ale także zrozpaczony, ponieważ przeniosłem na nią całą miłość, którą mój ojciec w tak nienaturalny sposób odrzucił. Miłość ofiarowaną w sposób nie skrupowany, bez nadziei na wzajemność. Skąd jednak miałem wiedzieć, jak dobra i jak przebiegła potrafi być moja Catherine. Moja wybawicielka, partnerka,

a teraz także żona.

Atrus przerwał, przypominając sobie uczucie szoku, jakiego doznał, kiedy Catherine wyjawiała mu, że za tym wszystkim stała Anna. Poczł wtedy, że wstąpił do jednego z bajkowych światów Catherine. Gdyby nie przezorność Anny, nadal przebywałby uwięziony na Riven. O ile Gehn darowałby mu życie po wszystkim, co Atrus zrobił. Zanurzył pióro w atramencie i pisał dalej:

Tylko nadzwyczajna kobieta mogła zrobić coś takiego jak Anna. Poszła za nim przez labirynt tuneli i zawalonych przejść aż do D'ni. Wiedziała, rzecz jasna, że Gehn nie dotrzyma słowa. Wiedziała to, czego ja, w swojej niewinności, nigdy bym się nie domyślił: że mój ojciec był nie tylko nieodpowiedzialny, ale i szalony. Podczas tych wszystkich lat, które spędziłem na K'veer, miała mnie z dala na oku. Pilnowała, żeby ojciec nie wyrządził mi żadnej krzywdy, i czekała na odpowiednią chwilę mego urzeczywistnienia.

Atrus podniósł wzrok, przypominając sobie tę chwilę; ponownie poczuł ciężar zawodu, którego doznał od ojca. Wiedział, że takich doznań nie sposób przekazać, ale trzeba ich doświadczyć. Rodzic, dobry rodzic, musi w pewnym momencie odstąpić i pozwolić dziecku dokonywać wyborów, ponieważ wybory stanowią część planu Stwórcy, w nie mniejszym stopniu niż cała reszta. Zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął pisać, a tym razem słowa wylewały się z niego w zawrotnym tempie:

Anna widziała moją ucieczkę z K'veer i próbowała mnie odszukać w tunelach, ale Gehn dotarł tam przed nią. Nawet wtedy interweniowałaby, gdyby nie niemowa. Ujrzawszy, jak niosą mnie, nieprzytomnego, z powrotem na K'veer, zrozumiała, że musi działać. Tego wieczoru udała się na K'veer i, ryzykując wszystko, weszła do gabinetu ojca, by rzucić mu wyzwanie. Nie zastała tam

jednak Gehna, ale Catherine. Catherine, która po początkowym szoku zaufała Annie i postanowiła jej pomóc.

Tak więc Catherine знаła mnie, zanim jeszcze spotkaliśmy się w chacie na Riven; jak wiek, o którym człowiek najpierw czyta w książce opisującej, a dopiero potem łączy się z nim.

Powinienem być się od razu domyślić, że Myst nie jest dziełem Catherine. Ale skąd mogłem wiedzieć? Sądziłem, że utraciłem Annę na zawsze.

Skąd też miałem wiedzieć, że, podobnie jak ja czyniłem przygotowania, tak i te dwie kobiety połączyły swoje talenty – doświadczenie Anny z genialną intuicją Catherine – by wywołać pozornie katastrofalne wypadki w piątym wieku. Zrobiły to w taki sposób, by po pewnym czasie procesy rozpadu cofnęły się, a dawna ojczyzna Catherine, będąca teraz więzieniem Gehna, stała się znowu stabilna.

...A księga Myst?

Pobieżnie rozejrzał się po urządzonym przez siebie pokoju, następnie, z uczuciem zadowolenia, wziął pióro i zaczął pisać ostatnie słowa. Zakończenie, które nie był jeszcze ostatecznym zakończeniem:

Kiedy tylko wpadłem do tamtej przepaści, pojąłem, że księga nie zostanie zniszczona tak, jak planowałem. Spadała w gwiazdzistą otchłań, która mignęła mi tylko przelotnie przed oczami. Próbowałem wydedukować, gdzie może spaść, ale muszę przyznać, że takie domysły są daremne. Wciąż jednak zadaję sobie pytanie, w czuje ręce

może pewnego dnia wpaść moja księga Myst. Wiem, że mój niepokój nie może zostać rozwiany, dlatego kończę, zdając sobie sprawę, że zakończenie nie zostało jeszcze napisane.